

ON POLUJE NA SWE OFIARY...  
**ONA POLUJE NA NIEGO.**

# RZEŹNIK I STRZYŻYK

**ALAINA URQUHART**

**PRZEŁOŻYŁA MACIEJKA MAZAN**



# **RZEŹNIK I STRZYŻYK**



# RZEŹNIK I STRZYŻYK

**ALAINA URQUHART**

PRZEŁOŻYŁA MACIEJKA MAZAN





Tytuł oryginału: *The Butcher and The Wren*

Copyright © 2022 by Perimortem LCC

Copyright © Wydawnictwo Poznańskie sp. z o.o., 2023

Copyright © for the Polish translation by Maciejka Mazan, 2023

Redaktorka inicjująca: Paulina Surniak

Redaktorka prowadząca: Joanna Zalewska

Marketing i promocja: Karolina Guzik

Redakcja: Mirosław Ruskiewicz

Korekta: Mirosław Krzyszkowski, Agnieszka Misiewicz

Projekt typograficzny, skład i łamanie: MELES-DESIGN

Projekt okładki: Evan Goffney

Adaptacja okładki: Magda Bloch

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej: Dariusz Nowacki

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie.

eISBN 978-83-67616-64-5

CZWARTA STRONA

Grupa Wydawnictwa Poznańskiego sp. z o.o.

ul. Fredry 8, 61-701 Poznań

tel.: 61 853-99-10

redakcja@czwartastrona.pl

www.czwartastrona.pl



Dla mamy i taty, którzy nie powinni przeczytać tej książki.  
Z całą pewnością nie zainspirowaliście jej akcji (też coś!),  
ale zainspirowaliście akt tworzenia. Trafiło wam się dziwne  
dziecko, a wy jakoś wiedzieliście, co zrobić.  
Zawsze będę was za to podziwiać.

Dla Johna, który daje mi pewność siebie, by tworzyć.  
Z każdym kolejnym rokiem uwielbiam cię coraz bardziej.  
Nigdy nie przestawaj śpiewać ballad R&B  
z lat dziewięćdziesiątych w najmniej  
sprzyjających momentach.

Dla trójki moich cudownych dzieciątek, które już teraz  
lepiej piszą i mają ładniejsze włosy niż mama.  
To nie jest książka dla was. Natychmiast ją odłóżcie!





# **CZEŚĆ I**



## ROZDZIAŁ 1

Jeremy słyszy krzyk przez szyb wentylacyjny. Słyszy, ale na niego nie reaguje. Wieczorny rytuał jest dla niego zbyt ważny. Dzięki tym zwyczajnym, codziennym czynnościom czuje się bardziej sobą. Banalne zakręcenie starego kurka w schludnej łazience zakotwicza go i pionizuje. Wieczory przeważnie kończy przed tym lustrem. Dopiero co wyszedł spod prysznicza i zwykle na koniec goli się dokładnie i powoli. Lubi się kąsać z czystym ciałem i umysłem. Dbą o to, żeby te zabiegi powtarzały się codziennie, bez względu na przeszkody zewnętrzne.

Dziś wyjątkowo głośny wrzask odciąga go od rutynowych czynności. Jeremy wbija wzrok w lustro, a wściekłość fermentuje w nim jak zgnilizna. Te prawie rytmiczne krzyki z piwnicy przeszkadzają mu myśleć. Odkąd sięga pamięcią, nie znosi hałasów. Jako dziecko czuł, że przestrzeń go dławi, gdy otaczały go hałasy. Teraz pragnie tylko odgłosów trzęsawisk. Symfonia zwierzęcych głosów otula go jak ciepły koc. Natura tworzy najlepsze ścieżki dźwiękowe.

Jeremy stara się nie słyszeć tych krzyków. Nie zamierza skalać świętości swojego rytuału. Wzdycha, odgarnia lok jasnych włosów, który spadł mu na czoło, włącza radio obok umywalki. Jedynym dźwiękiem, który daje mu pociechę, jest muzyka. Gdy czeka na ulgę, z głośnika zaczyna płynąć *Hotline Bling* Drake'a. Natychmiast wyłącza radio. Czasem wydaje mu się, że przyszedł na świat w niewłaściwej epoce.

Powoli zmywa z rąk krew i brud, starając się nie zwracać uwagi na stłumione, gorączkowe jęki dobiegające przez szyb wentylacyjny. Wpatruje się ze skupieniem w twarz w lustrze. Z każdym rokiem ma wrażenie, że jego kości policzkowe się podnoszą i zarysowują się wyraźniej. Upływ lat działa na jego korzyść; Jeremy czuje się wybrańcem. Wiele rozsądnych osób podziwia pięknie ukształtowane czaszki. Większość z nich nawet nie rozumie, jak złowieszczą jest ta fiksacja. Ludzie na ogół nie pozwalają sobie dostrzec dzikiej strony psychiki, która wykształciła się miliony lat temu z często brutalnej żądzy przeżycia przodków. To cechy, które ewolucja uznała za użyteczne. Ludzie są przeważnie za głupi, by zrozumieć, że ich upodobania uformował gen brutalności.

Jeremy nie wygląda jak ktoś nurzący się w deprawacji. Wydaje się nieszkodliwy, a czasem nawet na wskroś pocziwy. Dlatego mu się udaje. Istnieje pewna roślina, *Amorphophallus titanum*, zwana dziwidłem olbrzymim. Jest wielka, piękna i nie posiada żadnych rzucających się w oczy cech, które by przed nią ostrzegały. Ale gdy kwitnie, co zdarza się mniej więcej raz na dziesięć lat, wydziela odór gnijącego mięsa. I doskonale sobie radzi. Jeremy przypomina dziwidło. Ludzie tłumnie ciągną do niego, zaciekawieni pomimo jego dziwactw.

Jutro jest czwartek. Czwartek to jego piątek, choć Jeremy nie znosi, kiedy ludzie tak mówią. Nieważne, odkąd zaczął drugi rok na studiach medycznych w Tulane University, rozkoszuje się wolnymi od pracy piątkami. Oczywiście musi przetrwać kilka godzin zajęć, ale i tak piątki oznaczają początek weekendu. To w weekendy wykonuje prawdziwą pracę. Teraz wręcz nie może się doczekać, bo na nadchodzący weekend zaplanował coś wyjątkowego dla swoich obecnych

gości. Oczywiście to, czy te plany zostaną zrealizowane w stu procentach, zależy od tego, czy uda mu się powiększyć grupę o jedną osobę.

Tą osobą będzie Emily. Po zawarciu znajomości w laboratorium biologicznym zastanawiał się przez wiele tygodni i teraz jest już pewien, że Emily dostarczy mu dreszczu emocji, którego jest tak spragniony. Emily biega kilka razy w tygodniu i chyba nie napycha się śmieciowym jedzeniem, więc pewnie ma sporo energii. Mieszka z dwiema dziewczynami w Ponchatoula, w wynajętym dużym starym domu poza kampusem. Pomijając zbytnią gotowość do opowiadania o sobie, jest kompetentna, samodzielna i inteligentna, co bardzo się jej przyda podczas gry. Jej towarzysze także wniosą coś od siebie, ale Jeremy sądzi, że po pobycie w jego domu nie będą mogli wziąć udziału w całym weekendzie rozrywek, jakie dla nich zaplanował.

Od zeszłej soboty, gdy goście zawitali do jego domu, musieli znieść parę szturchnięć i ukłuć. U Buchanana zdołał nawiązać z nimi kontakt bez żadnych wcześniejszych przygotowań. Na ogół starał się najpierw poznać swoich potencjalnych gości, tak jak to zrobił z Emily, ale ci dwoje sami wpadli mu w ręce. Tak jakby wszechświat prosił go o sprzątnięcie śmieci. Oczywiście wszechświatowi się nie odmawia.

Katie i Matt są zwyczajni do bólu. Nie mają ani jednej oryginalnej myśli i zbyt łatwo zgodzili się pójść z gościem o ładnych kościach policzkowych, skuszeni obietnicą narkotyków. Teraz już wiedzą, że to był błąd. Z szybu wentylacyjnego znowu dobiega go bolesny jęk. Tego już za wiele!

Jeremy porzuca wieczorne zabiegi i zbiega schodami do piwnicy, gdzie rezydują jego goście. Ciche jęki Katie natychmiast przechodzą w przerażone skomlenie. Jej drobne ciało skręca się w spazmie strachu.

- Musisz sobie uświadomić fakt, że mieszkasz w czyimś domu - mówi Jeremy, patrząc prosto w jej oczy w kolorze błota.

Co za beznadziejna szara mysz. Brązowe smętne włosy, przyklejone do szyi krwią jak chropowatym klejem. Estetyka rodem z dzielnicy biedoty, choć Katie rozpaczliwie stara się to zatuszować. Szara, szara mysz - ma nawet zęby, które się kojarzą z mysimi, co mogłoby być urocze, gdyby nie była taką przyziemną idiotką. Kiedy podszedł do niej w barze, bawiła Matta anegdotą z licealnych czasów, gdy była cheerleaderką - żalosa historyjka, w dodatku mało wiarygodna, biorąc pod uwagę obecną kondycję Katie. Jeremy poprawia więzy utrzymujące ją na krześle i sprawdza, czy kropiółka działa prawidłowo. Cewnik się nie skręcił, a worek jest niemal pełen.

- Matt zachowuje się z szacunkiem. Bądź jak Matt, Katie. - Jeremy uśmiecha się od ucha do ucha i wskazuje milczącego, nieruchomego Matta, bezwładnie zwisającego z krzesła obok.

Oboje wiedzą, że Matt zemdłał, pewnie z przerażenia, podczas poprzednich odwiedzin Jeremy'ego na dole. Katie wybuchła głośnym płaczem; Jeremy wznosi oczy ku niebu. Naprawdę, dziewczyna wystawia jego cierpliwość na próbę. Jeremy coraz bardziej brzydzi się tą jej desperacją. Staje cicho w mroku obok niej i włącza przenośny głośnik między krzesłami. W pomieszczeniu rozbrzmiewa *A Girl Like You* Edwyna Collinsa. Jeremy uśmiecha się z ulgą. W końcu jakaś przypoita nuta.

- Ach, o to chodziło. - Kołysze się w rytm muzyki, dając Katie czas, żeby się ogarnęła.

Przy refrenie babsko dostaje spazmów. Jeremy bez wahania chwytą obcą leżącą za jej krzesłem i jednym zwinnym ruchem zrywa ohydnie różowy paznokiec

z jej lewego kciuka. Przyciąga do siebie jej wykrzywioną we wrzasku twarz.

- Jeszcze jedno piśnięcie i zacznę ci wrywać zęby. Jasne? - rzuca.

Katie nie może odpowiedzieć, więc tylko kiwa głową. Jeremy mruga do niej, odkłada obcęgi i wraca na górę.

W dzieciństwie nie zaznał wiele litości. Ani innych takich rzeczy. Jego ojciec był twardy, ale sprawiedliwy; oczekiwał po żonie i synu pewnego poziomu uległości. Jeśli Jeremy trafił na odpowiednią chwilę, mógł dzięki jego drobiazgowym instrukcjom zdobyć przydatne umiejętności. Jego ojciec, mechanik samolotowy, zajmował się sprzętem lotniczym. Nie wymagało to oficjalnego wykształcenia, lecz Jeremy zawsze szczycił się tym, że ojciec pracuje przy samolotach i często chętnie podglądał te najwspanialsze wynalazki ludzkości. Ale jeśli chwila była nieodpowiednia, czekało go okrutne upokorzenie.

Mimo wybuchowego temperamentu ojca Jeremy zawsze czekał na jego powrót z pracy. Niewiele robili razem, jednak właśnie to było dobre. Po całym dniu z matką milczenie, w którym oglądali z ojcem telewizję, sprawiało ulgę. Matka nie dostrzegała go całymi dniami, choć czasem zaczynała obdarzać go nadmierną uwagą, jakby nie umiała wyregulować własnych uczuć. Zawsze dawała mu o wiele za dużo albo zdecydowanie za mało.

Książki były jedynym stałym punktem chroniącym go przed nieprzewidywalnością rodziców. Siedmioletni Jeremy ciągle jeszcze nie chodził do szkoły. Matka, choć go zaniedbywała, co kilka dni prowadziła go do biblioteki przy St. Charles Avenue. Zawsze chodzili tam w dni robocze, gdy ojciec pracował. Jeremy wtedy nie rozumiał, że matka wlecze swojego jedynaka do biblioteki, bo ma romans z bibliotekarzem, za to bezbłędnie wyłapał metodę oszustwa. Wcześniej nauczył się, by nie mówić ojcu, że matka zostawia go samopas wśród półek z książkami, gdy sama zamyka się na zapleczu z panem Carrawayem. Co ważniejsze, nauczył się kraść. Przynosił do domu książki ukryte w kurtce albo plecaku, nigdy nie prosząc matki, żeby je wypożyczyła. Teraz jest pewien, że inni bibliotekarze z litości przymykali na to oko, ale wtedy czuł się, jakby co tydzień okradał bank.

Od czasu do czasu panna Knox, bibliotekarka, próbowała go zagadywać. Pewnego razu ośmieliła się spytać wprost, czy w domu wszystko w porządku. Głos drżał jej z troski. Jeremy nie odpowiedział; poprosił ją tylko o książkę o lobotomii. Zainteresowała go ta anachroniczna praktyka i jej największy zwolennik, doktor Walter Freeman. W weekend ojciec oglądał powtórkę *Frontline*, odcinek zatytułowany *Uszkodzone umysły*. Było to brutalne spojrzenie na system opieki zdrowotnej i metodę lobotomii stosowaną u pacjentów z najróżniejszymi problemami, zwłaszcza ze schizofrenią. Dzięki niej przecinano jakieś połączenie nerwowe, bądź też sieć połączeń, które uważano za odpowiedzialne za nietypowe zachowanie pacjenta.

Najbardziej fascynowała go stosowana przez doktora Freemana lobotomia czołowa. Fakt, że dokonuje się jej narzędziem podobnym do szpikulca do lodu, szczególnie podziałał na wyobraźnię Jeremy'ego, przywołując obraz nieskazitelnego chirurga, dręczonego pragnieniem zbadania chorego umysłu. W 1992 roku, gdy telewizja i gazety bez końca powtarzały, że w ten właśnie sposób seryjny zabójca Jeffrey Dahmer podporządkowywał sobie ofiary, Jeremy zareagował na tę informację obrzydzeniem. Dahmer był kretynem, który sądził, że wyprodukuje zombie, wprowadzając do mózgu ofiary środki czyszczące i kwas. Imbecyl! Nazwać jego poczynania lobotomią to jak nazwać działalność Teda

Bundy'ego randkami. Jeremy dosłownie słyszał, jak doktor Freeman przewraca się w grobie.

Jeremy był dzieckiem spragnionym wiedzy i pozbawionym wyzwań. Dlatego karmił swój głód eksperymentami. Przyświecały mu słowa ojca:

- Chcesz wiedzieć, jak coś działa, synu? Musisz to otworzyć.





## ROZDZIAŁ 2

Powietrze Luizjany nawet o tej wczesnej godzinie wydaje się gęste. Doktor Wren Muller, patolog sądowy, nadal ledwie patrzy na oczy, wysiadając z samochodu w duszną noc. Spogląda na zegarek i wzdyga się na myśl, jak świetnie by było, gdyby przestępcy przynajmniej na parę miesięcy powstrzymali się przed popełnianiem zbrodni o drugiej w nocy.

Wchodzi w gęste, mokre krzaki, starając się nie potknąć o wystające korzenie cyprysnika. Bruzdy w jego pniu są tak głębokie, że mogłaby w nich zniknąć bez śladu – wyglądają jak ręce jakiegoś starożytnego potwora z miejscowych baśni. Wren zatrzymuje się i czeka, aż wzrok jej przywyknie do sztucznego światła. Latarki trzech policjantów kierują się w dół na coś na brzegu wody. Ich promienie przecinają ciemności, które stają się jeszcze głębsze. Ten kontrast jest pożyteczny; dzięki niemu scena lepiej rzuca się w oczy.

Pónagie ciało kobiety leży bezwładnie w wysokiej trawie na brzegu. Jej głowa i ramiona toną w mętnej czarnej wodzie. Zwłoki leżą brzuchem do góry, skulone w trawie. Kobieta jest wysoka, średniej wagi. Wren ogląda się przez ramię i widzi swoich zastępców, człapiących za nią z noszami. Przeniesienie martwego ciała z tego trzęsawiska będzie trudne nawet dla trzech osób.

Zaledwie dwa tygodnie wcześniej policja znalazła rozkładające się zwłoki innej młodej kobiety za barem Twelve Mile Limit. Ofiara leżała twarzą w kałuży, przesiąknięta cuchnącą bagienną wodą. Wren zauważyła to podobieństwo i choć natychmiast słyszy syreny alarmowe, stara się je wyciszyć. Zawsze zajmuje się sprawami bez uprzedzeń czy oczekiwań. Ale mimo że zamierza tak zrobić i tym razem, pamięta, by sprawdzić, czy zabójca nie zostawił jakiegoś ukrytego przedmiotu. W gardle poprzedniej ofiary sprzed dwóch tygodni znaleźli kilka zmiętych kartek z książki. Były przemoczone i prawie nie do odczytania, z wyjątkiem jednej, prawie nietkniętej, zaczynającej się od słów „Rozdział 7”.

Wren ostrożnie podchodzi do zwłok. Nieznajoma nie ma bluzki, tylko brudne dżinsowe szorty i niebieski stanik. Coś ją prawie wypatroszyło. Wren nie może opanować myśli, że głos cykad pewnie ogłuszał dziewczynę. Ekipę, która usiłuje odtworzyć jej ostatnie chwile, na pewno ogłusza. Czy morderca myślał o nich, ciągnąc tu trupa? Myśl o deprawacji fascynowała Wren, ale jeszcze bardziej fascynowały ją ostatnie myśli zmarłej.

Spogląda na zwłoki i zauważa plectioną bransoletkę na lewym nadgarstku. Kiedyś była pewnie śnieżnobiała, teraz widać po niej upływ czasu. Wren myśli o tym, jak kobieta kupowała tę skromną ozdobę. Jak wzięła ją w dłonie i obejrzała, zanim postanowiła za nią zapłacić. Tania ozdóbka leżąca przy kasie, a teraz unieśmiertelniona poprzez śmierć.

Współpracownicy pomagają Wren wyciągnąć zwłoki na brzeg. Głowa wyłania się z wody. Na twarzy nieznajomej widać już plamy opadowe. Krew, która przestała płynąć, gdy serce stanęło, zastygła, a grawitacja sprawiła, że na policzkach i czole ofiary pojawiły się ciemne wybroczyny. W tym świetle trudno to określić, ale Wren sądzi, że mają ciemnoróżowy kolor, co oznacza, że zgon nastąpił jakieś dziesięć godzin temu. Plamy opadowe występują zwykle pół

godziny po śmierci, lecz stają się wyraźne po jakichś dwóch lub trzech godzinach. Po sześciu nabierają ciemnego koloru, dostrzegalnego dla nieuzbrojonego oka. Po dwunastu stają się najciemniejsze.

Wren przebiega wzrokiem po twarzy zastygłej w grymasie przerażenia i zauważa ciemne siniaki na karku. To bardzo wyraźne ślady duszenia. Przyjrzy im się dokładniej w kostnicy. Teraz wkłada fioletowe lateksowe rękawiczki i przesuwa palcem po głębokich bruzdach na gardle kobiety.

Dotyka kieszeni nieznajomej, szukając wybrzuszeń. Nie do wiary, ile razy dziękowała sobie za ten krok, dzięki któremu wymacała strzykawkę i uniknęła wycieczki na zabiegowy. Wygląda na to, że jej kieszenie nie zawierają nic niebezpiecznego, więc sięga do nich - i niczego nie znajduje. Zwłoki pozostają niezidentyfikowane.

- Miała coś przy sobie? Portfel? - pyta, choć zna już odpowiedź.

Patrzy w górę na trzech policjantów, którzy świecą na nią swoimi latarkami. Wszyscy trzej kręcą głowami jednocześnie.

Ten młody po prawej niedbale przesuwa promieniem latarki po terenie wokół ciała.

- Wie pani tyle, co i my. Nie było portfela, dowodu osobistego ani broni.

Wren nie jest zachwycona jego nastawieniem, ale kiwa głową i ogląda kończyny nieznajomej. Na jej bicepsie znajduje stary, spłowiwały tatuaż - jakby złożone do modlitwy ręce oplecione różańcem.

- Dajcie aparat - rzuca, nie odwracając wzroku od tatuażu, i wyciąga rękę.

Jeden jej zastępcy - nowy pracownik - podbiega do swojej torby, wygrzebuje z niej aparat i kładzie go na jej otwartej dłoni. Wren robi parę zdjęć tatuażu i dalej ogląda ciało.

- W czasie sekcji zrobimy lepsze ujęcia, ale zawsze dobrze mieć je na zapas, tak na wszelki wypadek. Nigdy nie wiadomo, co się wydarzy podczas transportu. Nie mamy danych ofiary, więc potrzebujemy wszystkich możliwych znaków charakterystycznych, w przeciwnym razie utkniesz w kostnicy na całe miesiące - wyjaśnia, oddając chłopakowi aparat. Wykręca dłonie, trzaskając kostkami. Wie, że to obrzydliwy nawyk, lecz tak już ma i trudno. - Dobrze, na jakiej podstawie możemy określić czas zgonu?

Wren spogląda na dwójkę młodych podopiecznych, którzy natychmiast bledną.

- Eee... no więc... plamy opadowe - stęka pierwszy.

Pochyliła się i wskazuje czerwoną twarz nieznajomej.

Wren uśmiecha się i kiwa głową.

- Tak, to widać. A mniej oczywista metoda?

Wie, że chłopak jest inteligentny. Na razie się jeszcze nie otrząsał, ale ma wiedzę. Z czasem zyska rozpęd. Wkrótce będzie robić wszystko na pamięć, czy to na miejscu zdarzenia, czy w biurze.

Chłopak nieco nerwowo przeczesuje ręką czarne włosy.

- Temperatura mierzona doodbytniczo?

Wren uśmiecha się, ale kręci głową.

- Masz dobry instynkt. Gdybyśmy znajdowali się w środowisku z kontrolowaną temperaturą, odpowiedź byłaby prawidłowa. Niestety, nie możemy zakładać ani nawet liczyć na to, że przez cały czas utrzymywała się tu rzeńska temperatura na poziomie trzydziestu stopni Celsjusza. - Wskazuje nosze. - Otwórz worek, wyciągnij ją.

Zastępcy koronera rozkładają biały worek na zwłoki, a Wren mówi dalej:

- Miałeś rację co do plam opadowych. Mają najciemniejsze wybarwienie, co oznacza, że minęło do dwunastu godzin. Weźcie ją za ręce. Spróbujcie nimi poruszyć.

Jej podopieczni podchodzą do zwłok i starają się przesunąć je o parę centymetrów.

- O kurczę, ale zeszywniała - zauważa jeden z nich.

Wren podciąga rękawiczki wyżej.

- Dokładnie. Stężenie pośmiertne jeszcze nie ustąpiło. Co to znaczy?

Policjanci przyglądają im się z wyraźnym rozdrażnieniem. Ostentacyjnie wzdychają i dramatycznie wnoszą oczy ku niebu, jakby mieli co innego do roboty. Te demonstracje jej nie ruszają. Skoro ma o trzeciej nad ranem sterczeć na bagnach w towarzystwie nieboszczki, to równie dobrze może prowadzić szkolenie nowicjuszy.

Zastępca koronera wyciera ręce o spodnie.

- To też sugeruje upływ dwunastu godzin. Może nawet więcej, do trzydziestu.

*No i mamy.*

Jego rosnąca pewność siebie dobrze wróży. Przy takim zatrzęsieniu spraw Wren chętnie przyjmie każdą pomoc.

- Bingo. I patrz, co jeszcze mamy. - Wskazuje rój czarnych much, przed którymi wszyscy się opędzają. - Wiem, że tu lata mnóstwo owadów, ale te tutaj to plujki. Jako pierwsze zlatują się do zwłok i składają w nich jajeczka, z których wylęgają się larwy. Na razie ich tu nie widzimy, ale jajeczka powinny być już złożone. To wszystko ustala nam ramy czasowe. Wygląda na to, że morderca zabił ją w biały dzień. Drań ma nerwy ze stali.

Młodzi zachowują się jak grzeczni studenci, ale przestępują z nogi na nogę, by nie zasnąć, a to znaczy, że przestali jej słuchać. Wykład przerywa głos młodego policjanta, który unosi latarkę i woła zza kępy drzew:

- Hej! Mam tu ubranie!

Wren nie może powstrzymać złośliwego chichotu.

- No proszę, a wy chcieliście się już zbierać.

Stojący obok policjant rzuca jej urażone spojrzenie i rusza ku drzewom. Wren idzie za nim, dając znak zastępcom, żeby zostali przy zwłokach.

Za drzewami światło latarki wyłania z ciemności parę niepasujących tu rzeczy. Pod krzakiem leży schludnie złożony brudny żółty podkoszulek. Na nim spoczywają czarne klapki. Policjant robi im zdjęcie, po czym chowa rzeczy do worków na dowody rzeczowe. Gdy unosi podkoszulek, materiał się rozwija i coś ciężkiego spada na ziemię.

- To książka? - pyta przykucnięta Wren, włączając własną małą latarkę.

Na miękkiej okładce widać tytuł *Upiory*. Po bliższym spojrzeniu okazuje się, że to zbiór horrorów. Za ich plecami trzaska migawka. Wren podnosi książkę i wstaje. Obraca ją w dłoniach i podaje policjantom.

- Czytaliście to?

Wszyscy kręcą przecząco głowami. Jeden wyciąga rękę w rękawicze.

- Myślisz, że należy do denatki? - zastanawia się, w roztargnieniu przerzucając kartki.

- Tego się dopiero dowiemy - rzuca Wren.

Policjant wkłada książkę do worka.

Wren odwraca się na pięcie; obcasy toną jej w wilgotnej ziemi, która mlaska pod jej stopami przy każdym kroku. Potem pomaga zastępcom przenieść zwłoki do worka i na nosze. Zanim zdejmie rękawiczki, jeszcze raz ocenia kolor plam

opadowych. W innym świetle wydają się bardziej różowe. Ostrożnie idzie do furgonetki koronera i otwiera ją, czekając, aż dwaj zastępcy dobrną do niej po nierównym terenie. Myśl o kolejnym anonimowym ciełe w kostnicy ją przeraża.

- Kto cię szuka? - pyta cicho, gdy mijają ją nosze z martwą dziewczyną.

Stojący nieopodal policjant śmieje się cicho.

- Umarlak kiedyś odpowiedział? - pyta ironicznie.

Wren spogląda mu prosto w oczy, zatrząskuje drzwiami i idzie do szoferki.

- Zdziwiłbyś się, ile tajemnic wyjawili mi zmarli.



## ROZDZIAŁ 3

Poranki są miłe. Jeremy ma straszną ochotę na mocną kawę i zawsze pilnuje, żeby nie wychodzić bez śniadania. Reszta dnia może przebiegać w nieskoordynowany, nieprzewidziany sposób, a przerwy obiadowe poświęca na poszukiwania, więc nie zawsze ma czas na solidny posiłek. Zerka na mały telewizor na kuchennym blacie. W wiadomościach już drugi tydzień wałkują temat ucieczki dwóch więźniów z zakładu w Dannemora w stanie Nowy Jork. Nawet w Luizjanie ludzie chętnie słuchają o zakochanej pracownicy więzienia, która pomogła uciec dwóm mordercom jak w prawdziwych *Skazanych na Shawshank*.

Jeremy ogląda wiadomości, smażąc sobie jajecznicę, którą zjada z kielbasą z indyka. Kiedyś rozważał przejście na wegetarianizm z uwagi na korzyści zdrowotne, ale nie potrafił tego odpowiednio uzasadnić. Co prawda darzy zwierzęta większym szacunkiem niż większość przedstawicieli własnego gatunku, lecz głównie ze względu na zdolność przetrwania niemal natychmiast po narodzinach. O empatii nie ma mowy. I dlatego nie czuje potrzeby pozbawiania się łatwo dostępnego źródła protein. Zmywa talerz i idzie na dół, by zająrzeć do gości.

Katie zachowuje się wyjątkowo cicho.

- Chyba ceni sobie te swoje mysie ząbki - mówi do siebie Jeremy.

Jej lewa ręka jest oblepiona krwią, która spłynęła po nodze krzesła i zakrzepła na podłodze wokół niej. Katie pólleży w pozycji, w której najwyraźniej znajduje ulgę, a to budzi w nim intensywną potrzebę, żeby jej to przerwać. Niestety, jest już spóźniony, więc tego ranka nie ma czasu na dodatkowe przyjemności, dlatego tylko puszcza do niej oko. Na jego widok Matt wpada w napędzany testosteronem szał, plując, przeklinając i usiłując się wyzwolić z łańcuchów. Najwyraźniej przez całą noc starał się wyrwać krzesło z podłogi, ale udało mu się jedynie nadłupać jedną nogę. Te krzesła dawno temu zostały zacementowane. Nawet nie drgną. Jeremy z ciekawości zastanawia się, co konkretnie zamierzał zrobić Matt, gdyby jakimś cudem przewrócił swoje krzesło, lecz szybko postanawia nie marnować czasu. Matt jest głupi i coraz bardziej traci siły - nie zdoła go przechytrzyć. Jeremy sprawdza obojgu kroplówki i zaczyna wymieniać worki, gdy Matt postanawia odegrać twardziela.

- Rozerwę cię na strzępy, ty cipo! - krzyczy, opluwając Jeremy'emu policzek cuchnącą śliną.

Myśl o potraktowaniu jego przednich zębów szczypcami jest kusząca, ale Jeremy nie ma drugiej wyprasowanej czystej koszuli na zmianę. Poza tym trudno poczuć coś innego niż obrzydzenie do człowieka, który siedzi we własnych sikach i mimo to nazywa kogoś cipą. Zamiast tego chwytą Matta za twarz i głęboko go całuje, zagryzając jego dolną wargę tak mocno, że słyszy satysfakcjonujące chrupnięcie pękającego ciała. Czasem pozwala sobie na spełnienie hedonistycznych ciągot i rzadko tego żałuje.

- Przyszedłeś tu z własnej woli. Pamiętaj o tym - warczy, patrząc, jak usta Matta napełniają się krwią.

Matt kaszle i wyje coś niezrozumiale. Katie cicho skomli. Jeremy uśmiecha się i wraca na górę, chusteczką ocierając wargi z krwi Matta. Rzuca na siebie szybkie

spojrzenie w lustrze w korytarzu. Odgarnia lok jasnych włosów i wychodzi.

Praca, którą wykonuje za dnia, polega na wprowadzaniu danych i wypisywaniu faktur dla firmy logistycznej i magazynu. Jest dokładnie tak nudna i bezmyślna, jak się wydaje, i Jeremy nie może znieść, że musi poświęcać większą część tygodnia na karmienie komputera liczbami. Dziś wchodzi do Lovett Logistics prosto z dusznego upału. Lato w Luizjanie oznacza brnięcie przez parking jak przez ciepłe masło. Powietrze jest ciężkie, duszne, męczące. Za progiem Jeremy z wysiłkiem przyzwyczajają się do puszkowanego zimna, które napiera ze wszystkich stron. W tym krążącym w zamkniętym obiegu chłodzie, wśród ospałych urzędników, ze świadomością, że następne godziny spędzi ściśnięty jak preparat pod szkłem, czuje się jak w koszmarze na jawie. Sięga do torby i uświadamia sobie, że zapomniał identyfikatora otwierającego drzwi. To przez Katie, która go rozkojarzyła. Z cichym westchnieniem podchodzi do recepcji. Siedząca w niej kobieta ma lekką nadwagę, a jej ramiona, które tak beztrudno odsłania, nosząc sukienki i bluzki bez rękawów, przypominają mu tłustą, szorstką skórę oskubanej kury. Jej okrągłą twarz okalają spalone rozjaśnierzem włosy z ciemnymi odrostami. Nigdy nie tracił czasu na przyglądanie się kolorowi jej oczu, bo ta jej tapeta jest tak gruba, że robi mu się niedobrze. Dziś dostrzega na jej tęczęwkach ślady zieleni, jakby w jej oczach zagnieździł się liszaj, przesączający się przez powieki, by zarazić całą jej pulchną twarz. Kobieta jak zwykle gapi się w komórkę. Pewnie ogląda te tłumy barbarzyńców, którzy szturmują jej skrzynkę mailową w jakiejś aplikacji randkowej, mającej jej znaleźć tego jedyne.

- Jak mogę ci pomóc, Jeremy? - pyta na jego widok.

Jeremy krzywi się, słysząc swoje imię w jej ustach, choć on sam nie uczynił najmniejszego wysiłku, żeby zapamiętać, jak ją tam zwą. Rozciąga usta w przyjaznym uśmiechu i opiera łokieć na blacie.

- Możesz być tak kochana i otworzyć mi drzwi - zagaja uwodzicielsko, wskazując na torbę. - Zapomniałem identyfikatora, a wrę się do pracy.

Kobieta śmieje się głośno, zakrywając usta, jakby przez to miała wyglądać jak dama. Jeremy powstrzymuje odruch wymiotny i chichocze razem z nią. Kobieta wgniata przycisk akrylowym pazurem.

- Masz u mnie dług - mówi i puszcza oko.

- Gówno prawda - odpowiada on zimno. Pewnie wzięła to za żart. A może nie, wisi mu to.





## ROZDZIAŁ 4

Wren poprawia osłonę na twarzy i w milczeniu patrzy na zwłoki leżące na zimnym stole do sekcji. Kobieta odpowiada jej spojrzeniem jednego półprzymkniętego oka. Nawet ono zdaje się krzyżeć o horrorze, którego zaznała.

Jej przemoczone ubrania zostały już sfotografowane i zdjęte. Teraz technicy szukają na nich włókien, włosów i czegokolwiek, co doprowadzi ich do bestii, która ją zabiła. Wren uciska ciało, próbując wyczuć złamanie kości. Ze szczególną uwagą ogląda wybroczyny, nadal widoczne na twarzy kobiety, choć rozkład już zaczął zacierać jej rysy. Słońce Luizjany niemiłosiernie traktuje żywe istoty, ale dla martwych jest wyjątkowo okrutne. Wren szacuje, że ofiara leżała na dworze około dwudziestu czterech godzin, czego dowodzi lekkie wzdęcie i brak wyraźnego procesu gnilnego.

Ogląda siniaki na gardle, przecinające się liczne ślady po sznurze, który głęboko wrzynał się w tkankę wokół krtani. Nie to było przyczyną śmierci. Śmiercionośny cios został zadany w brzuch; siniaki na szyi wskazują na to, że powstawały, kiedy krew nadal krążyła, a tak się dzieje tylko wtedy, gdy serce ciągle bije. Ta biedna dziewczyna była podduszana bez intencji zadania śmierci. Morderca czerpał przyjemność z dręczenia jej, zanim w końcu ją zabił w jeden z najbardziej bolesnych sposobów.

Rana, ciągnąca się przez cały brzuch, jest głęboka i poszarpana. Krew już w niej zakrzepła, co świadczy o tym, że zabójca zadał ją, gdy kobieta wciąż żyła. Steżenie pośmiertne, które jeszcze utrzymuje się w niektórych mięśniach, a także temperatura wątroby oznaczają, że śmierć nastąpiła jakieś trzydzieści sześć godzin temu. Niestety, plamy opadowe, zaobserwowane na miejscu, wskazywały na nieco wcześniejszą porę. Powinny być ciemnoczerwone, sine albo fioletowe, ale krew zebrana pod skórą nieznamym jest intensywnie różowa.

Wren nie wie, jak rozumieć tę niekonsekwencję, lecz postanawia pracować dalej. Plamy opadowe pomagają też w określeniu, czy ktoś ruszał ciało po śmierci - i tak było w przypadku zwłok na stole Wren. Krew, która przestała płynąć, gdy morderca rozciął brzuch ofiary, zebrała się po prawej stronie na biodrze, twarzy i częściowo na ramieniu. Ofiara leżała po śmierci na prawym boku. Miała również ślady zebranej krwi na dolnej części pleców i ramionach, więc w pewnym momencie była ułożona także na plecach. Zważywszy na głębszy kolor plam na prawym boku, można wydedukować, że umarła, leżąc na nim, a potem została położona na plecach. Te szczegóły dopasowują się do siebie jak kawałki układanki, ale kolor plam opadowych nadal zastanawia Wren.

Do prosektorium wchodzi policjant z wydziału śledczego, John Leroux. Wkłada maskę i wsuwa prawą dłoń w lateksową rękawiczkę. Widać, że zaciska zęby, a jego intensywnie niebieskie oczy, jedyna część twarzy widoczna nad maską, kryją milion pytań.

Wren spogląda na niego przelotnie. Po latach wspólnej pracy natychmiast odczytuje jego nastrój - przemęczenie i nadzieję na usłyszenie odpowiedzi.

- Powiedz, że masz coś dla mnie - rzuca Leroux, poprawiając pasek. Opiera dłonie na biodrach.

Wren waha się przez chwilę, po czym podnosi głowę.  
- Trzymał ją w lodówce.



## ROZDZIAŁ 5

Jeremy zajmuje miejsce w swoim boksie, włącza komputer i ustawia kubek z kawą i komórkę w zasięgu ręki. Lubi zaczynać dzień paroma minutami czytania internetowych wiadomości i ploteczek. Dziś w oko wpada mu pierwsza strona „Times-Picayune”. „Poszukiwania zaginionej pary z Nowego Orleanu przybierają na sile. Przyjaciele nadal organizują czuwanie”. Ledwo udaje mu się powstrzymać śmiech. Czuwania zawsze go fascynowały.

*Co osiągniecie tymi świecami i zdjęciami, gdy Katie i Matt cierpią w mojej piwnicy?*

Przypuszcza, że ci „przyjaciele” ze zdjęć, tacy zapłakani i poważni, bardziej myślą o własnej sławie. Każdy ma jakiś motyw. Ich gotowość do rozprowadzania o swojej stracie świadczy jasno o parciu na szkło. Rzuca okiem na resztę artykułu, rozwodzącego się nad koniecznością znalezienia tych dwóch genetycznych niedoróbek.

- Cholernie straszne, no nie? - Corey, jego współpracownik, zakłóca mu tę chwilę, opierając się łokciem o ściankę boksu. - Ci dwoje skończą tak samo jak reszta. Podobieństwa za bardzo biją po oczach, nie sądzisz? - dodaje, popijając kawę. - Jak porzuci jedną ofiarę, po paru dniach bierze następną. Słyszałeś, że znaleźli tamtą zaginioną, no nie? - Corey kręci głową i znowu pije. Mówi o innych ofiarach i częściowo ma rację. Jeremy od jakiegoś czasu powielał schemat i na razie dorobił się już sześciu sztuk. Na ogół postępował dokładnie tak, jak opisał to Corey. Gdy się znudził jedną ofiarą, szukał następnej. Ten jeden raz mu się nałożyły. Katie i Matt znaleźli się w jego domu, gdy Meghan była nadal półżywa. Nie tak zakładał plan i Jeremy sporo ryzykował, ale czasem trzeba improwizować, gdy zjawia się odpowiedni kandydaci.

Meghan była smutnym, zdesperowanym stworzeniem, które w zeszły czwartek dało się przekonać do wyjścia z nim z baru. Wrzaskliwa, gwałtowna i arogancka, wkurzała go od chwili, gdy po raz pierwszy otworzyła usta. W piwnicy nazwała go maminsynkiem, co doprowadziło go do furii, mogącej zaćmić jego racjonalny umysł. Gdyby się jej poddał, popełniłby groźny błąd; miał wielką urazę do Meghan za to, że niemal stracił przez nią spokój, a wraz z nim - wolność.

Przez parę dni starał się ją złamać. Wyczuł jej stan psychiczny, gdy zastanawiała się, jaki dzień, godzina, minuta będą jej ostatnimi. Po paru dniach zabaw zszedł do piwnicy w milczeniu. Jego nagły brak zainteresowania powinien stanowić dla niej ostrzeżenie, ale w ogóle się nie spodziewała, że dźgnie ją nożem prosto w brzuch. Rozpruł jej ciało potężnym ciosem i przyglądał się wijącej w konwulsjach na betonowej podłodze piwnicy dziewczynie. Specjalnie wybrał taki koniec. Rany brzucha są wyjątkowo bolesne. Żółć i kwas żołądkowy wylewają się do wnętrza ciała, powoli zatruwając ofiarę.

To było w niedzielę wieczorem, dzień po przybyciu Katie i Matta. Rano znaleziono ciało Meghan. Usłyszał o tym w zwizłej wiadomości w radiu, ale na razie bez szczegółów. Nie denerwuje się. Zawsze bardzo uważa, żeby nie zostawić żadnego śladu na zwłokach. Pozbył się nawet żyłki rybackiej i kabla elektrycznego, którymi dusił Meghan podczas ich zabaw - na wszelki wypadek.

Choć początkowo nie starał się wypracować własnego stylu, na ogół namierzał dwudziesto- i trzydziestolatków w barach i nocnych klubach. Jednak zawsze zmieniał metody zabójstwa, kierując się ciekawością. No i oczywiście bagienna woda. Po czwartej ofierze prasa znalazła mu przydomek ze względu na jego zamiłowanie do zostawiania zwłok w trzęsawisku, na widoku. Nazwano go Rzeźnikiem z Bagien, co początkowo mu nie przeszkadzało, lecz teraz go nudzi. Ostatnio dokucza mu monotonia. Co więcej, jeśli będzie przewidywalny, stanie się łatwym celem. No ale teraz jest gotów zaserwować nowe danie.

Jeremy otrząsa się z zamyślenia i odwraca na fotelu do Coreya.

- Tak myślisz? - pyta.

Corey śmieje się cicho, wyciąga rękę w stronę tej części artykułu, która dotyczy zniknięcia Katie i Matta.

- O tak. Ta para idiotów znikła prawie przed tygodniem. Już po nich. Do bagna z nimi.

Jeremy mimo woli uśmiecha się, słysząc to szczere wyznanie. Miło jest usłyszeć, jak Corey wyraża taką samą pogardę dla gości Jeremy'ego, jaką ma dla nich on sam.

- Możliwe, że masz rację, stary. I wiesz, jak ich znajdą, przynajmniej ustaną te modlitwy przy świecach. Nie mogę już znieść tych atencjuszy z parciem na szkło - mówi, testując granice obojętności kolegi.

Corey ryczy ze śmiechu, lekko się pochylając i kiwając głową.

- A to ci się udało! - woła. - Zakładam się: do weekendu będą karmą dla robali.

Ma niemal stuprocentową rację, co nieco rozczarowuje Jeremy'ego.

- No dobra, już się na mnie gapią. Idę pozarabiać - dodaje Corey, przewracając oczami. Jeremy zauważa, że kierownik łypie na nich, nadęty tą minimalną władzą, jaką ma nad swoim królestwem boksów. Corey stuka pięścią w ściankę boksu, dodając:

- Prawie zapomniałem. W Tap w sobotę występuję na wieczorze dla amatorów. Wpadnij, jeśli będziesz mieć czas. Chętnie zobaczę życzliwą duszę.

Jeremy kiwa głową.

- Dobra, stary. Spróbuję. Powodzenia.

I Corey spieszy do swojego biurka, a Jeremy zabiera się do pracy.



## ROZDZIAŁ 6

Wren nie może zaznać spokoju. Niezidentyfikowane ciała w kostnicy bezbrzeźnie ją irytują. Na ogół chodzi o jej neurotyczną potrzebę doprowadzenia wszystkiego do końca i odhaczenia pozycji z listy spraw do załatwienia. Nie lubi niezakończonych spraw, zwłaszcza gdy przypomina sobie o nich za każdym razem, kiedy otwiera drzwi zamrażarki. Czuje też ważniejszy od rozdrażnienia głęboki smutek na myśl o tych bezimiennych ciałach. Widzi je w nocy, gdy zamyka oczy. Słyszy ich prośby, by nadać im imię, by zakończyć ich historie epilogiem. Nie może się otrząsnąć ze zgrozy łączącej się ze świadomością, że czyjaś ukochana osoba leży, zapomniana, w worku na zwłoki. Postawiła sobie za punkt honoru, by jej nieznanome nie pozostawały długo anonimowe.

Leroux przesuwa ręką w rękawiczce po różowych plamach opadowych na prawym ramieniu denatki i spogląda na Wren.

- Czyli stara się utrudnić nam określenie czasu śmierci - mówi. To raczej stwierdzenie niż pytanie.

Wren nie odrywa wzroku od kobiety.

- Z sukcesem - odpowiada, kręcąc głową w zamyśleniu, po czym zakłada nowe ostrze na rączkę skalpela.

- To dziwnie konkretna rzecz, nie? Ilu gnojków twoim zdaniem wie, że tak można?

Wren nie odpowiada. Nacina skórę zwłok. Gniewnie potrząsa głową. Leroux śmieje się ironicznie, cofa się o krok i poprawia maskę.

- Pewnie zrobił to wyłącznie po to, żeby wkurzyć lekarza sądowego - żartuje i przechyla głowę. - Za wysoko cenisz tego gościa. Z mojego doświadczenia wynika, że to na ogół barany w wilczej skórce.

Wren przestaje pracować i rzuca mu rozdrażnione spojrzenie.

- Nie powiedziałam, że tylko o to mu chodzi. Nie lubię, kiedy jakiś tchórzliwy gnojek, który uważa się za Hannibala Lectera, sprawdza moje umiejętności.

Wren bierze narzędzie przypominające sekator i przecina nim żebra od dołu aż po obojczyki. Siła, jakiej trzeba użyć, i trzask kości rozładowują jej frustrację. Twardy obojczyk wymaga wyjątkowego natężenia mięśni, co w tej chwili sprawia jej przyjemność.

- No to nie spodoba ci się ta informacja. - Leroux ustępuje na bok, dając jej dostęp do lewej strony klatki piersiowej.

Wren wzdycha, nie odrywając się od pracy.

- Mów - rzuca pomiędzy trzaśnięciami kości.

Leroux odrzuca połączenie przychodzące na jego komórkę i opiera się o blat.

- Jesteśmy niemal pewni, że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą.

- Nieee...! - woła Wren z udawanym zdumieniem.

Policjant mierzy ją lodowatym spojrzeniem.

- Sama mogłam ci to powiedzieć - dodaje, pozwalając sobie na uśmiešek. - Kiedy przyjmiecie mnie do policji?

Leroux przymyka oczy.

- No dobrze, to jeszcze nie wszystko, Muller. - Staje po drugiej stronie stołu i opiera się o niego obiema rękami. - Ten potencjalny seryjny zabójca zostawia nam wskazówki o miejscu, w którym znajdziemy następane ciało. Uważamy, że podrzucił nam trop, ale nie potrafimy go na razie rozszyfrować.

- Będziesz musiał rozwinąć tę myśl, kolego. - Wren odwraca się do niego i przechyla głowę.

- Powoli, Muller. Nie mamy stuprocentowej pewności. Być może morderca chce nam podpowiedzieć miejsce pozostawienia następnych zwłok poprzez śmieci, które zostawia w ciałach. Ta ofiara leżąca za Twelve Mile Limit? Pewnie pamiętasz kartkę wtłoczoną do gardła.

Wren nieruchomości i kiwa głową, czekając na resztę informacji. Dwa ostatnie ciała znalezione z dziwnymi przedmiotami. Mimo woli uśmiecha się ironicznie na myśl o mordercy silącym się na takie teatralne sztuczki. Czy odebranie życia nie jest wystarczająco dramatyczne? Czy mordercy tak bardzo zależy na uwadze, że musi ukrywać wiadomości w zwłokach jak w matryosce? Zawsze chodzi o dominację. Taki potwór czerpie poczucie siły ze świadomości, że wszyscy wiedzą, kto tu jest szefem. Wren wie, że to bardziej oznaka niepewności siebie, jak wtedy, gdy ktoś opowiada żart i przez pół godziny go wyjaśnia. Nie pozwala mu przemówić własnym głosem. To desperackie, żenujące zachowanie, charakterystyczne tylko dla najbardziej żalonych znanych zabójców, obsesyjnie narcystycznych pomniejszych demonów, które domagają się owacji na stojąco.

Dennis Rader, znany też jako BTK, w latach siedemdziesiątych nie ograniczył się do śledzenia i zabijania niewinnych kobiet w ich domach. Tak bardzo pragnął niesławy, że dzwonił na policję i kierował śledczych na miejsca swoich zbrodni. Gdy zmęczony się raportowaniem o własnych dokonaniach, nabrał zwyczaju pisania listów i wierszy do gazet oraz zostawiania na mieście dziwnych drobiazgów dla policji. Ostatecznie to pragnienie zwrócenia na siebie uwagi stało się jego przekleństwem. BTK zrobił się tak nieuważny w pogoni, by znaleźć się na pierwszych stronach gazet, że naprawdę spytał w liście, czy policjanci mogliby go odnaleźć na podstawie dyskietki. Odpowiedzieli, że nie, a on im uwierzył. Myślał, że jest tak silny i nietykalny, że nawet policja nagnie się do jego absurdalnych aspiracji. Bardzo się mylił.

- W laboratorium obejrżeli nagranie, przynajmniej jego część. Był to siódmy rozdział taniego powieściłła. Zagadka: w którym bagnie znaleźliśmy naszą drugą scenę zbrodni?

- W Bagnie Siedmiu Sióstr - powiedziała w zamyśleniu. - Ale czy to nie naciągane połączenie? Przynaję, jest dziwne, lecz...

Leroux uciszył ją gestem, zanim zdołała dokończyć myśl.

- Z książki znalezionej na Bagnie Siedmiu Sióstr wydarto jeden rozdział. Siódmy. I potwierdziliśmy, że kartki pochodziły z tej samej książki.

Jest bardzo zadowolony z siebie. Wskazuje na ciało, które kiedyś było żywym człowiekiem.

- I to nie wszystko. W jej ubraniu schowano strzępek papieru. Szukamy na nim wskazówek co do następnego miejsca. Wszyscy moi ludzie nad nim siedzą, ale przyniosłem ksero i dla ciebie. Warto, żeby ktoś spojrzął na to świeżym okiem.

Leroux wyjmuje kartkę z tylnej kieszeni, rozkłada ją i kładzie na blacie przed Wren, która przygląda się jej, zdejmując rękawiczkę.

- Ten wzór z lilią... - Pochyla się nad stołem z ciałem ofiary i wskazuje brzeg kartki. - Jest matowy czy połyskliwy?



- Jakby połyskliwy. Jak brzmi to słowo... - Leroux zamyka oczy i nagle podnosi palec. - Mieniać się. I jakby wytłaczany.

Wren kiwa głową, nie odrywając wzroku od odbitki.

- Co to jest to drugie?

Leroux pochyla się lekko.

- A, to kopia karty bibliotecznej z książki. Tu także przyda się nowe spojrzenie.

- Philip Trudeau. To nazwisko brzmi jakoś znajomo - mówi Wren w zamyśleniu, wpatrzona w nazwisko na karcie.

- Niestety, okazuje się, że to ślepy zaulek - rzuca Leroux z jękiem.

- No tak, nie jestem z policji, ale intuicja cywila podpowiada mi, że kiedy sprawca zostawia na miejscu zabójstwa swoje nazwisko i numer, to pewnie zbyt piękne, żeby było prawdziwe.

- Tak, tak. Znaleźliśmy tego Philipa Trudeau. Mieszka w Massachusetts. Nie był w Luizjanie od liceum, czyli jakichś dwudziestu paru lat. A ta książka jeszcze dziesięć dni temu znajdowała się w bibliotece publicznej w Lafayette. - Leroux zerka na telefon i wzdycha. - Muszę odebrać, ale myśl nad tym.

Wybiega z kostnicy. Wren kładzie odbitkę na blacie za plecami i wkłada czystą rękawiczkę. Otwiera klatkę piersiową ofiary i spogląda na zegar nad drzwiami.

- To będzie długa noc, skarbie.



## ROZDZIAŁ 7

Jeremy kończy pracę o 17:08. Zbiera rzeczy i rusza do drzwi.

- Sobota! - woła Corey z morza boksów.

Jeremy unosi rękę, ale nie odpowiada. Mija portiernię i wychodzi na parking. Wzdycha głęboko; stres niemal natychmiast opuszcza jego ciało. Kiszanie się w tym ciasnym boksie to czyste barbarzyństwo.

Gdy siada za kierownicą, otacza go upał, nagromadzony w samochodzie przez cały dzień. Włączenie klimatyzacji nie przynosi szybkiej ulgi. Teraz ze wszystkich stron dmucha na niego gorące, zatęchłe powietrze. Otworzenie okna tylko nieznacznie łagodzi duszność. Gdy w końcu do wnętrza auta zaczyna napływać chłód, Jeremy czuje, jak bardzo się dusił, i zastanawia się mimo woli, czy tak właśnie się czują ofiary: przelotny moment bezradnej, przejmującej paniki, a po nim nagła fala ulgi.

Ale Jeremy nie zajmuje się niesieniem ulgi. Nie, on skupił się wyłącznie na zadawaniu cierpienia. Mechanika bólu jest zarazem misterna i prosta, fundamentalna dychotomia. Od strony fizjologii ból wymaga idealnie zgranej symfonii reakcji chemicznych. Każdy element musi się uruchomić w idealnym momencie, by stworzyć to uczucie. Bodziec wysyła impuls przez włókna nerwów obwodowych, następnie odczuty i rozpoznany przez korę somatosensoryczną. Jeśli któryś etap podróży bodźca zostanie przerwany, ból będzie mniejszy. Co za ironia - ten skomplikowany proces mógłby zainicjować nawet troglodyta. Wystarczy tylko przedmiot, ostry lub tępy, oraz siła fizyczna. Fascynujące.

Jeremy pamięta, jak pierwszy raz zobaczył i zrozumiał ból. Miał pewnie jakieś siedem lat. Czytał książkę w salonie domu, w którym nadal mieszka. Odwracając kartkę, usłyszał furgonetkę ojca zatrzymującą się na piaszczystym podjeździe. Drzwi otworzyły się i zatrzasnęły tak głośno, że ojciec musiał być zdenerwowany. Mamrotał, przeklinał i spluwał, człapiąc do szopy.

Jeremy poderwał się na nogi i wybiegł, żeby sprawdzić, co się dzieje, a wtedy usłyszał coś nowego. Ten dźwięk dobiegał z paki furgonetki i brzmiało w nim cierpienie. Początkowo Jeremy sądził, że to chore dziecko - ten głos był tak ludzki i cierpiący, szereg szlochów, a po nim przeciągły, bolesny jęk. Fascynował go i jednocześnie odstręczał, wibrował w każdej komórce jego ciała. Skwar tego późnego popołudnia kładł się na nim jak ciężka kołdra, złowrogi, przerażający, budzący chęć, by się schować. A jednocześnie coś go wzywało do tego wrzeszczącego ciała na furgonetce, jakby przyciągała go niewidzialna nić. Podciągnął się na nią i ujrzał przerażoną, dziwnie wykręconą sarnę. Zauważył jej złamaną nogę i otwartą ranę, ciągnącą się od lewego kąta jej pyska po bark. Jej boki i brzuch unosiły się i opadały w rytm tak wytężonych, bolesnych oddechów, że on też się do nich dostosował. Krew kapiała jej z nosa, jej spojrzenie było oszalałe ze strachu i bólu. Jeremy jeszcze dziś widzi te oczy, gdy tylko przymyka powieki. Nie mógł od nich oderwać wzroku. Przez parę sekund stał tam i dzielił tę koszmarną chwilę z piękną istotą.

Nagle wokół rozbrzmiała muzyka. Ojciec włączył stareńkie radio w szopie. Zawsze lubił pracować przy muzyce. Z głośników popłynął głos Nancy Sinatry

śpiewającej *These Boots Are Made for Walkin'*.

- Synu, złaź stamtąd. Spłoszysz ją, a trzeba uciszyć te cholerne wrzaski - polecił ojciec, wracając z szopy. Na ramieniu niósł strzelbę. Gestem ponaglił Jeremy'ego, by odsunął się od krzyczącego zwierzęcia.

- Tato, co się stało? - spytał nieśmiało Jeremy, zeskakując z paki.

Ojciec przesunął dłonią po płowych włosach i potarł nerwowo brodę ze znajomym chrzęstem zarostu.

- Wbiegła mi pod koła. Leżała na szosie cała powykręcana. Nie mogłem jej tam zostawić, żeby się męczyła. Nie miałem przy sobie strzelby, no to ją tu przywiozłem - odparł rzeczowo. Poszedł na tyły furgonetki i otworzył pakę.

Teraz sarna była lepiej widoczna; leżała na starej brudnej płachtie, niegdyś białej, obecnie w paskudnym odcieniu beżu. Materiał przesiąkł krwią. Z pyska wystawał jej język. Jeremy wpatrywał się w niego z osłupieniem. Tymczasem ojciec przytoczył dużą taczkę i spojrzął na syna.

- Dobrze, że tu jesteś - powiedział i klepnął Jeremy'ego w plecy z siłą, od której chłopiec stracił równowagę.

- Co chcesz zrobić? - zapytał Jeremy naiwnie.

- No, trzeba ją zabić. Bylibyśmy potworami, gdybyśmy pozwolili jej zbyt długo cierpieć.

Oddech utknął Jeremy'emu w gardle.

- Zabić? - spytał, nie odrywając spojrzenia od sarny.

- Takie jest życie, synu. Nie możesz pozwolić, by stworzenie cierpiało bez potrzeby. Poza tym istnieje hierarchia. Jedni są na górze, inni istnieją po to, żeby im służyć. Dzięki ofierze tej sarny będziemy mieć dobre mięso. - Ojciec szarpnął za płachtę; ranne zwierzę zatrzęsło się od nagłego ruchu. - Chodź no, pomóż mi ją zdjąć.

Jeremy jak w transie pomógł ojcu przyciągnąć płachtę na skraj paki i wskoczył na nią, by opuścić sarnę na ziemię. Zwierzę krzyczało głośno i natarczywie, jakby wzywało stado na pomoc, choć za bardzo się od niego oddaliło.

Sarna spadła na taczkę z ohydym lupnięciem. Rozległ się cichy trzask i nowe, bardziej piskliwe krzyki. Ojciec szybko zawiózł zwierzę na tyły domu. Jeremy siedł z nim w milczeniu. Gdy dotarli do linii drzew, pomógł przenieść sarnę na trawę.

- Stań obok mnie, synu. - Ojciec przywołał go do siebie.

Wycelował strzelbę w dół, ku głowie sarny, dotykając stopą jej tylnej nogi. Zwierzę krzyknęło jeszcze głośniejsze, jakby czuło bliskość zagrożenia.

- Teraz musisz ją trafić między oczy - powiedział ojciec cicho. - Z rannym zwierzęciem trzeba się szybko rozprawić.

Przy ostatnim słowie bez ostrzeżenia pociągnął za spust. Jeremy drgnął, przestraszony nagłym hałasem. Wszystko jakby zwolniło, gdy głowa sarny odskoczyła. Potem cisza zwała się na nich jak ściana deszczu. Jeremy zadrzał. Przez chwilę stali w milczeniu, ojciec i on. Jeremy teraz wie, że tego dnia przeżył przełom. Zobaczył cierpienie, ból i ulgę, jaką niesie śmierć.

Jeremy wchodzi do domu i rzuca klucze na miedzianą taczkę za drzwiami. Wyobraża sobie, że ten nagły brzęk metalu przeraża jego gości, i ta myśl go podnieca. Idzie prosto do kuchennego zlewu, gdzie energicznie szoruje ręce, żeby pozbyć się zarazków, które z pewnością przyniosł z pracy. Rozpina koszulę i w radosnym oczekiwaniu idzie do drzwi piwnicy. Zatrzymuje się tylko na chwilę, by powiesić koszulę na haczyku umieszczonym w strategicznym miejscu na ścianie. Wygląda biały podkoszulek, otwiera drzwi piwnicy i rusza w dół po schodach.



## ROZDZIAŁ 8

Wren przesuwa kartą przez czytnik w drzwiach kostnicy i schodzi po schodach na parking na tyłach budynku. Siada za kierownicą skromnego czarnego sedana i szybko blokuje drzwi. Widziała zbyt wiele przykładów na to, co się dzieje z ludźmi zbyt bezpiecznie czującymi się w samochodzie, gdy w pobliżu czai się drapieżnik.

Siedzi przez chwilę, by się uspokoić przed powrotem do domu. Gorący powiew przynosi cichą rozmowę; Wren podnosi głowę i widzi Leroux, który wypada jak burza przez tylne drzwi, przeczesując dłonią włosy. Chce do niego zawołać, ale Leroux właśnie dotyka ekranu telefonu i zbliża go do ust. Włączył go na głośnik; osoba po drugiej stronie mówi pospiesznie:

- Tu Ben. Książka jest czysta.

Leroux wdycha głośno, siadając za kierownicą swojego samochodu. Wyjmuje papierosa zza lusterka.

- Nie ma nawet częściowego odcisku?

- Przykro mi, stary. - Ben ma autentycznie rozczarowany głos. - Myślałem, że tym razem coś będzie.

Leroux przez moment siedzi, trzymając papieros tuż przed ustami.

- Gnojek włożył rękawiczki w bibliotecę? Jak mu się udaje nie zostawiać śladów? - burczy, po czym zapala papierosa i zaciąga się szybko i głęboko. - Najpierw ograł Muller, a teraz ciebie? Gdzie się podziiali wszyscy moi eksperci?

Wren czuje się urażona, lecz patrzy, jak Leroux wydycha chmurę dymu, która wypływa przez opuszczone okno. Leroux pracuje na tyle długo, by wiedzieć, że żadna sprawa nie jest tak ładna i schludna jak w telewizji. Ale przyzwyczył się, że znajduje jakiś ślad.

Nawet Israel Keyes, jeden z najbardziej drobiazgowych i wyjątkowo przebiegłych seryjnych zabójców, jakich widział świat, w końcu się potknął. Wszystkie jego poczynania były starannie przemyślane. Zawsze był w ruchu, zmieniał samoloty, samochody i pociągi, by porwać i zabić przypadkowe ofiary, przechowywał swoje zestawy zabójcy po całych Stanach, żeby czekały na niego, kiedy przybędzie. Po tylu wysiłkach, by ofiary dzieliła duża odległość, do jego schwywania doprowadziła zbrodnia, którą popełnił we własnym mieście. Gdy zobaczył młodą baristkę w małej budce w Anchorage, którą zamierzał tego wieczoru okraść, zapomniał o starannie pielęgnowanym panowaniu nad sobą. Porwał, zgwałcił i zabił dziewczynę w swoim samochodzie, bez planu i zastanowienia. To spontaniczne działanie zarejestrowały kamery miejskie, a gdy usiłował uciec, kamery banku nagrały, jak opuszczając miasto, używa karty w bankomacie. Doprowadzone do perfekcji rządy terroru legły w gruzach przez zwykłą bezmyślność. Wren ma nadzieję, że tego zabójcę spotka podobny los.

Twarz Leroux, zaciągającego się kolejną chmurą toksyn dla uspokojenia rozedrganych nerwów, jest jak otwarta księga. Zastanawia się, czy Nowy Orlean wydał seryjnego zabójcę, który przewyższa nawet makiaweliczny umysł Israela Keyesa. Z głośnika komórki słychać śmiech Bena i szum ekspresu do kawy w tle.

- No, przynajmniej Muller też utknęła.

Leroux wdycha.

- Czyli wracam do punktu zero - mówi z jękiem. - Dzięki, stary.

- Spoko. - Ben rozłącza się szybko.

Wren nie potrafi długo się gniewać. Wszyscy pracują uczciwie. Leroux wygląda jak z krzyża zdjęty. Gdy wyrzuca niedopałek przez okno i wyjeżdża z parkingu, widać ciemne cienie pod jego oczami. Wren wdycha i też włącza silnik. Radio odzywa się nieprzyjemnie głośno, rozbrzmiewając ogłuszająco na prawie zupełnie pustych ulicach. Wren przykręca dźwięk i łączy telefon z Bluetoothem samochodu. Wybiera podcast, którego wysłucha podczas krótkiej drogi do domu, ale nie znajduje w nim pociechy. Nie potrafi przestać myśleć o nazwisku na karcie bibliotecznej. Leroux twierdzi, że ten Philip Trudeau to fałszywy trop, jednak Wren nie może się pozbyć wrażenia, że gdzieś już słyszała to nazwisko.

*Ilu Philipów Trudeau spotyka się w życiu?*

Skreca w swoją ulicę i zastanawia się, czy powinna słuchać coraz bardziej niepokojącego ją wewnętrznego głosu, czy też Leroux i innych policjantów z wydziału śledczego, którzy z pewnością słusznie wykluczyli człowieka z Massachusetts. Wjeżdża na podjazd i wchodzi po schodkach na stary rozchwiany ganek. Dom jest wyraźnie nadgryziony zębem czasu, ale Wren uwielbia jego charakter i liczne dziwactwa.

Wren otwiera drzwi frontowe, wchodzi do kuchni i upuszcza torby na podłogę. Jest wykończona, ale wie, że na razie nie zaśnie. Zerka na zegarek na piekarniku i robi sobie kawę. Większość jej znajomych po ciężkim dniu w pracy nalewa sobie wielki kielich czerwonego wina, lecz ona nigdy za nim nie przepadała. Dla niej smakuje jak cierpki sok z winogron, który za długo stał na słońcu i powoduje tylko ból głowy. Ciepły, miły zapach świeżo zaparzonej kawy natychmiast uspokaja jej myśli. Wren opiera się o blat stołu i słucha posykiwania i bulgotu ekspresu.

*Philip Trudeau.*

Powtarza to imię w myślach, a potem na głos, w nadziei, że jakies od dawna zapomniane wspomnienie nagle się jej objawi. Uważa, żeby nie obudzić śpiącego na piętrze męża. Richard wstaje rano do pracy, a Wren ze względu na niego stara się panować nad swoimi obyczajami nocnego marka.

Trzymając kubek z kawą w obu dłoniach, idzie do małej sofki w salonie i pada na jej wysiedziane poduchy. Richard wychodzi ze skóry, żeby ją namówić na wymianę tego mebelka, ale ona nie potrafi się z nim rozstać. Ma wrażenie, że ta sofka ją zna. Nowe meble zawsze przechodzą przez ten zbyt długi okres zapoznawczy, gdy nie obejmują cię tak, jak trzeba. Sztywność nowej kanapy to coś, na co Wren po prostu nie ma cierpliwości, zwłaszcza ostatnio.

Jeszcze nie potrafi odpuścić tego dnia na tyle, żeby choćby pomyśleć o zaśnięciu. Myślami ciągle wraca do ofiary w prosektorium. Jej wzdęte, umęczone ciało jest jak potykacz dla myśli Wren. Zabójca jest inteligentny - na tyle, że wiedział, jaki kłopot w określeniu czasu zgonu sprawi zamrożenie ciała. Teraz też wykazał się sprytem. Zadbał o ukrycie swojej tożsamości, co świadczy o tym, że potrafi się uczyć i adaptować. Sposób, w jaki odbiera życie swoim ofiarom, nie jest za każdym razem taki sam - tak jakby to były eksperymenty. Morderca ma otwarty umysł i drobiazgowość naukowca - niebezpieczna kombinacja.

- Wren!

- Co? Cześć. Cześć, skarbie - odpowiada Wren, wyrwana z zamyślenia przez znajomy głos.

Richard ziewa i człapie do wygodnego fotela naprzeciwko, na który osuwa się ciężko.

- Wróciłaś? - Uśmiecha się, a Wren odpowiada cichym śmiechem.

- Przepraszam, nie chciałam cię obudzić. Muszę ochłonać, zanim pójde spać.

- Chyba na chwilę odpłynęłaś. Zawołałem cię dwa razy, zanim mnie usłyszałaś.

- To była długa noc.

Wren wtula się w sofę i pociąga łyk kawy. Richard pochyla się, opierając łokcie na kolanach.

- Tak, coś mi mówiło, że dziś cię przeczolągają.

On zawsze rozumie. Czasem Wren zastanawia się, jak to możliwe, ale nigdy nie uważa, że to się jej należy.

- Ta sprawa jest szczególnie wkurzająca, nie mówiąc już o tym, że brutalna - mówi z westchnieniem, zagryzając wargę. - Chcę tylko znaleźć tego gościa.

- Wren, halo. Nie musisz go znajdować. To robota policji. Ty się skup na tym, co robisz najlepiej. Pracuj na informacjach, które dostajesz.

Ma rację i ona to wie. Ale Richard nie ma pojęcia o Philipie Trudeau i męczącym ją przeczuciu, że z tym nazwiskiem coś się łączy. Zamiast mu o tym opowiedzieć, dla świętego spokoju rzuca, wstając:

- Masz rację, wiem.

- Chodźmy spać.

Wren kiwa głową i idzie do zlewu, a Richard człapie po schodach. Wren wylewa resztki wystygłej kawy i widzi swoje obicie w oknie. Żałośnie się dziś prezentuje.

Zauważa, że doniczkowa bazylia na parapecie wkrótce uschnie. Szybko zasila ją wodą z kranu; za parę godzin roślina będzie jak nowa.

- Pij, mała.

Wyłącza światło i idzie na górę do sypialni, zastanawiając się, czy seryjni zabójcy też podlewają kwiatki.





## ROZDZIAŁ 9

Kiedy są korki, droga na uczelnię może trwać godzinami. Czasami Jeremy nie ma nic przeciwko temu ślimaczemu tempu. To jego czas sam na sam ze sobą i ze swoimi myślami.

Ale nie dziś.

Dziś Jeremy jest niespokojny. W jego nogach biegają miliony mrówek. Tupie stopą, żeby je spłoszyć, jednak na próżno. Bardzo długo zastanawiał się, co pragnie stworzyć. Teraz, gdy ten proces prawie dobiegł końca, Jeremy nie potrafi przestać o tym myśleć. Nie może przestać ciągle odtwarzać tej gry w pamięci. Już słyszy odgłosy otoczenia i czuje zapach desperacji. Włącza radio, nastawia je na lokalną stację i ścisza nasadę nosa.

- Ofiara, dwudziestoparoletnia biała kobieta, została znaleziona wczesnym rankiem na zapleczu popularnego miejscowego baru. Patolog sądowy przeprowadzi dziś sekcję zwłok.

Serce Jeremy'ego przyspiesza, policzki płoną. Zawsze czuje falę szczególnego podniecenia na wieść, że ta zbieranina niekompetentnych policjantów przyjęła któregoś jego gościa. Jedyne, co powstrzymuje ich od dołączenia do szeregów przestępców, których ścigają, to udawana moralność. Wydmuszka, która może w każdej chwili pęknąć.

No i jeszcze patolog. Choć każdy z nich święcie wierzy, że zwłoki mogą do nich przemówić, to nieprawda. Udaje im się określić czas zgonu - czasami - ale nie mają bladego pojęcia, co się dzieje w umyśle ofiary, która walczy o ostatnie łyki cennego, nieosiągalnego powietrza. Lekarz może dość precyzyjnie wyjaśnić, co się dzieje, gdy serce przestaje bić, lecz nie opublikuje analizy spojrzenia prawdziwie cierpiącej osoby, nie obliczy niepohamowanej rozkoszy, która rodzi się ze sprawiania bólu. Patolog trzymał w ręce piłę do kości, ale nigdy nie chwycił nikogo za gardło. Śmierć i ból nie dają się wyjaśnić w raporcie z sekcji, nie tak naprawdę. To pierwotne doznania, których nie sposób się nauczyć w szkole czy laboratorium.

Ten zespół tak zwanych ekspertów, nadal ścigający systematycznego zabójcę z ustalonym schematem działania, nie ma pojęcia, co Jeremy dla niego przygotował. Nikt nie przewidzi zmiany metody. Podczas gdy oni będą się pocić nad jego od dawna nieaktualnym profilem, on opracuje swoje opus magnum.

Korek się rozluźnia; Jeremy otrząsa się z zamyślenia.

*Złap mnie, jeśli potrafisz.*



## ROZDZIAŁ 10

### CZY TO ŚMIERĆ?

Otoczają ją ciemności tak gęste, że mogłaby je ugryźć. Przygniata ją nieznosny upał. Serce jej przyspiesza i czerń zabarwia się czerwonym blaskiem. Wren zmusza się do otwarcia ust; w gardle uwiera ją niewyplakany szloch. Pierś ją boli. Wren usiłuje krzyżeć, wzywać pomocy, ale z jej ust nie wydobywa się żaden dźwięk.

Potem, bez ostrzeżenia, ciemność się rozprasza i pojawiają się jej rodzice. Stoją razem w olśniewająco białym pokoju. Matka ściska ojca za ramię. Ich twarze wykrzywia cierpienie. Wren obejmuje ich oboje. Ogarnia ją znajomy zapach pachnącej jabłkami matki i bezpieczna woń ojca, czysta i ciepła. Wren wtula się w nich przez chwilę, sycąc się ulgą.

Nagły chłód.

Nie otaczają jej niczyje ramiona. Wren cofa się, żeby spojrzeć na rodziców. Spogląda w ich zażawione oczy, lecz oni patrzą przez nią jak przez szkło.

- Mamo, tato! - woła Wren, kładąc dłonie na ich policzkach.

Rodzice tulą się do siebie, ale jej jakby nie dostrzegają. Znowu robi się jej gorąco - mocna, pulsująca fala żaru, zmieszana z mdłościami. Wren woła, wyteżając głos, żeby przebić się przez szum, tak głośny, że aż rani jej uszy.

- Mamo! Gdzie my jesteśmy? Pomóż mi! - błaga, jednak nikt jej nie odpowiada.

Oczy matki są zmęczone i zaczerwienione od płaczu. Wygląda rozpaczliwie i nie odpowiada na łkanie Wren. Potem przez szum przebija się jakiś dźwięk. Jest znajomy, ale to nie jest jej głos ani głosy rodziców.

- Umierasz, Wren - mówi jakiś mężczyzna od niechcenia.

Krew ścina się jej lodem. Wren spogląda na twarze rodziców, nadal czepia się ich, nie chce spojrzeć za siebie. Rodzice rozplywają się jak dym i nic po nich nie zostaje. Wren upada na kolana. Kolejny zdławiony szloch wyrwa się jej z gardła. Przechodzi ją dreszcz, gdy mężczyzna znowu się odzywa.

- Co się dzieje z twoimi nogami? - pyta.

Wren spogląda na swoje uda i wstaje z klęczek. Kiedy stawia stopy na ziemi, czuje się, jakby brodziła w wodzie. Zatacza się. Mężczyzna się śmieje. Śmieje się długo i szyderczo, a gdy Wren znowu pada na kolana, ten śmiech przechodzi w rechot.

- Moje nogi... - szepcze Wren.

Nie ma w nich czucia, są jak zeschnięta gałąź prastarego drzewa. W końcu Wren odwraca się i patrzy na niego. Jest czysty, niemal sterylny, w białym podkoszulku i dżinsach bez jednej grudki ziemi. Twarz ma zamazaną. Podchodzi do niej, a Wren czuje, jak powietrze uchodzi z jej płuc. Spazmatycznie kaszle i się krztusi, jakby ktoś wtłoczył jej do gardła rozpalony pogrzebacz.

- Ćśśś - szepcze on łagodnie. Kuca koło niej i przykłada palec do ust.

Wren nie widzi jego twarzy, ale wyczuwa jego uśmiech. Odruchowo odczołguje się od niego. Ciągnie ciężkie nogi i dłonie przez śliskie podłoże, rozpaczliwie stara się oddalić.

- Biegnij! - odzywa się cicho mężczyzna.

Wren usiłuje płakać, lecz z jej ust nie wydobywa się nic, nawet oddech. Pokój przerechyla się i kołysze, żar zaczyna ją przygniatać.

- Biegnij! - powtarza, już głośniej. Śmieje się, widząc jej wzdrygnięcie.

Wren kręci głową i dźwiga się z ziemi, opierając się na jednej ręce. Wszystko tonie we mgle, biały pokój zmienia się na jej oczach w ciężką zasłonę. Gdy ciemność zaczyna zaciskać się wokół niej jak winieta, dobiega ją kolejny, przerażający dźwięk.

- Biegnij! - krzyczy mężczyzna.

Wren siada gwałtownie, zdyszana, zlana potem. Przez okno wpadają strumienie światła. Przez chwilę nie wie, czy to jawa, czy nie zagraża jej ten przerażający koszmar. Rozgląda się, mrużąc oczy, stara się zmusić mózg do ogarnięcia rzeczywistości. Serce łomocze jej w piersi i nie od razu udaje jej się odetchnąć głębiej.

- Boże. W życiu nie miałam takiego koszmaru - mamrocze do pustego pokoju, siedząc na łóżku i kołysząc nogami.

Niechący wyłączyła budzik, zanim zadzwonił. Przez okno w bocznej ścianie pokoju wpadają promienie słońca. Cień układa się ukośnie, podkreślając odłazącą miejscami farbę. Wren nie potrafi się uwolnić od tej paranoi, która ciągle jej towarzyszy. Te nieznanne włoki wracają z nią do domu i istnieje obawa, że ich morderca też to zrobi. Wren kręci głową, usiłując się pozbyć tych natrętnych myśli. Jest za wcześnie. Ustawia żaluzje w normalnej pozycji i idzie pod prysznic.

Myje zęby, czekając, aż woda zrobi się ciepła. Znowu wraca gonitwa myśli. Wren odhacza kolejne etapy pielęgnacji, myśląc o następnym wolnym dniu. Naprawdę chciałaby odpocząć od tych zwłok, znajdujących w każdym kącie miasta. Dwadzieścia cztery godziny wolne od konieczności zaglądania w czyjaś klatkę piersiową wydają się niemal nierealną fantazją. A mogłaby po prostu siedzieć u boku męża i zupełnie nic nie robić. Richard ostatnio tyle razy powtórzył żart „Wygładasz całkiem jak moja żona”, że znowu zaczęło ją to śmieszyć.

Wren otrząsa się z zamyślenia i zakręca piszczący kran prysznic. Koniec tych ablucji, pora przygotować się na zderzenie z rzeczywistością.

Wren macha identyfikatorem przed czytnikiem i otwiera ciężkie stalowe drzwi. Niemal natychmiast natrafia na ścianę zatęchłego powietrza. Brnie przez nie do gabinetu.

Rzuca klucze na biurko i zauważa nową stertę akt zajmującą miejsce na jej tacce „Nowe sprawy”. Wzdycha i kręci głową. Na ogół perspektywa ciężkiej pracy jej nie przeszkadza, ale wiadomości o znalezionych w pobliżu nowych zwłokach i panice, którą media zasiewają w społeczności, wywierają na niej presję. Sterta nowych spraw to najgorszy z możliwych scenariuszy.

- Możecie do mnie zajrzeć? - woła Wren, opadając na krzesło. Niemal natychmiast do jej gabinetu wbiega dwójka asystentów. Jeden został zaskoczony podczas wiązania butów i teraz potyka się i leci głową prosto na biblioteczkę z atlasami anatomicznymi. Hamuje w ostatniej chwili, oblany szkarłatnym rumieńcem. Zawsze był bardzo nerwowo.

- Dzień dobry, pani doktor. W czym możemy pomóc?

- Dzień dobry. Potrzebuję waszej pomocy przy przygotowaniu paru spraw - oznajmia Wren, otwierając dwie pierwsze teczki z aktami. - Mamy tu podejrzenie przedawkowania - dwudziestotrzylatka, znaleziona za Tap Out. Dopilnujcie,

żebyśmy mieli jak najwięcej próbek. Po lewej stronie szafy w korytarzu są nowe fiolki ze środkami przeciwwzakrzepowymi.

Młody asystent kiwa głową i bierze teczkę.

- Jasne. Mam wyjąć wszystkie organy? - pyta, idąc do drzwi.

- Tak, poproszę. Nie zauważyłam żadnych zewnętrznych oznak urazu, ale jeśli na jakies natrafisz, daj mi znać.

Wren otwiera drugą teczkę i odwraca się do czekającej przy drzwiach drugiej asystentki.

- Dla ciebie mam pięćdziesięciosześcioletniego mężczyznę. Wygląda to na zwykle samobójstwo. Znalezione we własnym domu, rana postrzałowa podniebienia. Bez listu pożegnalnego, ale sama rozumiesz. Leworęczny, więc dopilnuj, żeby zbadać tę rękę na obecność śladów GSR.

Pozbywszy się mniej naglących spraw, Wren wstaje i idzie do prosektorium.

- Dzisiaj cię złapię - oświadcza głośno.

Godziny pracy mijają w okamgnieniu. Leroux znowu wzywa Wren na miejsce zbrodni. Teraz widzi go, idącego wzdłuż krawężnika. Szukając jakiegoś kluczowego dowodu w zaułku za barem, oboje wchłonęli potężną dawkę negatywnej energii otaczającej to miejsce. Drugi dyplom z kryminologii czyni Wren cennym nabytkiem przy takich sprawach - zarówno w prosektorium, jak i poza nim.

Wren myśli o tym, jak bardzo ruchliwa jest to okolica. Trudno sobie wyobrazić, jak zabójca zdołał podrzucić zwłoki tak, że nikt go nie zauważył. Nocą przez ten zaułek przewijają się setki osób. Jest to jednocześnie świetny skrót do ulicy za barem i miejsce, w którym można dyskretnie kupić narkotyki. No ale przecież żaden napruty jak bombowiec bywalec baru nie jest zdolny wnikliwie obserwować otoczenia, zwłaszcza gdy zatacza się w zaułku w drodze do domu. Może morderca zrozumiał, jak proste będzie porzucenie ciała, jeśli zachowa spokój, i tak właśnie zrobił. Wren usiłuje pojąć, jak funkcjonuje taki umysł, lecz widzi, że Leroux już na to zobojętniał. On chce tylko znaleźć nazwisko.

Miejsce, w którym leżały zwłoki, nadal jest poplamione, jakby ktoś wylał tu kawę. Jakby sama ziemia usiłowała wypchnąć odpowiedź na powierzchnię. Wren nieczęsto czuje się tak bezradna, a jednocześnie tak zafascynowana miejscem zbrodni.

- Dobiera sobie ludzi jak hotelowe obrazy - zauważa Leroux, nie podnosząc głowy.

Wren unosi brew i chce go spytać, co ma na myśli, jednak on nie daje jej szansy.

- Łatwych do zapomnienia, ale nie niezauważalnych. Ładnych, ale nie uderzająco pięknych czy imponujących - wyjaśnia.

Ma rację. Te ofiary nie prezentowały się szczególnie efektownie. Nie były szanowanymi członkami społeczeństwa, choć nie żyły też poza jej marginesem. Nie, on nie odbiera życia bezdomnym czy prostytutkom, jak niegdyś mieli to w zwyczaju seryjni zabójcy. Wie, że ta zabawa niemal zawsze spotyka się z wymierzeniem społecznej sprawiedliwości. Polując na ofiary wśród znanych osób, skierowałby na siebie reflektory od pierwszej wyprawy na bagna. Dlatego wykazuje się inteligencją i na swoją ofiarę wybiera zawsze kogoś, kto nie jest ani księciem, ani żebrakiem.

Wren zbiera włosy w koczek na czubku głowy, mocno oplątuje go gumką i wygląda niesforne włoski.

- Są jak drzewa, które padają w lesie. Ich los może obchodzić niektórych, ale większość ludzi chce tylko nazbierać darmowego drewna i iść dalej.

Leroux podnosi głowę. Milczy przez chwilę, chodząc przy krawężniku. Przykuca, wpatrzony w płamę na ziemi, znowu wstaje.

- To by znaczyło, że jest bardzo inteligentny. Całkiem nowy poziom premedytacji - mówi Wren.

Leroux przytakuje.

- Dokładnie. I zdaje się, że stać go na więcej.

Wren przyznaje mu w duchu rację. Oboje zaczynają rozumieć, że dotychczasowe działania zabójcy nie było dziełem przypadku. Scena, którą mają przed sobą, jest efektem starannych badań, planowania i skomplikowanych przemyśleń.

Gdy zbierają się do odejścia, zawiedzeni i przygnieceni ciężarem tej sceny, Leroux coś zauważa. To coś utknęło w głębokim pęknięciu krawężnika oddzielającego chodnik od ulicy. Przykuca i wyciąga z tylnej kieszeni chusteczkę. Bierze przez nią śnieżnobiałą wizytówkę. Unosi ją, odwraca i blednie. To wizytówka z recepcji biura patologa sądowego. Pod logo znajduje się nazwisko i tytuł Wren, a poniżej - jej służbowy numer.

Wren robi krok naprzód i wyciąga rękę po wizytówkę. Leroux podaje ją jej, zdezorientowany. Wren wygląda wytłaczane logo „BIURO PATOLOGA SĄDOWEGO” w prawym rogu. To stary wzór - Wren osobiście zaprojektowała nowy jakieś pół roku temu - ale to z całą pewnością jej wizytówka. Jest czysta, tak czysta, że ktoś musiał ją tu umieścić osobiście - i to niedawno. Ten ktoś zrobił to, gdy ciało ofiary zostało już zabrane, a taśma policyjna zwinięta. Wizytówki tu nie było, gdy policjanci po raz pierwszy przybyli na miejsce. Zauważyliby. Ktoś to zrobił, żeby zostawić wiadomość.

Wren kręci głową.

- To mi się nie podoba. Serio. Mam ochotę uciec, gdzie pieprz rośnie.

- Wierz mi, Muller, na razie nie musisz znikać z horyzontu. Dopilnujemy, żebyś miała obstawę, bo na wizytówce jest twoje nazwisko, ale szczerze? Według niego to pewnie inteligentny sposób przekazania nam, że zna nasze ruchy - mówi Leroux, wyciągając z kieszeni foliową torebkę na dowody. Przejmuje wizytówkę. - I chyba widać, że lubi zastraszać ludzi, zwłaszcza kobiety.

- Błę. Złap tego gościa, bo mnie łapie paranoja.

Leroux wygląda spodnie i ściska Wren za ramię.

- Daję słowo - oznajmia bez wahania.

- Chyba ci nawet wierzę.

- Jestem zaszczycony. - Leroux puszcza do niej oko i idzie do czekającego samochodu. - Wrzucmy to do innych dowodów i zwijajmy się w cholere.

Wren kiwa głową, zaciska powieki i oddycha głęboko, po czym odwraca się do niego.

- Już lecę.





## ROZDZIAŁ 11

Jeremy siedzi w zatłoczonej auli i patrzy tylko na nią. Emily ze skupieniem słucha wykładu z biologii, robi wzorowe, szczegółowe notatki. Píše bezustannie, bransoletka - zawsze obecna na jej przegubie - cichutko brzęczy. Malutkie, srebrne serce ze wszystkimi anatomicznymi szczegółami kołysze się przy każdym ruchu długopisu. Jeremy wyobraża sobie, że tylko on słyszy ten dźwięk. Od czasu do czasu Emily kiwa głową i lekko pochyla długopis, zgadzając się z jakąś teorią. Jej widok znowu napełnia go musującą niecierpliwością. Trudno mu znieść, że Emily tak zupełnie nie zdaje sobie sprawy z tego, co ją wkrótce spotka.

Po trzygodzinnym wykładzie, o wpół do ósmej wieczorem, Jeremy uświadamia sobie, że nie zapisał nawet jednego słowa. Tak głęboko wycofał się w głąb własnego umysłu, że te godziny minęły mu jak minuty. Emily już zbiera swoje rzeczy i idzie do przejścia między krzesłami, więc i on wstaje, nie odrywając od niej wzroku, i zastępuje jej drogę, wykręcając sobie palce tak, że słychać strzelanie stawów. Emily nie od razu go dostrzega; podnosi głowę dopiero, gdy słyszy swoje imię.

- Panna Emily Maloney - szepcze Jeremy, pochylając się do jej ucha.

Zaskoczona Emily chichocze nerwowo, przykładając rękę do piersi.

- Cal! - woła. - Mało nie padłam. Po tych trzech godzinach ledwie widzę na oczy.

Choć minął już cały semestr, Jeremy nadal z opóźnieniem reaguje na swoje fikcyjne imię. Zapisał się na studia jako Cal, podając fałszywe dokumenty. Zdumiewające, jak wiele spraw umyka wypalonym zawodowo urzędnikom. A on ciągle się nie przyzwyczał, że jest Calem, mimo że gra jego rolę na uczelni. Rusza z Emily do wyjścia i słucha jej gadania o wpływie za długich wykładów na zdolności poznawcze studentów. Słucha, ale nie słyszy. Pochłania go to, co się wydarzy za parę minut. Nie będzie mógł się pomylić. Nawet najdrobniejsze potknięcie zakończy się katastrofą. Skręcają i znikają z oczu osobom w budynku biologii. Jeremy zaczyna ostrożnie manipulować szmatką w prawej kieszeni, w której ma też malutką plastikową fiolkę chloroformu.

- Jak myślisz, będziemy mogli korzystać na egzaminie z kalkulatorów? - pyta Emily, bezzwrotnie przeglądając e-maile na komórce.

Jeremy wzrusza ramionami i dyskretnie przekłuba plastikową fiolkę kolcem obrączki, którą ma na kciuku. Ciepły płyn nasącza szmatkę, gdy wchodzi na wielopoziomowy parking.

- No bo wiesz, pewnie dadzą nam liczydła czy coś w tym stylu. Zamiast nas przygotowywać, po prostu ignorują fakt, że w realnym świecie używa się nowoczesnej techniki - ciągnie Emily ze śmiechem. Wyjmuje kluczyki i podchodzi do swojego samochodu. Jeremy odkasłuje. - Jeśli chcesz się pouczyć w weekend, to do mnie zadzwoń.

Jeremy kiwa głową z uśmiechem.

- Jasne, dzięki.

Z jego torby kurierskiej wyslizguje się książka i z kłasnieniem upada na cementowe podłoże. Emily zerka na nią przelotnie. Jeremy podnosi ją i wsuwa

w otwartą kieszeń torby.

- Co to? Szukam jakiegoś dobrego odmóżdżającego czytadła. No wiesz, żeby poczekało dziesięć lat, aż w końcu zostanę lekarzem i nadal nie będę miała na nie czasu. - Emily uśmiecha się szeroko, a on chichocze nerwowo. Trochę go to wytrąciło z równowagi. Teraz musi ochłonać.

- To taka antologia horrorów. Nie nadaje się do uspokajania. - Już jest spokojny. Odruchowo unosi rękę, żeby przeczesać nią włosy, ale się zatrzymuje. - Na pewno musimy się pouczyć. Napiszę. Uważaj na drodze.

- Jasne. Na razie, Cal.

Emily odwraca się, by otworzyć samochód, a on błyskawicznie chwytą ją za kasztanowy koński ogon i wbija jej kolano w udo, by straciła równowagę. Odchyła jej głowę do tyłu i zakrywa jej usta i nos szmatką nasączoną chloroformem, zanim Emily zdoła się połapać, co się dzieje. Kluczyki wypadają jej z palców, na próżno usiłuje się wyrwać. Teraz powinna już zacząć panikować.

Jeremy wpatruje się w jej rozszerzone strachem oczy i cierpliwie czeka, aż chloroform ją obezwładni. Gdy to w końcu następuje i Emily omdlewa, wrzuca ją do bagażnika swojego auta i daje sobie chwilę na uspokojenie oddechu i pozbieranie myśli. Czuje, że adrenalina mu spadła; wtedy wkłada na prawą dłoń rękawiczkę, wyjmując z drugiej kieszeni fiolkę ketaminy i wprowadza ją do małej strzykawki. Obmacuje ramię Emily, szukając odpowiedniej żyły, znajduje ją i wstrzykuje dawkę substancji, która oszołomi dziewczynę, gdy chloroform przestanie działać. Zerka w dół i zauważa coś lśniącego pod samochodem. Podczas szamotaniny spadła jej bransoletka. Podnosi ją i po raz pierwszy przygląda się jej z bliska. Dopiero teraz widzi subtelną literkę E wygrawerowaną na sercu. Wkłada bransoletkę do kieszeni.

Żeby już wszystko było tip-top, krępuje Emily ręce na plecach plastikową trytką, zabiera jej kluczyki do auta i siada za kierownicą. Wzdycha przeciągle i wyciera dłonie mokrą chusteczką, po czym odgarnia z czoła lok włosów ufarbowanych na brązowo zmywalną farbą. Barwnik zaczyna mu spływać wraz z potem. Jeremy zrywa rzadką bródkę Cala i masuje szczękę.

- Dobra robota, Cal - mówi, uśmiechając się z satysfakcją.



## ROZDZIAŁ 12

- A może jednak nie pójdę - mówi Wren, kręcąc dłuższe pasma włosów.

Jedno odmawia współpracy i opada między inne jak mokra wstążka. Wren stoi w łazience, wpatrzona surowo w lustro na apteczce. Wzięła prysznic i włożyła czarną, koronkową imprezową koszulę, którą kupiła prawie rok temu. Ostatnio nieczęsto wychodzi, więc sam fakt, że robi z sobą coś poza nałożeniem pomadki ochronnej, oznacza, że to wyjątkowa okazja.

Richard wychodzi z sypialni po lewej. Codzienną koszulę i garniturowe spodnie zmienił na szary dres i stary podkoszulek. Mierzwi sobie ciemnopłowe włosy i kręci głową.

- Wykluczone - oznajmia. - Wren, musisz choć przez jeden wieczór oderwać myśli od pracy. Zasłużyłaś na prawo do relaksu, wiesz?

- Wiem, ale i tak będą mnie pytać o pracę. Wszyscy chcą poznać koszmarnie szczegóły, zwłaszcza jak wleją w siebie kilka martini - odpowiada Wren, kręcąc kolejne pasmo i poprawiając gotowe loki. - Zwłaszcza moje znajome.

- No ale już się odstrzeżeliłaś. Tyle dobra nie może się zmarnować.

- To będę ładnie wyglądać, siedząc na kanapie. Specjalnie dla ciebie. Może to właśnie będzie teraz mój domowy look. - Wren rzuca mu krzywy uśmiech.

- Jasne, zawsze mówiłem, że bez kilograma tapety na twarzy moja żona nie ma szansy mnie uszczęśliwić.

- Wiedziałam.

Richard pochyla się do lustra, zaglądając w oczy jej odbiciu.

- Nie wykręcisz się z urodzin Lindsey.

Wren przewraca oczami.

- Dobra, dobra. Rozumiem. - Dokańcza ostatnie pasmo i potrząsa porządnymi lokami.

Do Brennan's dociera w pośpiechu. Już się spóźniła. Rozgląda się po zielonej sali w poszukiwaniu znajomych i w końcu zauważa je w tłumie ludzi, śmiejących się i zajądających pięknie skomponowane luizjańskie dania. Lindsey, Debbie i Jenna siedzą na półkolistej kanapie, Marissa zajmuje koralowy fotel naprzeciwko. Na jej widok machają energicznie. Lindsey rozlewa przy okazji trochę drinka na Debbie i Wren w końcu czuje się w tym chaosie swobodnie.

- Przepraszam za spóźnienie, dziewczyny! Coś bym skłamała, ale za dobrze mnie znacie.

Przyjaciółki wybuchają śmiechem. Wren siada obok Marissy. Lindsey przysuwa jej drinka z bacardi i colą udekorowanego cząstką limonki i zaprasza gestem, żeby go wzięła. To jej ulubiony drink - i jedyny, jaki dziś wolno jej wypić, bo patolog sądowy jest zawsze gotowy na wezwanie.

- Znamy, znamy i taką cię kochamy. Jak się cieszę, że się wyrwałaś!

Wren stuka kieliszkiem w kieliszek Lindsey i uśmiecha się na widok całej gamy przekąsek.

Debbie wskazuje ostrygi, piękne i ułożone na talerzu przed Wren.

- Spróbuj najpierw ich. Dosłownie padniesz, takie są dobre.

- A potem określisz przyczynę własnej śmierci i wejdiesz na kompletnie nowy level.

Wszystkie zanoszą się pijackim chichotem. Wren uśmiecha się mimo woli.

- Zawsze staram się doskonalić. A dlaczego te ostrygi są takie zabójcze?

- Bo to ostrygi j'aime - oznajmia Debbie z przesadnym francuskim akcentem.

- Kukurydziana panierka - mamrocze Jenna, pożerając ostrygę.

- A, skoro tak...

Wren bez namysłu kosztuje przysmaku; przyjaciółki nie przesadzały. Dla tych tonących w kreolskim sosie pomidorowym ostryg w chrupiącej panierce mogłaby zostawić Richarda.

- O rety. Okazuje się, że nawet za mało je chwaliłyście - wzdycha i pociąga łyk drinka.

Rozmawiają o pracy, dzieciach, swoich drugich połowach. Plotkują. Jest miło. Gdy talerze i kieliszki pustoszeją, Lindsey podnosi rękę, jakby zgłaszała się do odpowiedzi. Marissa daje jej znak, że może się odezwać i wszystkie się śmieją.

- Tak, Lindsey? - chichocze.

- Słuchajcie, chodźmy do wróżki! Dobrze? - Lindsey składa błagalnie dłonie.

- Zdecydowanie. - Debbie kiwa głową i zabiera swoją kartę leżącą na rachunku na środku stołu.

Jenna robi to samo i pospiesznie dopija resztkę białego wina z kieliszka.

- Chodźmy. Muszę spytać, ile jeszcze pożyje moja teściowa.

- Jenna! Jesteś okropna! - woła Lindsey, trochę za głośno.

Jenna wzrusza ramionami.

- Trochę żartuję. Ale trochę nie.

Wren wstaje, zaśmiewając się, i bierze torebkę.

- Wchodzę w to.

- Pani doktor, czyżbym właśnie usłyszała, że jest pani gotowa, a może nawet chętna do wzięcia udziału w jakichś przesądach? - żartuje Marissa i chwyta Wren za rękę, kładąc jej dłoń na swoim sercu.

- Chodźmy do Bottom of the Cup! To kilka minut stąd! - decyduje Debbie i przesuwa palcem po wyświetlaczu komórki. Pokazuje wszystkim świetne recenzje jednej z najlepszych ezoterycznych herbaciarni w Nowym Orleanie.

- Do Bottom of the Cup! - wołają jednogłośnie.

Droga jest krótka, a na Conti Street i Chartres Avenue owiewa je lekki wiatr. Wren przemierzała tę trasę setki razy, ale miasto zawsze ją zachwyca, zwłaszcza nocą. Światło latarni rzuca długie cienie na ulice. Te cienie wyglądają jak droga, jakby się było loa wzywany przez kapłankę wudu. Nocą Nowy Orlean otula miła aura niesamowitości. Bujne paprocie i pnącza spływają z balkonów jak wstęgi, idealnie komponując się z misternymi żelaznymi kratami, z których słynie Francuska Dzielnica. Dopiero gdy docierają do drzwi Bottom of the Cup i przyjaciółki piszczą z przejęcia, Wren wyzwala się spod czaru.

- No cześć. Wszystkie poprosimy o dziesięciominutowy seans. - Lindsey wskazuje koleżanki, które kiwają głowami.

Mężczyzna za barem uśmiecha się i wstaje.

- Cudownie. Chcecie czytanie z fusów, z ręki czy tarota?

- Jak sądzicie, laski? - pyta Lindsey.

- Ja chcę tarota - odzywa się Wren.

Te karty są jej najbardziej znane. Choć uważa się za sceptyczkę, coś w tarocie wydaje się jej magiczne. Nawet jeśli to bujda na resorach, podoba jej się sam proces, choćby tylko dla jego teatralności i arcyzmu.

- Tarot dla wszystkich! - woła Lindsey.

Wren siada na czarnym krześle w poczekalni i kładzie torebkę na stole przed sobą. Te stoliki słyną z efektownych wzorów ze znakami zodiaku.

- Czy ktoś chce herbatę? - Debbie przygląda się wszystkim smakom. Wren idzie za jej spojrzeniem. Na ścianie wyeksponowano dziesiątki rodzajów herbat wraz z różnymi metafizycznymi artykułami, gwarantującymi dobry nastrój dla każdego, kto pragnie wkroczyć w królestwo marzeń.

- Dobry pomysł. Na co macie ochotę? - Wren przesuwa wzrokiem po nazwach i składach, trochę oneśmielona ogromnym wyborem.

- Jestem rozdarta między Monk's Blend i Buckingham Palace Garden Party - odpowiada Debbie, cicho chichocząc.

- O, zdecydowanie Buckingham Palace Garden Party, choćby tylko dla nazwy - decyduje Wren, odnajdując herbatę na liście. - Poza tym płatki jaśminu i chabra są zbyt kuszące, żeby je sobie odpuścić.

Debbie kiwa głową i znowu podchodzi do lady. Jeszcze przy niej stoi, gdy z zaplecza sklepu wyłania się piękna stara kobieta. Włosy ma upięte w ciasny kokczek na czubku głowy, a kości policzkowych mógłby jej pozazdrościć sam David Bowie. Obok niej idzie mężczyzna w średnim wieku. Ma dobre oczy, gładko ogoloną twarz i gęstwinę jasnych loków.

- Dobry wieczór. Jestem Martine. Możemy przyjąć dwie osoby jednocześnie - wyjaśnia posągowa kobieta. - Jedną prosimy do mnie, drugą do Leo. - Wskazuje swojego towarzysza, a potem wyciąga rękę w zapraszającym geście.

Lindsey podrywa się na nogi i pociąga za sobą Wren.

- Chodźmy, bo nam dziewczyna zaśnie. Od dawna nie była na nogach o tak późnej porze nie z powodu zabójstwa.

- Ale herbata...! - protestuje Wren.

Debbie podbiega i wciska jej w dłoń papierowy kubek.

- Wszystko załatwione. - Puszczą oko, a Wren wydyma usta.

- Dzięki, przyjaciółko - mamrocze ironicznie i wstaje.

Martine lekko dotyka jej ramienia, wskazując drogę. Prowadzi ją krótkim korytarzem do drzwi po prawej stronie. Za nimi stoi czarny stolik z małą zieloną lampą przypominającą zabytkowy kandelabr. Nad stołem wisi wielkie lustro w złotej ramie, a na środku blatu czeka talia kart.

- Usiądź wygodnie. - Martine uśmiecha się i przysuwa Wren krzesło. - Mam nagrywać tę wróżbę?

- Dziękuję, byłoby świetnie.

Wren siada, przysuwa krzesło do stołu i słucha sączącej się w tle przyjemnej i prostej muzyczki jak ze spa. Pochyla się, by spojrzeć z podziwem na misterne wzory na koszulkach kart. Martine uśmiecha się do siebie i sięga po nie delikatnie.

- Piękne, prawda? I bardzo stare. Przekazała mi je babka. Te karty kryją wielki kawał historii.

Martine milczy przez chwilę i spogląda w oczy Wren. Przez moment mierzą się spojrzeniami. Potem Martine odsuwa karty na bok.

- Chcesz, żebym spojrzała na twoją dłoń, zanim postawię ci karty?

Wren kiwa głową bez słowa, zafascynowana. Raczej wątpi, żeby kreski na jej dłoni opowiadały jakąś historię, ale jest zbyt zaciekawiona, by odmówić.

Martine bierze jej dłoń, odwraca wnętrzem do góry i przygląda się jej, rozciągając skórę palcami, żeby lepiej uwydatnić linie.

- Widzisz to? Jakby pierścień? - pyta, przesuwając palcem po małej, wygiętej linii pod wskazującym palcem Wren. Trochę trzeba wyteńczyć wzrok, by ją zauważyć, ale tam jest.

- Tak. Rzeczywiście trochę przypomina pierścień.

- To Pierścień Salomona. Oznacza, że jesteś przywódczynią. Jesteś silna, niezależna i bardzo inteligentna. Mówi mi on także, że czasem te cechy potrafią zrujnować ci życie. Twoja praca i pęd do sukcesu tłumią twoje bardziej twórcze impulsy - mówi Martine. Wren czuje się naga.

*Jak jakaś zmarszczka pod palcem mogła zdradzić aż tyle?*

Martine uśmiecha się i odchyła jej dłoń pod innym kątem.

- Ta linia - ciągnie, wskazując bardzo płytką kreskę ciągnącą się od nasady małego palca między palcem wskazującym i kciukiem - jest wyjątkowa. To mała linia.

Wren widzi jej zarysy, lecz skupia się głównie na twarzy Martine, która marszczy brwi i przykrywa jej dłoń drugą ręką, niemal jakby ją pocieszała.

- Ta linie świadczy o tym, że trudno ci postrzegać życie w abstrakcyjny sposób. Widzisz czern i biel, a nie szarość. Analityczna natura to twoja najmocniejsza strona, ale mam też silne przeświadczenie, że w twojej obecnej sytuacji ma ona szkodliwy wpływ.

Wren mimo woli otwiera usta.

- A co to za sytuacja? - Nie do wiary, że nadal brnie w tę rozmowę.

- Zobaczmy, co powiedzą mi karty - odpowiada spokojnie Martine, podając Wren talię. - Przełoż lewą ręką na dwie kupki. Tak, jak ci serce podpowiada.

Wren posłusznie przekłada karty, ale nic nie czuje, więc robi to na chybił trafił. Martine bierze po jednej karcie z wierzchu każdej kupki i kładzie je na stole.

Obie karty są zwrócone do Martine. Księżyc i Kapłanka. Kobieta lekko przykrywa je dłońmi i spogląda na Wren.

- Te karty są odwrócone do mnie, a raczej, co ważniejsze, odwrócone od ciebie, co zmienia ich znaczenie - zaczyna Martine i zrywa kontakt wzrokowy, kierując spojrzenie na karty. - Księżyc mówi ci, żebyś słuchała swojego wewnętrznego głosu. Otrzymujesz

wiadomości, ale je blokujesz. Wyobrażam sobie na podstawie tego, co odczytałam z twojej dłoni, że to twoja analityczna natura sprawia, że nie jesteś aż tak otwarta na odpowiedzi.

Wren nie wie, co o tym myśleć.

- Kapłanka - kontynuuje Martine. - Interesujące. Tu znowu chodzi o zaufanie swojej intuicji, ale w twoim przypadku ta karta mówi mi także, że otaczają cię tajemnice. Ktoś w twoim obecnym lub przeszłym życiu wciągnął cię w tajemnicę, której możesz nie rozumieć w pełni.

Wren przeszukuje pamięć, usiłując znaleźć sens w tych informacjach o wiadomościach i tajemnicach, ale nic jej się z niczym nie łączy. Martine składa obie kupki kart i znowu je tasuje. Podaje talię Wren i w końcu spogląda jej w oczy.

- Weź jedną kartę.

Jej głos brzmi łagodnie, lecz kryje się w nim siła. Wren w milczeniu wyciąga kartę ze środka talii i oddaje ją Martine, która rzuca ją na stół. Gdy karta spada na blat, kobieta unosi rękę do ust i opiera palec wskazujący na dolnej wardze.

- Dziesiątka Mieczy - oznajmia i dotyka palcem karty, wskazując mężczyznę leżącego na brzuchu i dziesięć mieczy wbitych w jego plecy. Karta emanuje

złowrogą energią, nawet jeśli się nie rozumie jej znaczenia.

- Zdrada - szepcze Martine i podnosi oczy na Wren. - Zrobił coś strasznego.

Te słowa wstrząsają Wren.

- Kto? Kto zrobił coś strasznego?

Martine kręci głową.

- Wiesz. Słuchaj intuicji - radzi, znowu dotykając kart Księżycy i Kapłanki.

- Jak? - pyta Wren z zapartym tchem, pochylając się ku niej.

Martine z trudem przełyka ślinę i znowu kręci głową.

- Wiesz jak. Wszystko jest w tobie. Zatrzymaj go.

Patrzą sobie w oczy. W głowie Wren wirują pytania, a serce łomocze w takim tempie, jakby miało się nigdy nie uspokoić. Potem od strony sklepu dobiega brzęk tłuczonej porcelany i napięcie pryska. Wren wstaje szybko, omal nie wywracając krzesła.

- Dziękuję, Martine - mówi gwałtownie.

Odwraca się i wybiega na korytarz. Gdy się ogląda, Martine nadal siedzi przy stole z dłońmi na kartach.

- I jak było? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. Czyli super? - pyta Jenna, zbierając odłamki filiżanki. - Mieliśmy tu mały wypadek.

Wren czuje się, jakby błądziła we mgle. Bierze swoją torebkę ze stolika z zodiakiem.

- Było świetnie, ale muszę już lecieć - rzuca w pośpiechu.

- O nie, wezwali cię do pracy? - pyta Marissa.

- Nieee! Ktoś umarł w moje urodziny? - jęczy Lindsey, którą Leo właśnie przyprowadził z zaplecza. Wren obejmuje ją i przelotnie ściska.

- Niestety tak - kłamie. - Wszystkiego najlepszego, słonko. Było fantastycznie. Cieszę się, że świętowałam z wami.

Uśmiecha się z przymusem i odwraca do wyjścia.

- Wren! - słyszy za sobą głos. Martine trzyma małą kwadratową kopertkę z płytą CD. - Twoje nagranie.

Wren oddycha gwałtownie i wraca do kobiety.

- Dziękuję.

Odchodząc, zerka przez ramię i widzi, że Martine kiwa głową. Wren biegnie do samochodu, ściskając torebkę, rozpaczliwie usiłując się otrząsnąć z tego uczucia.

*To wszystko udawanie. Trafiała przez przypadek. Pewnie czytała o mnie w gazecie czy coś.*

Wren chowa płytę do torebki i siada za kierownicą.

*Trzeba było zostać w domu.*

Wren przytomnieje, siedząc w samochodzie przed barem niedaleko herbaciarni. Zauważa stojącego na chodniku Leroux, który zatrzymuje się na chwilę w drodze do baru, żeby zaciągnąć się papierosem. Wren obserwuje chmurę trującego dymu, który unosi się spiralnie na lekkim wietrze i przez moment tańczy, nim się rozproszy. Ten widok ją uspokaja. Gdy znowu spogląda na Leroux, widzi, że on także potrzebował ucieczki, choćby tylko na parę sekund.

- Wybacz, kochanie! - Młoda kobieta potrąca Leroux tak, że ten traci równowagę. Kobieta przeprasza go wśród chichotów, usiłując się nie chwiać na niebotycznie wysokich szpilkach.

Wren mimo woli wybucha śmiechem. Wysiada z auta i idzie za Leroux do lokalu. Pracujący z nim w zespole od dwóch lat William Broussard już siedzi przy



barze, najwyraźniej zapuściwszy przy nim korzenie całe godziny wcześniej, sądząc po jego wyglądzie i szklance z bursztynowym alkoholem stojącej przed nim.

- Cześć, chłopcy - mówi Wren, siadając obok nich.

- Muller! Co ty robisz w tej dziczy o tak późnej godzinie? Nie powinnaś już leżeć w łóżeczku? - pyta zaczepnie Leroux.

- Ha, ha. Przejeżdżałam obok i zobaczyłam cię przed barem. Taki zbieg okoliczności nie mógł się zmarnować.

Will nie odrywa oczu od telewizora, zawieszono go wysoko nad półkami z alkoholem.

- Dacie wiarę, że dalej to wałkują? - odzywa się, wskazując reportaż na ekranie.

Leroux i Wren podnoszą wzrok na telewizor. Lokalne wiadomości prezentują mężczyznę w średnim wieku,

z którym przeprowadza wywiad młody, przejęty reporter. Mężczyzna jest wzburzony, mówi, wykręcając nerwowo dłonie.

- To okultyści! Czciociele diabła przenikają tę społeczność i jeśli nie zaczniemy szanować nauk Jezusa Chrystusa, więcej niewinnych ludzi padnie ofiarą ciemności - wieszczy.

Przy ostatnich słowach unosi rękę, a reporter kiwa entuzjastycznie głową. Następnie zaczyna się wywiad z większą grupą obywatelsko nastawionych mieszkańców, ubranych w zadziwiającą kolekcję T-shirtów z napisami, czapek baseballowych i dżinsowych szortów. Stojąca za mężczyzną z mikrofonem grupka jest rozgorączkowana i jeszcze się nawzajem podkreca.

- Ta społeczność może paść ofiarą szatańskich sztuczek! - wrzeszczy mężczyzna. - Nasze dzieci będą następne! Nie rozumiecie? Ci uczniowie szatana porwą ich w nocy i złożą w ofierze swojemu panu! Policja musi wyłapać tych zwyroli i wrzucić ich do bagna. Dlaczego tylko zaci mieszkańcy Parafii Orleańskiej dostrzegają, że to dzieło satanistów?

Reporter, który parę razy usiłował wejść mu w słowo, w końcu ma szansę spytać:

- Czyli sądzicie, że niedawne zabójstwa to nie przypadkowe incydenty, jak twierdzą organy ścigania?

Tłum wrzeszczy coś niezrozumiałego, a ich samozwańczy przedstawiciel gwałtownie kiwa głową.

- Policja kłamie! Ukrywają przed nami, jak głęboko ta sekta wrosła w naszą społeczność. To dzieło szatana i jego wyznawców, zapamiętajcie moje słowa!

Leroux chichocze i odwraca wzrok od ekranu.

- Ja też chcę takie coś - mówi do barmanki, wskazując drinka Willa.

Dziewczyna kiwa głową z uśmiechem, bierze spod baru szklankę i napełnia ją dwunastoletnią szkocką whisky single malt.

- Zdrowie! - Leroux unosi szklankę, a Wren udaje, że stuka się z nim niewidzialnym kieliszkiem.

Will kręci głową i pociąga łyk ze swojej szklanki.

- To gadanie o satanistach miało się skończyć, nie? Jakby znowu wróciły lata osiemdziesiąte i było całkiem naturalne, że wszyscy podejrzewają ponurych gotów.

- To się musiało stać - wzdycha Leroux.

Will spogląda na niego, unosząc brew.

- Naprawdę jest już tak źle, że akceptujemy kompletną porażkę racjonalnego myślenia?

Leroux wrusza ramionami i pije.

- Mniej więcej. - Wskazuje wiszący nad nimi telewizor. - Ludzie chcą się oprzeć na jakichś stereotypach, bo cholernie się boją. Nie potrafią sobie poradzić z faktem,

że mogą paść ofiarą psychopaty, który wygląda całkiem normalnie, więc wymyślają takie bzdury.

- Nie znoszę, kiedy mówisz z sensem. - Will kręci głową i odchyła się na krześle. - Problem polega na tym, że oni odciągają uwagę. Zamiast szukać jakiegoś samotnego, wegetującego w piwnicy psychola, szczują ludzi na kogoś w koszulce z Metallicą.

- Aha, a te nowe telewizje dają im nowiutką, śliczną platformę do głoszenia tych banialuk.

- Uch, nie dam rady już o tym gadać - rzuca Will. - Nadal nie ma nic o tej kartce, którą zostawił z książką?

Leroux zaprzecza ruchem głowy.

- Nic. Ben bije łbem o mur.

- Ten gość najwyraźniej uważa, że jest mądrzejszy od innych. I bez wątpienia to tutaj - Will znowu wskazuje telewizor - to woda na jego młyn.

Leroux kiwa głową, wydymając wargi.

- Zgadzam się co do tego, że uważa się za lepszego, ale założyłbym się o pieniądze, że wkurwiło go gadanie o satanistach.

- Tak? A mnie się wydaje, że cieszy go mylenie tropów. Ludzie nie będą już szukać kogoś w typie Teda Bundy'ego. Ci idioci naprowadzili ich na trop Charlesa Mansona i jego rodziny.

- Po prostu uważam, że nie jest nieskomplikowany. Przynajmniej tak wynika z jego profilu.

- Tak sądzisz? - pyta Will z niedowierzaniem. - Może będę musiał ci uwierzyć, ty dziwaku.

Leroux prychnie śmiechem i opiera się łokciem o bar.

- Miejmy nadzieję, że nie przestrelilem. Dla mnie on wygląda na klasycznego zorganizowanego zabójcę. Wren, chcesz zdradzić Willowi najnowszego newsa o tym gościu?

Will wdycha i dramatycznie opuszcza głowę.

- Coś mi mówi, że nie chcę tego słyszeć.

- Te ostatnie zwłoki, wiesz... zamroził je - oznajmia Wren.

- Przepraszam, co? Zamroził? Dlaczego?

- Bo w ten sposób bardzo trudno ustalić precyzyjnie czas zgonu. To zakłóca rozwój płam opadowych czy coś - wtrąca Leroux.

- No, no, nieźle. Ubiegasz się o moją robotę czy jak? - kwituje Wren przekornie.

Will tylko kręci głową i pyta:

- Z poprzednimi tego nie zrobił, prawda?

- Nie. Tylko z tą ostatnią - potwierdza Wren.

Leroux zerka w lustro, nieruchomieje, patrzy uważnie. Wstaje i odwraca się w kierunku zatłoczonego wnętrza. Oczy ma rozgorączkowane, ale przenikliwe.

- Na co patrzysz? - Will obraca się na krześle i wyciąga szyję.

Leroux idzie przez tłum, po drodze wytrącając komuś drinka.

- E, ty! - ryczy właściciel drinka, unosząc ręce z pretensją i wycierając koszulę.

Leroux ignoruje go. Idzie aż do ściany tuż przy drzwiach. Wren wyteża wzrok, rozgląda się w obie strony. Dostrzega śnieżnobiałą ulotkę przypiętą pinezką do ciemnobrązowej boazerii. To ona przyciągnęła uwagę Leroux. To reklama

zbliżającego się festiwalu jazzowego na Bourbon Street - preludium sezonu Mardi Gras, na który zjadą się tłumy. Leroux dotyka ulotki, przesuwa palcami po wytłaczanym szlaku z lilii. Są lśniące, mienia się barwami.

Dokładnie tak jak kartka zostawiona przy ostatnich zwłokach.



## ROZDZIAŁ 13

Jeremy wpatruje się w monitor, na którym widać budzącą się Emily. Na pewno czuje łomoczący ból głowy. Rozpaczliwie stara się przebić wzrokiem mgłę, która zjawia się wraz z koktajlem z chloroformu i ketaminy. Szybko dociera do niej, że otaczają ją ciemności i że siedzi na czymś wilgotnym i gąbczastym.

Pewnie zastanawia się, co robi na dworze, ale zanim zdoła się zagłębić w sytuację, w ciemnościach rozlega się pisk głośnika, podrywając ją na równe nogi. Emily usiłuje złapać równowagę i znaleźć źródło dźwięku, ale znowu się rozprasza, gdy słyszy głos Jeremy'ego.

- Dobry wieczór, goście. Chciałbym, żebyście poświęcili mi parę chwil.

*Rozpoznaje już mój głos?*

- Przy każdym z was leży latarka. Użyjcie jej. Nie chciałbym, żeby ktoś przypadkiem utopił się w bagnie.

Emily rozgląda się dokoła, pochylając się nisko nad mchem i korzeniami. Z miejsca, w którym znajduje się Jeremy, wygląda to niemal zabawnie. Kamera z noktowizorem ukazuje wszystko skąpane w zielonym świetle. Emily wygląda jak kosmita ryjący twarzą w ziemi. Prawdopodobnie nie widzi nawet czubka własnego nosa. Na oślepek obmacuje teren wokół siebie i znajduje tylko podmokłą ziemię. W końcu uderza stopą w coś twardego, obcego. Latarka.

- Zostaliście rozrzućeni w przypadkowych miejscach na mojej posiadłości. Otacza ją ogrodzenie, na którym rozmieszczone są głośniki.

*Teraz musi już wiedzieć.*

Jej twarz się zmienia. Totalny wstrząs. Przez głośniki płynie do niej głos jej kolegi z laboratorium. Głos ostatniej osoby, którą widziała, zanim straciła przytomność.

Jeremy mówi dalej z satysfakcją:

- Słuchajcie, ta gra jest prosta. Waszym jedynym zadaniem jest uniknąć mnie, kiedy ruszę w trasę. Nic więcej. Zabawa nazywa się „Przetrwanie”, przyjaciele. Spróbujcie uciec, jeśli zdołacie. Od wolności dzieli was tylko parę hektarów trzęsawiska... i ja.

Emily włącza latarkę. Promień światła śmiga naprzód i wyłania z ciemności koźuch mchu. Nisko zwisające gałęzie z grubsza liczące tysiąca cyprysników wyciągają się jak łapy głodnych drapieźników. Emily jest całkiem osamotniona, ale zadbał, żeby poczuła się też osaczona. Oddycha gwałtownie. Z gardła wyrzywa się jej kwilenie, jakby płakało dziecko.

- Nie martwcie się, jestem sprawiedliwy. Dam wam duże fory. I... dobrej zabawy. Może to już ostatnie godziny, które spędzacie jako myślące worki mięsa.

Emily zatacza się naprzód; widać paraliżujący strach poraził jej układ nerwowy. Przez chwilę wygląda, jakby się miała załamać. Jednak w końcu oddycha głęboko i przymyka oczy. Jej twarz prawie się odpręża. Przyświecając sobie latarką, przygląda się swojej skórze.

*Szuka śladów. Mądrała.*

Zauważa coś - mały siniak, który niemal na pewno boli. Już wie, że została oszołomiona narkotykiem. Kiedy spogląda na swoje stopy w znoszonych

mokasynach, widzi węża, na tyle dużego, że dostrzega go także Jeremy - i krzyczy. Korony drzew blokują światło księżyca, a nieustanny śpiew cykad nie pozwala odetchnąć. Dźwięk wpływa na emocje lepiej niż cokolwiek innego. W oddali rozlega się pohukiwanie sowy; Emily podskakuje nerwowo. Jeremy pochyła się do mikrofonu.

- No to zaczynamy. Moja rada? Uciekajcie.

Waha się przez moment - a ona nie. Rzuca się biegiem, potykając się o wykroty i powykręcane korzenie. Rozpaczliwie szuka drogi ucieczki. I nagle w ciemnościach rozlega się kolejny dźwięk, zmuszając ją do zasłonięcia uszu.

Muzyka. Jeremy puścił muzykę.



## ROZDZIAŁ 14

Wren otwiera drzwi służbowego wejścia do laboratorium kryminalistycznego. Idzie szybko korytarzem, stukając obcasami o niedawno odnowioną podłogę. Kieruje się do biura, w którym ma zaczekać na Leroux.

Wyłania się zza zakrętu i widzi Leroux rozmawiającego przez telefon. Jego uśmiech zdradza, że to prywatna rozmowa. Andrew.

- Bardzo przepraszam za tę bitą śmietaną. Wiem, nie lubisz, jak zostawiam w lodówce pusty pojemnik. Gamoń ze mnie – przyznaje Leroux z zawstyżeniem.

Głos jego rozmówcy jest tak donośny, że Wren rozumie niemal wszystko.

- John, nie szkodzi. Wiem, że przez tę sprawę masz napięte nerwy.

Andrew nie może w pełni rozumieć, jaką cenę płaci Leroux, zwłaszcza ostatnio. Jest szefem w modnej restauracji w Nowym Orleanie, pracuje w równie szalonych godzinach, ale w zupełnie innym stresie. Wybredni klienci i niekompetentni podwładni mogą doprowadzić do trudnych chwil albo wrednej recenzji, ale oglądanie potworności, które jeden człowiek umyślnie robi drugiemu, potrafi przeorać psychikę nieporównanie głębiej.

- Tak, jest dziwaczna i czuję się, jakbym zawiódł mojego tatę czy coś.

- Tylko się nie dołuj. Masz zadanie do wykonania. - Te słowa działają na Leroux niemal jak pogłaskanie po ramieniu. Wren widzi, jak jego twarz łagodnieje. - A od znalezienia tej ulotki jesteś na właściwym tropie.

- Tak, tak. Masz rację.

- Ale jak następnym razem zabraknie śmietanki do kawy, nie będę taki wyrozumiały.

Wren parska mimowolnym śmiechem, płosząc Leroux, który podnosi głowę z uśmiechem, kręci głową i włącza głośnik. - Andrew, przywitaj się z Muller.

- Cześć, Wren! - ryczy Andrew.

- Cześć, Andrew! Jak się ma mój najulubieńszy kuchmistrz w całej Luizjanie? - rzuca Wren z uśmiechem, siadając.

- Ach, no wiesz... Jedną ręką rządzę światem kulinarnym, a drugą podtrzymuję mojego ponurego chłopaka.

Wren spogląda na Leroux, który przewraca oczami. Pochyla się do telefonu.

- No dobrze, dość tych pogawędek. Do zobaczenia w domu, Andrew.

- Na każdej imprezie znajdziesz się jakaś męczybuła... dlatego cię zaprosiliśmy - komentuje Andrew i Leroux się rozłącza.

Wren znowu parska śmiechem, obracając się w fotelu, by powieść wzrokiem po gabinecie.

- Uwielbiam go.

- Tak, prawdziwy z niego skarb. No dobra, do roboty. Ulotka. Nadal nie mogę ochłonąć. Mówię ci, to było jak przeznaczenie. Ja pierdołę, zobaczyłem ją w lustrze! - Leroux nie może usiedzieć w miejscu, oczy mu płoną z nerwowego podniecenia. - Ten festiwal ma się odbyć w tym tygodniu. Ozdobniki, kolor i czcionka zgadzają się idealnie z tymi ze skrawka.

Wren wstaje.

- Zakładam, że idziemy na spotkanie z Benem?



Wchodzą do laboratorium, gdzie przy stole siedzi Ben - wysoki, kościsty, z okrągłymi okularami w drucianej oprawce i z krótko przystrzyżonymi czarnymi włosami. Obok niego z rękami w kieszeniach stoi zniecierpliwiony Will, partner Leroux.

- No i? - pyta z nadzieją Leroux, podchodząc z wyciągniętymi rękami.

- To zdecydowanie ten sam papier. Widać, że obie kartki są z recyklingu, z równo rozszanymi identycznymi drobinkami - wyjaśnia Ben, kładąc strzępek znaleziony przy ciele ofiary obok ulotki z baru, żeby lepiej zaprezentować to, co powiedział.

Leroux i Will mimo woli uśmiechają się równie dumnie jak on.

Wren przerywa im tę chwilę triumfu.

- Sądzić, że już zabił nową ofiarę, czy dopiero szuka kandydatki?

- Trudno to określić z całą pewnością. Nie sądzę, żebyśmy mogli go powstrzymać; możemy się tylko przygotować na to, co nadchodzi - odpowiada Leroux, już poważny.

Wren odwraca wzrok i kręci głową.

- Niezły numer z niego, no nie?

- Rzeźnik z Bagien powraca - kwituje nonszalancko Ben.

Wren nieruchomieje, a potem szybko odwraca się do mężczyzn.

- Rzeźnik z Bagien?

Ben wodzi wzrokiem między nią a Leroux, wyczuwając, że za dużo powiedział.

- No wiesz, brutalna agresja, woda z bagien...

Wren wychodzi szybko na korytarz. Dostrzega baniak z wodą i rusza ku niemu. Pije z malutkiego papierowego kubka; jej myśli splątały się jak chwasty. Szybko się opanowuje i wraca.

- Przepraszam, musiałam się nawodnić w trybie pilnym.

Leroux unosi brew, jakby zapisywał w pamięci, żeby później ją o to spytać.

- Skoro mamy czas i miejsce, opracujmy plan - podejmuje. - Festiwal zacznie się za parę godzin. Pójdę z tym na posterunek i dowiem się, co chcą zrobić wszyscy święci. Muller, idziesz?

- Weszłam w to, kiedy usłyszałam słowo „Rzeźnik” - rzuca Wren i rusza do drzwi.

Nagle Wren czuje jeszcze większą wdzięczność, że jest szefową biura patologa sądowego. Wchodząc na posterunek, poczuła, że atmosfera jest jakaś cięższa. Zapach starej kawy i frustracji unosi się w powietrzu jak mgła.

Porucznik jest na pierwszy rzut oka onieśmielający. Potężny, z masywnymi barami, łysą głową i szarymi oczami, które stawiają wszystkich na baczność. Metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu. Jest stworzony do stania u steru. W tej chwili przegląda dokumenty i raporty, które wciśnięto mu tego ranka. Leroux i Will nie marnują ani sekundy i od progu informują go o nowo odkrytym śladzie. Wpadli do jego gabinetu, mówiąc jeden przez drugiego, nakręceni adrenaliną i zmęczeniem, aż porucznik uniósł potężną dłoń i zażądał ciszy oraz czasu na przeczytanie tego, co właśnie rzucili mu na biurko. Leroux prawie widzi, jak w jego głowie obracają się trybiki, gdy obmyśla następny krok.

- Myślicie, że podrzuci zwłoki? - pyta, podnosząc wzrok na Leroux i Willa. Przelotnie zahacza też spojrzeniem o Wren i szybko kiwa jej przyjaźnie głową.

Leroux pochyla się z łokciami opartymi na kolanach.

- Dokładnie.

- Powinniśmy odwołać festiwal? Nie za późno na to? - dopytuje Will.

Porucznik kręci głową i odchyła się na krześle.

- Nie ma mowy. Właściwie festiwal już się zaczął. Setki ludzi zjeżdżają się do Nowego Orleanu. To całodniowe wydarzenie.

Leroux wskazuje ulotkę i uściśla:

- Tu napisali, że zaczyna się o czwartej po południu.

- Więc mamy czas, żeby usunąć stamtąd ludzi. Nie wiemy, na jaką skalę zaplanował działanie. Najbardziej optymistyczny scenariusz to podrzucenie zwłok, ale może uroił sobie coś dużo gorszego - dodaje Will z troską.

- Ewakuacja może doprowadzić do zbiorowej paniki - wtrąca Wren, podnosząc palec.

- Doktor Muller ma rację. Poza tym taki ruch go spłoszy. Jeśli ten gnojek coś na dziś zaplanował, to zauważ, gdy miejsce za wcześniej opustoszeje. No i masowy exodus spowoduje chaos i panikę. Tu wszyscy i tak mają napięte nerwy. Nie trzeba ich dodatkowo szczuć upiorem - mówi porucznik, gładząc się po brodzie i mnąc w palcach ulotkę. Wstaje i obchodzi biurko. - Zmontujmy zespół. Ściągnijcie wszystkich policjantów, którzy będą wolni. Co ja mówię, ściągnijcie nawet ludzi z administracji. Mają zamknąć teren festiwalu w pierścieniach jak we wnykach. Nikt nie ma prawa się ruszyć bez ich dozoru. Jeśli ktoś będzie się stawiać, przypomnijcie im, że prawdopodobnie mamy tu seryjnego zabójcę, który robi z ludzi mielonkę.

Leroux spogląda na Wren.

- Muller, bierz swój zespół i dołączaj do nas.

Porucznik kiwa głową, opuszczając gabinet.

- Jasne. Zadzwoń do nich. Potrzebujemy was na miejscu od samego początku.

- Oczywiście. Już ich ściągam. - Wren wyjmuje komórkę i wysyła esemesy do swoich podwładnych.

Idzie za Leroux i Willem na korytarz i słyszy, jak zagadują po drodze napotkanych policjantów. W parę chwil atmosfera posterunku zmienia się z urzędowej w stan podwyższonej gotowości.

- Zbieraj się, Leroux. Nie ma czasu na tragiczne wpatrywanie się w dal. - Porucznik macha wielką łapą i znika w sali konferencyjnej.

Leroux idzie w ślad za nim wraz z Wren depczącą mu po piętach. Wszędzie słychać gwar głosów. W powietrzu trzeszczy od adrenaliny i nerwowej energii. Grzmiący głos porucznika przecina je jak maczeta.

- Proszę. - Porucznik z rozmachem przypina ulotkę na tablicy, którą wtoczono na środek pokoju. Dziabie w nią pinezką i odwraca się do zebranych. - Tu najprawdopodobniej zaatakuje zabójca odpowiedzialny za Bagno Siedmiu Sióstr i Twelve Mile Limit. Jeśli wierzyć śladom, które zostawia, zamierza skrzywdzić więcej niewinnych osób. Leroux i Broussard, teraz wy.

Leroux i Will wymieniają niespokojne spojrzenia, ale wykonują rozkaz zwierzchnika. W sali podnosi się hałas, gdy wszyscy jednocześnie zaczynają reagować na informacje. Leroux nie znosi stać przed widzami. Wren już widzi czerwone plamy, które pojawiają mu się na obojczykach. On także woli samotne poszukiwania i pracę w zaciszu. Przekazywanie ważnych informacji dużej grupie to dla niego potężny stres. Leroux odkasłuje i trochę zbyt gwałtownym gestem wskazuje ulotkę przypiętą do tablicy.

- No więc... znaleźliśmy dopasowanie dla kawałka papieru odnalezonego przy ostatnich zwłokach. Pochodzi z ulotki festiwalu, który dziś odbywa się w centrum. Sądząc na podstawie poprzednich miejsc zbrodni, istnieje duże

prawdopodobieństwo, że zabójca podrzuci ciało ofiary na terenie festiwalu lub w jego okolicach.

Młody policjant z łokciem na oparciu krzesła podnosi dłoń z wyraźną dozą sceptycyzmu.

- Jak niby ten typ sobie wyobraża, że podrzuci trupa na wielki festiwal? Dotychczas robił to w nocy. Mamy uwierzyć, że nagle stał się aż tak bezczelny? - pyta z niedowierzaniem.

Will odpowiada, nie dając Leroux dojść do słowa:

- Słuchaj, nikt nie twierdzi, że dokładnie znamy jego plan. Gdybyśmy go znali, mielibyśmy już własny program w telewizji i nikt by nie stracił życia - mówi z uśmiechem.

Zebrani śmieją się cicho, krzykacz odwraca głowę z grymasem. Leroux też się uśmiecha, ale szybko poważnieje. Najwyraźniej chce powiedzieć coś więcej. Wren chciałaby to usłyszeć.

- Wiemy jedno: wszystko wskazuje na to, że na festiwalu wydarzy się coś potężnego. Może to fałszywy alarm albo głupi kawał, ale to nieważne. Nie możemy ryzykować i nie sędzę, żeby ktoś miał nam za złe, że zachowamy dużą ostrożność - oznajmia tylko.

Wszyscy najwyraźniej podzielają jego zdanie, że lepiej uważać niż żałować, jeśli w grę wchodzi czyjeś życie.

- To w tej chwili nasz priorytet - odzywa się grzmiąco porucznik, zagłuszając nielicznych niezadowolonych. - Wszyscy mają mieć otwarte oczy i uszy. Jeśli zobaczę, że ktoś się gapi dzisiaj w komórkę, to włożę mu ją do gardła - ostrzega.

W sali znowu rozlegają się śmiechy i szemranie zaniepokojonych głosów. Leroux i Will zaczynają przedstawiać plan akcji. Will rozwija mapę festiwalu i przypina ją do tablicy.

- Są trzy sceny: jedna główna i dwie mniejsze - wyjaśnia, wskazując trzy sekcje mapy. - Oczywiście większość widzów zbierze się w tych trzech miejscach, a także przy straganach z jedzeniem. Ludzie kochają jeść i słuchać z bliska głośnej muzyki. Rozstawimy większość z was w najbardziej ruchliwych strefach, a pozostałych rozsiejemy po pozostałym terenie festiwalu.

Leroux przytakuje, opierając brodę na splecionych dłoniach.

- Każde wejście ma być obstawione ze wszystkich stron. Nikt nie może wejść ani wyjść bez naszej wiedzy - dodaje.

Wren widzi sceptycyzm na niektórych twarzach. Wie, że Leroux też. Nawet ona nie potrafi się pozbyć wątpliwości. Czy morderca naprawdę jest aż tak odważny? Albo aż tak głupi? Zawsze wydawał się bardziej pewny siebie niż inni, już od pierwszych podrzuconych zwłok. Nie jest całkowicie wykluczone, że stać go na wielki pokaz siły. Ale czy plan Leroux i zastępy policjantów naprawdę się na coś zdadzą? Ten morderca wydaje się typem człowieka wtapiającego się w tłum. Na jego widok nikt nie chce przejść na drugą stronę ulicy czy mocniej chwycić torebkę. Nie obnosi się ze swoim złem. Sądząc na podstawie jego profilu, pewnie jest zdolny przekonać większość ofiar, żeby poszły z nim z własnej woli. Nie uprowadził ich siłą. Chce szerzyć chaos z daleka, nie brudząc sobie nim rąk.

Wren spogląda na zebranych z nowym niepokojem.



## ROZDZIAŁ 15

Jeremy włącza telefon i ustawia głośnik obok niego. Pierwszy utwór z playlisty, którą pieczołowicie przygotował na tę noc, rozbrzmiewa w ciemności. Jeremy uśmiecha się, radośnie przejęty. Wychodzi z szopy, w której znajduje się jego sprzęt audio, i przez chwilę podlewa spragnione krzaki magnolii. Delikatnie muska palcami białe płatki. Wdycha rześkie nocne powietrze i porusza ramionami w takt muzyki. *Suffragette City* Davida Bowiego niesie się przez akry bagien z dala od cywilizacji. Jeremy po raz ostatni sprawdza narzędzia. Lekko dotyka glocka 22 w kaburze przy pasie, klepie się w prawą kieszeń na nodze, by się upewnić, że czterdziestocentymetrowy nóż myśliwski z ząbkowanym ostrzem nadal tam jest. Poprawia strzelbę przewieszoną przez plecy i powoli idzie ku majaczącej przed nim gęstwinie drzew.

W dzieciństwie rodzina tłumiała jego ciekawość. Nie zachęcano go do zajmowania się sprawami, które najbardziej go interesowały. Jego zamiłowanie do badania wewnętrznej budowy małych zwierząt metodą sekcji niepokoiło ludzi. A po śmierci ojca Jeremy jeszcze bardziej znieubił matkę i to, jak mu podcinała skrzydła. Dlatego gdy w końcu się od niej uwolnił, poczuł od dawna wyczekiwaną ulgę. Teraz może bez przeszkód podążać tam, gdzie prowadzi go ciekawość, i bawić się, jak długo zechce.

Zastanawia się, czy jego pozostali goście posłuchali instrukcji. Jeśli ruszyli się z miejsca, zamiast kulić się ze strachu, pewnie spotkają się tej nocy. Wtedy zrobi się trochę bałaganu. Jeremy nie lubi bałaganu, ale godzi się ze świadomością, że czasem nie można go uniknąć.

Pochylając się pod festonami oplątwy, w goglach z noktowizorem, przechodzi nad skręconymi korzeniami i wodzi wzrokiem po lesie. Gdy nie zauważa niczego, odblokowuje telefon. Apka łączy go z kamerami rozsianymi po całej posiadłości i włącza je na jego życzenie. Jeremy zmienia kąt widzenia kamer, aż w końcu dociera do takiej, która pokazuje Emily.

Ogłuszające odgłosy nocy mieszają się z energiczną muzyką. Emily przywarła plecami do cypryśnika i zatyka palcami uszy. Z trudem łapie oddech i przyzwyczajają wzrok do ciemności. Jeremy zastanawia się, jakie myśli przebiegają jej przez głowę. Dziewczyna rozgląda się, pewnie usiłując go dostrzec. W chwili, gdy już zaczęła go nudzić - rusza naprzód. Więc jednak nie da się tak łatwo. Brnie szybkim krokiem przez podmokły teren, oszczędnie używając latarki. Jeremy musi się mocno napocić, żeby obserwować ją okiem kamer. Jemu także przyspiesza puls.

Nagle Emily zwalnia. Spogląda w lewo i staje jak wryta. Wyłącza latarkę, czeka i nasłuchuje czegoś w kakofonii dźwięków. Jeremy też słyszy to coś, co ją zaalarmowało. Trzaśnięcie gałązki musi brzmieć, jakby rozległo się na koniec świata, a jednocześnie - tuż obok. Wtem na Emily pada snop światła.

- Kim jesteś? - pyta piskliwy, spanikowany, zdecydowanie żeński głos.

Emily wypuszcza wstrzymywany oddech. Jeremy widzi, jak jej ciałem wstrząsa dreszcz.

- Emily. Jestem Emily - mówi, zacinając się, z ręką na piersi i oczami zamkniętymi przed rażącym światłem.

Snop blasku kieruje się w dół, a z mroku dobiega westchnienie ulgi.

- Dzięki Bogu. - Katie zamyka zmęczone oczy i kuca, przytrzymując się drzewa dłonią oblepioną zakrzepłą krwią. Ten widok przyciąga spojrzenie Emily jak płomień cme.

- Kim jesteś? - Emily włącza swoją latarkę i oświetla irytującą gościnie Jeremego.

- Katie. Teraz to już jeden pies - rzuca tamta opryskliwie. - On nas i tak pozabija. Ale super, że się poznałyśmy. - Pociera czoło i cicho płacze.

*Żalotne.*

Emily kręci głową.

- On mnie nie zabije.

Katie śmieje się przez łzy i wstaje.

- Aha. Wiesz, dopiero tu trafiłaś. My jesteśmy u niego od wielu dni. Gdzie cię dopadł?

Jeremy uśmiecha się mimo woli.

- Cał jest moim partnerem z laboratorium. Studiujemy na tym samym kierunku - wyjaśnia Emily, jednocześnie rzucając spojrzeniem na boki, zawsze czujna.

- Jaki Cał? Też tu jest? - Katie gapi się na nią tępo.

Jeremy parska głośnym śmiechem.

Emily unosi brew i zerka w bok.

- To on to wszystko robi. Myślałam, że spędziłaś u niego kilka dni.

Ona też nic nie rozumie. Jeremy nie posiada się z uciechy.

Katie zaczyna się irtować.

- Nie wiem, co to za jakiś Cał, ale ten typ to Jeremy.

- Nieważne. Słuchaj, kto jeszcze tu jest? Jest tu ktoś oprócz nas?

Jeremy przygląda się twarzy Emily, na której myśl o tym, że może być więcej Jeremych, wywołuje panikę. Katie kwili cicho, kompletnie wykończona.

- Mój kumpel Matt. Powinien tu gdzieś być. Chyba że Jeremy już go znalazł.

Emily oddycha głośno i rozgląda się.

- Dobrze, Katie. Musimy się ruszać. Znajdźmy Matta - decyduje.

Jeremy widzi, że promień latarki Katie nieco przygasa. Emily też to dostrzega.

- Powinnaś wyłączyć latarkę. - Wskazuje mętniejący promień.

Katie śmieje się kpiąco i kręci głową.

- Mowy nie ma. Całymi dniami siedziałam w ciemnej piwnicy. Co, jeszcze i tutaj mam się potykać na osłep?

Emily zagryza wargę i tłumaczy, usiłując nie tracić panowania nad sobą:

- Już i tak przygasa; zaraz nie będziesz mieć wyboru.

W jej ochrypłym głosie pobrzmiwa strach.

Katie podnosi latarkę, oświetlając sobie twarz, i wzrusza ramionami.

- Jak powiedziałam, on nas nie wypuści, a ja nie umrę w ciemnościach.

Emily ustępuje i idzie za nią.

Piosenka się kończy. Emily i Katie spoglądają w niebo z ulgą. I nagle, bez ostrzeżenia, w ciemnościach rozbrzmiewa *Moondance* Vana Morrisona, a one obie podskakują z zaskoczenia. Przechodząc przez gęste zarośla, pochylając się pod osłizłymi kaskadami oplątwy, tonąc przy każdym kroku w bagnie po kostki, Emily stara się nie dać ogłuszyć natrętnym odgłosom trzęsawisk Luizjany i obrzydliwie dziarską muzyką.

- Co to było? - Emily zatrzymuje się i wyciąga szyję, jakby to miało jej pomóc ogarnąć ten chaos.

Jeremy jest już w drodze. Przemyka cicho i ukradkiem w ich stronę. Na razie trzyma się na tyle daleko, żeby go nie zauważyły, ale dość blisko, by obserwować je nieuzbrojonym okiem. Katie kamienieje i omiata teren światłem latarki - ku widocznej desperacji Emily.

- Matt? - woła zbyt głośno.

Emily chwyta ją i zasłania jej usta ręką.

- A jeśli Cal cię usłyszy?! - szepcze jej wściekle do ucha.

Owszem, Jeremy to słyszy i uśmiecha się szeroko. Ale kino. Nie spodziewał się, że to się tak pięknie rozegra. Katie i Emily wcieliły się w swoje role jak zawodowe aktorki.

Katie odtrąca rękę Emily, rzuca jej złe spojrzenie i opuszcza latarkę.

- A jeśli to Matt? - warczy.

Emily unosi palec, by znowu ją uciszyć, i przechyla głowę, nasłuchując. Znajome metaliczne kliknięcie. Jeremy głośno odbezpiecza strzelbę, także wkraczając do gry.

- Padnij! - krzyczy Emily i rzuca się na ziemię, pociągając za sobą Katie. Odruchowo osłania głowę, a Katie piszczy, padając jak szmaciana lalka. W chwili, gdy upadają w błoto, pocisk trafia w pień drzewa za nimi w eksplozji dymu i odłamków kory.

Emily zna ten wybuch. Powiedziała kiedyś Calowi, że ojciec uczył ją o różnych rodzajach broni. Sama nigdy nie weszła w jej posiadanie, ale wiedza została.

- Walka albo ucieczka, dziewczyny. Walka albo ucieczka - szepcze Jeremy do siebie.

Nie odrywa oka od rozgrywającej się przed nim sceny. Czuje ich strach - obmywa go jak fala, wypełnia powietrze zapachem paniki i desperacji.

- Chodź, Katie! Chodź! - Emily popycha Katie naprzód, pochylona nisko nad ziemią. Czyli wybrała ucieczkę.

Katie potyka się i kuśtyka, łkając. Zasłania głowę rękami i robi wokół siebie za dużo hałasu.

- Katie, musisz się zamknąć i iść, kurwa! - rzuca Emily z rozdrażnieniem.

*Wiedziałem, że znenawidzi Katie.*

Jeremy zestawiał je w parę nie bez powodu i z przyjemnością przygląda się, jak między nimi rozkwita niechęć.

Katie kręci głową, łkając. Osunęła się na czworaki i trwa tak jak sparaliżowana.

- Nie mogę! Nie mogę! - zawodzi.

Emily natychmiast do niej podbiega, zarzuca jej ramię na szyję i zasłania usta ręką. Bez słowa ciągnie ją za sobą w szybkim tempie. Jeremy podąża zwinnie równolegle z nimi, rozkoszując się poczuciem władzy, które się pojawia, gdy obserwujemy kogoś, kto się tego nie spodziewa.

Emily przedziera się przez gąszcz drzew i w końcu przystaje, żeby odpocząć. Niemal przewraca się ze zmęczenia.

- Nie możemy tu długo zostać - dyszy, oparta rękami o kolana i usiłując przebić wzrokiem ciemności. - Jeśli nie będziemy się ruszać, wystrzela nas jak kaczki.

Katie kręci głową.

- Niby dokąd, kurwa, mamy iść? - Unosi ręce, po czym opuszcza je z plaśnięciem w błoto. - Goni nas psychol z bronią. Będziemy biegać jak idiotki, aż nas wystrzela, siedząc na drzewie czy, kurwa, jeszcze gdzieś. Powinnyśmy tu zostać i ukrywać się do rana.

- To jest twój plan? Naprawdę myślisz, że nas zostawi, jak tylko wzejdzie słońce? - Emily zaciska powieki i pochyla się naprzód.

- Powiedział, że musimy mu tylko uciec. Tylko tyle.

Emily nie należy do osób, które porzucają innych w potrzebie, nawet jeśli ci inni są wkurzający na maksa. Uważa się za bohaterkę, Jeremy to wie.

- A ty mu wierzysz? Myślisz, że ktoś, kto cierpliwie przetrzymywał cię przez wiele dni, a ze mną zaprzyjaźniał się przez całe miesiące, zniechęci się, bo będziemy się przed nim ukrywać przez parę godzin?

Katie wzrusza ramionami. Emily strzepuje z ramienia pająka i wzdycha.

- Nie chcesz znaleźć swojego przyjaciela? Chcesz zostawić Matta na pewną śmierć?

Jeremy przysłuchuje się im z fascynacją. Emily ma silny instynkt przetrwania, a jednak tłumii go, żeby pomóc tej obcej idiotce.

- Pewnie już nie żyje.

- Nie umrzemy... - Emily urywa.

Słyszą trzask gałęzi i kroki. Katie podnosi na Emily wielkie, przerażone oczy. Emily przytrzymuje się pnia drzewa i wstrzymuje oddech, rozpaczliwie starając się coś dostrzec.

*Tym razem to nie ja, moje drogie.*

Jeremy uśmiecha się do siebie, czekając na wejście kolejnej postaci.

- Katie! - słycać szept z ciemności.

Katie wstaje i sięga po latarkę.

- Boże, Matt?! - szepcze z bezbrzeżnym zdziwieniem.

Promień światła omiata drzewa. Jakies sześć metrów od nich stoi rozczochrany mężczyzna w brudnym ubraniu. Na jego twarzy pojawia się uśmiech; Katie wybucha śmiechem pełnym ulgi. Emily wypuszcza wstrzymywany oddech i wyłania się z kryjówki. Ruszają ku sobie i tracą czujność. Jeremy kręci głową nad taką tępotą i unosi glocka. Celuje w środek grupy.

- Nie do wiary, że cię znalazłyśmy! - Katie podbiega i chwytą Matta w objęcia, a on się krzywi z bólu.

- Tak, z tym kolanem na pewno nie dałbym rady tu przyjść, ale adrenalina zrobiła swoje.

Emily spogląda na jego prawe kolano, oblepione zaschniętą krwią i świeżym błotem. W oczach odbija się jej przerażenie, nagle potęgowane głośnym trzaskiem, który dobiega nie wiadomo skąd. Kula z glocka przebija skroń Matta, obryzgując krwią twarz Katie. Matt pada na ziemię jak zestrzelony w locie ptak. Katie krzyczy. Emily chwytą ją za ramię i ciągnie za sobą, nie dając jej czasu na zastanowienie.

- Powodzenia, panie i... no, teraz to już tylko panie. - Jeremy uśmiecha się i wkłada broń do kabury.





## ROZDZIAŁ 16

Ten zapach pojawia się nagle jak niespodziewany krwotok.

Jest subtelny. Tak subtelny, że może się wydawać tylko wężową halucynacją, rezultatem zbyt wielu godzin w kostnicy. Dla niewprawnego nosa ta woń może się kojarzyć z zepsutą przekąską z ulicznego straganu albo nieudanym eksperymentem ze smażonym mięsem. Ale Wren wie, że to charakterystyczny odór początkowych stadiów rozkładu w upalnej pogodzie.

Pierwsze nuty zawsze przypominają gnijącą cebulę. Ale gdy tylko dojdiesz do wniosku, że da się to jakoś znieść, zapach się zmienia. Przekształca się jak w bloku, w którym każdy gotuje coś innego i aromaty splatają się, tworząc nieznośny bukiet. Staje się ciężki, duszący. Warstwy zjełczałych wyziewów wybuchają jak małe pająki z kokonu z jajami i atakują. To fizyczny szturm na zmysły. Woń śmierci jest bezlitosna, gdy już raz się wyzwoli.

Podwładna Wren stoi obok niej, zdenerwowana i zbyt gadatliwa.

- Wiem, że wszędzie są policjanci, ale nadal się trochę denerwuję. Muszę być z tobą szczerą. Dla mnie to jakiś obłąd, że tu jesteście. Dziś skierowano do pracy psy wykrywające bomby, tak? - pyta trochę za głośno.

- Przestań mówić o policji - ostrzega Wren cicho. - Plan jest taki, żeby uniknąć pandemonium, a nie do niego doprowadzić.

- Wiem. Przepraszam.

- Musisz nad sobą panować. Może się zrobić gorąco, a nie chcę, żebyś się rozsypała.

- Nie, skąd. Jestem gotowa.

Przez chwilę Wren ma wrażenie, że była za ostra.

- To normalne, że się denerwujesz. Ja też się denerwuję. Ale chodzi o to, żeby to zignorować i robić swoje. Czujesz ten zapach?

Młoda kobieta węszy i jej oczy rozszerzają się z zaskoczenia.

- Czy to...?

- Bingo.

- Cholera.

- Nie panikuj. Musimy to załatwić z głową. - Wren spogląda na Leroux ponad tłumem ludzi. Ich spojrzenia się spotykają. Policjant stara się wyglądać niepozornie, ale w schludnym wyprasowanym garniturze rzuca się w oczy jak krostka na nosie. - Zachowuj spokój i chodź ze mną.

Razem zanurzają się w gąszcz ludzi.

- Co ty jesz, do cholery? - Jakaś kobieta z plastikowym kubkiem wyciąga szyję, by spojrzeć na papierowy talerz swojego towarzysza. Ten wzrusza ramionami i cofa się z urazą.

- Kurczak z ryżem czy coś. A bo co?

- A bo śmierdzi jak gnojówka - odpowiada ona i marszczy nos.

- Nic nie śmierdzi, to sos - mówi on i podsuwa jej talerz pod nos, a ona odskakuje do tyłu.

Wren mija ich, nie słuchając odpowiedzi kobiety. Smród rozkładającego się ludzkiego ciała zaczyna docierać do wszystkich. Ludzie zaraz się połapią. Wren

ciągnie swoją podwładną obok mężczyzny grającego na trąbce. Radosna muzyka wisi w powietrzu jak mgła. Kilka otaczających go osób zaczyna tańczyć. Obracają się z tym charakterystycznym szczerym śmiechem ludzi w chwili bez troski. Ale Wren wie, że pod tą lśniąca fasadą kryje się zgnilizna. Toruje sobie drogę do Leroux, zatrzymuje się obok niego i oświadcza stłumionym głosem:

- Jesteś blisko. Ty też pewnie to czujesz.

Zerka na niego, a on kiwa głową, wodząc oczami po tłumie. Razem idą w stronę źródła odoru. Podwładna Wren podąża za nimi, udając, że przegląda coś w komórce. Leroux ma dziki wzrok. Na ogół panuje nad emocjami, więc fakt, że teraz jego zbroja pęka, jest przerażający. Wren nabiera tchu i siłą woli zmusza się do koncentracji.

- Oczy ci zaraz wyskoczą z głowy. Wyluzuj - zwraca się do Leroux i z zaskoczeniem widzi jego wrogie spojrzenie. Ukrywa swój zawód i próbuje jeszcze raz. - Szukaj much.

- Muchy na niechlujnym festiwalu w środku lata w Luizjanie. Jasne.

- Mam ci przypomnieć o tempie rozmnażania muchy plujki?

- Zdecydowanie nie. Czaję. Szukamy w chuj wielkiego roju much.

Wren kiwa głową i znowu spogląda na tłum. Szybko przebiega wzrokiem po tym ludzkim stadzie, starając się niczego nie przegapić. Przeciskają się przez wielkie zgromadzenie przy jednej z mniejszych scen. Można ją nazwać małą tylko w porównaniu z wielgachną sceną główną. Podtrzymujące ją drewniane słupy są wygięte, obdarte i spłowiałe po zbyt wielu latach piekącego słońca. Teraz na starej scenie płąsa żwawo zespół jazzowy, grający skoczny numer. Muzycy tańczą, nakręcając crescendo, które rozładuje się w chaotycznej fali dźwięków. Popołudniowe słońce odbija się w uniesionych wysoko instrumentach, zmieniając trąbki i saksofon w szczerze złoto.

Po lewej stronie sceny, w głębi, unosi się przejrzysta czarna chmurka. Gdyby Wren nie znajdowała się tak blisko metalowych barierek oddzielających tłum od sceny, pewnie by jej nie zauważyła, a na pewno by nie usłyszała. Chmurka bzyczy jak łąka pełna pszczoł, uwijających się wśród kwitnących kwiatów. Ale tu nie ma sielskiej łąki ani pracowitych pszczołek. Te owady szukają czegoś zdecydowanie niepięknie pachnącego. Od kwiatów wołą cuchnące wyziewy rozkładającego się ciała.

Nie odwracając oczu od roju much krążących między kruszącymi się drewnianymi listewkami, Wren chwytą Leroux za koszulę i pociąga. Policjant natychmiast przystaje.

- Co jest? - rzuca, nie patrząc na nią.

- Pod sceną, po lewej, w głębi.

Leroux rzuca okiem w wskazanym kierunku i wciąga powietrze ze świstem.

- Za mną.

Przepycha się bokiem na koniec barierki, gdzie na wysokim drewnianym stołku siedzi ochroniarz, w zamysleniu kiwający głową w rytm muzyki. Leroux podchodzi do niego i pochyla się do jego ucha.

- Policja - mówi prawie szeptem.

Odchyła połą marynarki, by pokazać odznakę. Ochroniarz rzuca na nią okiem i kiwa głową. Leroux ogląda się przez ramię.

- Musimy zajrzeć na teren sceny, ale nie chcemy straszyć ludzi. Może nam pan w tym pomóc, panie...?

- Błum - kończy młodzieniec, odkasłując i poprawiając się na stołku. Przesuwa dłonią po zarośniętej szczęce. - Nie ma problemu. Proszę przejść. Będę w pobliżu,

dopilnuję, żeby było spokojnie.

Leroux kładzie mu rękę na ramieniu.

- Dziękuję, doceniamy to. Chodź, Muller.

Macha ręką na Wren i jej zastępczynię. Cała trójka idzie wzdłuż sceny po lewej stronie. Tego odoru nie da się pomylić z żadnym innym. Im bliżej są much, tym gęstsze i bardziej mgliste staje się powietrze. Jakby wchodzili w inny świat, w świat śmierci i rozkładu. Wren przykłada na jedno kolano i zagląda w szparę w przegniłych deskach. Pod sceną panuje mrok. Jej oczy przyzwyczajają się do niego i wyłaniają z ciemności znajomy kształt - skulony, nieruchomy, leżący niemal dokładnie na środku terenu pod sceną. To nad nim gromadzą się muchy. Z bliska odór staje się nie do wytrzymania.

- Czy można się jakoś dostać pod scenę? - Wren prostuje się, opanowując wymioty.

- Tam są drzwi.

Wren idzie na zaplecze sceny, gdzie przykucnięty Leroux już otwiera zasuwkę. Wren wyjmuje z tylnej kieszeni małą latarkę. Włącza ją. Promień światła pada na nieruchomy kształt - skulone ciało kobiety, chyba dwudziestoletniej. Leży na brzuchu z wyciągniętymi rękami, jakby nurkowała w powietrzu, na chwilę zanim otworzy się spadochron. Wren zauważa gąbczastą, najeżoną kośćmi ranę tam, gdzie znajdowało się kolano. Przesuwa światłem od nogi po głowę i zachłystuje się, gdy półotwarte oczy ofiary rozbłyskują jak u demona. Wpatrują się prosto we Wren - patrzące, lecz niewidzące. Twarz dziewczyny jest brudna, umazana ziemią, krwią i czymś jeszcze. Wren wyłącza latarkę i przez chwilę trwa w bezruchu, usiłując się opanować.

- To to, czego się spodziewaliśmy, i jest źle - mówi. Leroux rzuca cicho „cholera”. - Niestety, muszę się do niej dostać.

Leroux ociera czoło wierzchem dłoni.

- Chyba nie zamierzasz się tam wczołgać?

- Nie do końca, ale gdybym mogła się do niej trochę bardziej zbliżyć, zdołałabym określić, z czym mamy do czynienia. Wydaje mi się, że ona trzyma coś w prawej ręce.

Wren dociera do końca sceny i przystaje, żeby lekko kopnąć drewno, które się kruszy. Spogląda na Leroux.

- Znalazłam słaby punkt - oznajmia.

Leroux pochyla się i patrzy, jak Wren wrywa kawałek gnijącego drewna. Zaczyna powstawać mały otwór. Leroux zagląda w mrok, oświetlając go latarką w komórcie.

- Jesteś pewna, Muller?

Wren kiwa głową i zbiera włosy w koczek na czubku głowy. Sięga do tylnej kieszeni i wyjmuje z nich parę czarnych nitrylowych rękawiczek. Wkłada je.

- Zdecydowanie. Ubezpieczaj mnie.

Włącza latarkę i bierze ją w zęby, po czym nurkuje w ciemność. Z góry dobiega muzyka, a ona powoli czołga się ku zwłokom. Przestrzeń pod sceną jest duszna i rozpalona. Można w niej tylko kucać z głową pochyloną pod niewygodnym kątem albo się wczołgać. Wren pełźnie naprzód, urażając sobie kolana na kamieniach i wykotach. Z bliska widzi w pełni straszną śmierć tej młodej kobiety: liczne rany, siniaki i zadraśnięcia pokrywają całe jej ciało - włącznie z wielkim rozcięciem na gardle. Świeża i zaschnięta krew przylepiła jej ciemne, kędzierzawe włosy do twarzy i szyi.

- Jezu.

To słowo pada z ust Wren niemal bez udziału jej woli, stłumione przez latarkę. Leroux czeka niecierpliwie przy otworze. Wyteża wzrok.

- Pewnie wygląda tam nieciekawie – mówi z westchnieniem.

Wren kręci głową i lekko się odwraca, by spojrzeć na niego przez ramię.

- Paskudna sprawa, Leroux. Najgorsza z dotychczasowych.

- Kurwa. A mam wrażenie, że jesteśmy tak blisko tego gnoja...

Wren spogląda na zmasakrowane ciało i przesuwa spojrzenie na prawą rękę kobiety z palcami rozchylonymi tak, jakby zastygła, sięgając po coś. Ta dłoń obejmuje jakiś przedmiot; Wren ostrożnie odchyła kolejno zeszywniałe palce. Po chwili widzi charakterystyczne linie i symbole na mapie, podzielonej na działki i zaopatrzonyj w legendę, w której wymienieni są sławni zmarli. To mapka Cmentarza nr 1 w St. Louis.

- Ktoś ma torbę na dowody? – woła Wren i rozwija ulotkę.

Takie mapki rozdaje się turystom zwiedzającym cmentarz z przewodnikiem. Ta jest wyjątkowo szczegółowa; ukazuje nawet drzewa między ścieżkami oraz zaułki wokół Miasta Umarłych. Wren śledzi ścieżki wzrokiem, szukając czegoś nietypowego, jakiegoś znaku wyjaśniającego, dlaczego ta mapa trafiła w żelazny uścisk zmarłej kobiety. Wśród grobów na środku mapy zauważa mały szkarłatny krzyżyk i mimowolnie wydaje okrzyk.

- Co jest? – pyta Leroux.

- To turystyczna mapka cmentarza St. Louis z czerwonym krzyżykiem. Nie sądzę, żeby zostawił nam dzisiaj tylko tę ofiarę.

- Szlag by to. No dobra, wyłaż. Wyciągniemy ją stamtąd i jedziemy na cmentarz. Trzeba to ogarnąć. Żywo.

Wren kiwa głową i chowa mapkę do torby na dowody, którą zamyka szczelnie. Rzuca ostatnie spojrzenie na zmasakrowane ciało. Dostrzega coś nowego. Na prawym nadgarstku ofiary znajduje się biały smartwatch. Rzuca się w oczy, bo jest w idealnym stanie, nowiutki, nie tak zniszczony, jak reszta rzeczy ofiary. Nie ma mowy, żeby miała go na ręce w chwili śmierci.

- Muller, ruszaj się! – krzyczy niecierpliwie Leroux. Jego oczy zdradzają, co się dzieje w jego głowie. Wren widzi, że już planuje następne kroki. Prawdziwy weteran tego świata.

Wren wyczuwa nad nim mgłę zwątpienia i frustracji, ale nie zamierza z tego powodu nieostrożnie obejść się z miejscem zdarzenia.

- Tak, John, słyszę. Jeszcze chwila.

Wyciąga rękę w rękawicze, by obejrzeć zegarek. Delikatnie puka w wyświetlacz, by obudzić ekran. Błękitne światło zalewa ciasną, ciemną przestrzeń. Na ekranie pojawia się żądanie wprowadzenia hasła.

- Podaj mapę, Muller - rzuca Leroux. - Chodźmy!

Wren nie zwraca na niego uwagi i rozgląda się po przestrzeni, która niedawno wydawała się tak ciasna, a teraz stała się pusta i głęboka. Oświetla latarką ziemię wokół zwłok w nadziei na więcej informacji, lecz widzi tylko ziemię, kurz i owady. Wzdycha zniecierpliwiona i spuszcza wzrok.

- Myślałam, że coś znalazłam - mamrocze.

Ścisną foliową torebkę z mapą w środku i wycofuje się do wyjścia. Podaje torebkę Leroux. Przez moment patrzy na mały szkarłatny krzyżyk.

- Odczytaj kwaterę, która jest zaznaczona.

Leroux unosi brew, wyraźnie zniecierpliwiony.

- Co? – biadoli, ale spogląda na mapę, wygładzając folię, żeby lepiej dostrzec liczby. - Niewiarygodnie drobny druk. Jeden, pięć, zero... trzy. O co chodzi?

- Jeden, pięć, zero, trzy... jeden, pięć, zero, trzy... jeden, pięć, zero, trzy - powtarza cicho Wren, wracając do ofiary. Dotyka ekranu, który znowu rozbłyskuje. Pojawia się żądanie hasła. Wren wpisuje liczby, wahając się przed ostatnią. Z zapartym tchem muska szybko wyświetlacz. Zegarek otwiera się, ukazując jedyną aplikację: budzik.

- Wren! - W głosie Leroux słychać czystą frustrację. Wren usiłuje uspokoić serce łomoczące w jej piersi. - Idziemy czy...? Uprzedź mnie, zanim coś zrobisz!

- Coś mam - odpowiada w końcu Wren, oglądając się za siebie. - Widzę na jej ręce nowiutki smartwatch, który nie pasuje do reszty jej rzeczy. Został ewidentnie włożony po jej zgonie. Ta kwatery, jeden, pięć, zero, trzy... to hasło zegarka i teraz patrzę na jedyną aplikację - budzik.

Leroux otwiera usta. Pociera oczy i oddaje mapę innemu policjantowi.

- Ile mamy czasu?

Wren spogląda na ekran. Aplikacja jest nastawiona na czternastą.

- Czterdzieści pięć minut.

- Musimy się ruszać. Landry, Cormier i Fox, idziecie z Willem. Zabezpieczcie cmentarz. Ja i Muller was dogonimy.

Zarumieniony, odwraca się do Wren.

- Wyłaż stamtąd. Idziemy.

Wren czołga się do wyjścia. Zauważa swoją podwładną i macha na nią.

- Zadzwoń do biura i sprowadź parę transporterów - poleca. Młoda kobieta natychmiast sięga po telefon.

Wren pospiesznie zdejmując rękawiczki i otrzepuje kolana, biegnąc za Leroux przez tłum gromadzący się wokół ogrodzonego terenu. Ludzie mają twarze wykrzywione strachem, koszmarną ciekawością i niepokojem. Szepczą do siebie i wyciągają szyje, usiłując śledzić poczynania policji. Z drugiej sceny nadal dobiega żwawa muzyka, ale na tej występ już się skończył. Wren do tej pory tego nie zauważyła.



## ROZDZIAŁ 17

Widok pocisku trafiającego w zamierzony cel sprawia Jeremy'emu niewysłowioną satysfakcję. Mógłby zastrzelić też Katie i Emily - bez wysiłku - ale na razie jeszcze nie skończył się bawić. To zbyt rozkoszny posiłek, by się nim nie delectować kęs po kęsie.

Ściga wzrokiem Katie i Emily, biegnące na oślep po zielonym terenie. Nie traci ich z oczu, lecz pozwala im na złudzenie, że oddaliły się od niego na bezpieczną odległość. Katie gorączkowo wyciera z twarzy mózg Matta i potyka się, zostając w tyle. To idiotka, a Matt był praktycznie neandertalczykiem, ale przynajmniej Emily ma w sobie chęć walki. Podnosi zabawę na wyższy poziom. Widoczne przez gęste zarośla światło jednej latarki mruga, przygasa i w końcu znika.

*Została im tylko jedna.*

Jeremy uśmiecha się i przyspiesza trochę kroku w rytm (*Don't Fear*) *The Reaper* Blue Öyster Cult. Dziś to on jest Ponurym Żniwiarzem.

Katie szlocha głośno za drzewami; ten pisk całkiem przypomina głos królika, który niespodziewanie stanął oko w oko ze spragnionym krwi drapieżnikiem. Jeremy zerka na zegarek i pozwala sobie na powolny uśmiech. Minęło parę godzin, odkąd podrzucił tu swoich gości. Przygląda się, jak Katie robi niezdarne kroki, podnosząc nogę wyżej, niż wymaga tego normalny krok. Narkotyki robią swoje. Ogarnia go oszołomienie na myśl, że jego eksperyment się udał.

Gdy przeczytał o zatruciach alkoholowym wyciągiem z jamajskiego imbiru w czasach prohibicji, poczuł natchnienie. W początkach lat trzydziestych na Południu jakiś genialny umysł stworzył ów wyciąg, który zdołał się prześliznąć przez sito surowego prawa USA. Z pomocą nieświadomego niczego profesora MIT stworzył formułę wykorzystującą fosforan trikretylu, ponieważ dzięki temu wyciąg mógł przejść testy, nie tracąc na smaku. Ta rewolucyjna receptura doprowadziła niezliczone rzesze jej miłośników do chodzenia z wysoko uniesionymi nogami i palcami niezdolnymi do wyprostowania. Dzięki tej epidemii paraliżu naukowcy ustalili poniewczasie, że fosforan trikretylu to niebezpieczna neurotoksyna powodująca śmierć komórek nerwowych i uszkadzająca otoczki mielinowe, wspomagające ruch mięśni. Gdy się go przyjmuje w znacznych ilościach, substancja ta wywołuje kłopoty gastryczne oraz częściowy paraliż kończyn. Karmiona nim codziennie przez kroplówkę Katie prezentowała podstępnie objawy zatrucia.

Katie krzyczy do Emily, że noga jej drętwieje. Jeremy słyszy gorączkowe namowy Emily, żeby szła dalej. Uśmiecha się, widząc, jak Katie zgina się wzdłuż i pada kolanami na podmokłą ziemię. Zaczyna ją doganiać. Widzi, jak Emily rozważa opcje, jak ze strachem omiata światłem jedynej latarki drzewa przed nimi. Katie szlocha i zachłystuje się łzami, Emily usiłuje dźwignąć dziewczynę na nogi, trzymając ją w pasie.

Emily ją porzuci, Jeremy to czuje. Wygra instynkt przetrwania. Odbezpiecza broń i przykład oko do celownika. Emily i Katie słyszą ten odgłos; Emily znowu stara się pociągnąć Katie za sobą.



Jeremy pociąga za spust i bez trudu trafia. Katie wydaje bolesny wrzask, gdy pocisk rozrywa jej prawe kolano, zostawiając po sobie wyrwę z wystającymi poszarpanymi mięśniami i skórą. Katie pada z plaśnięciem na podmokłą ziemię.

Emily podejmuje decyzję. Ucieka.

Jeremy przekłada strzelbę na plecy i wyjmując z pochwy myśliwski nóż. Idzie szybkim krokiem w stronę, z której dobiegają żalostne łkania Katie. Pojawia się przed nią jak duch; jej oczy są oszalałe ze strachu. Jeremy uśmiecha się i kuca przed nią, zakłada jej za ucho pasmo potarganych włosów.

- Ćśśś - szepcze, szczerząc zęby.

Chwyta ją za włosy, odchyła jej głowę do tyłu i powoli przesuwając ostrzem po jej gardle. Trzyma ją przez chwilę, dławiając się i szamocząc, aż jej ciało zwiotczeje. Wtedy zamyka oczy i słucha muzyki - organicznej symfonii trzęsawisk i „melodii z puszek”, sączącej się przez głośniki. Upuszcza głowę Katie w błoto i przeciąga się, aż coś mu strzela w karku.

*No dobrze, a teraz Emily... dokąd mogła pójść?*



## ROZDZIAŁ 18

- Tu doktor Wren Muller, patolog sądowy. Potrzebujemy ambulansu na 425 Basin Street.

Wren grzebie w torbie, przytrzymując komórkę ramieniem. Czas szybko ucieka, a oni lawirują w korkach, spiesząc do ofiary, którą może jeszcze da się uratować.

- Tak, Cmentarz St. Louis 1. Prawdopodobnie będzie konieczna resuscytacja. Jeśli możecie spotkać się z nami przy wejściu, powinniśmy tam dotrzeć za... - spogląda na zegar na desce rozdzielczej - osiem minut. Dobrze. Dziękuję.

Upuszcza telefon na siedzenie i wkłada nowe rękawiczki. Twarz ma spokojną i zaciętą. Pasma włosów wymknęły się jej z koka na czubku głowy. Opadają na jej czoło i policzki, obsypane ziemią z miejsca zdarzenia.

Nowy Orlean przemyka za oknami samochodu; Leroux trąbi na auta przed nimi. Każdy, kto nie zareaguje na dźwięk ich syreny, zostaje potraktowany soczystą wiązką. Leroux zaciska palce na kierownicy tak, że pobiełały mu kostki. Nie jest typowym nonszalanckim policjantem z thrilleru.

- Myślisz, że to pułapka? - pyta w końcu przesadnie spokojnym tonem.

Wren opiera się łokciem o okno i podtrzymuje skroń dłonią. Wzdycha.

- Muszę wierzyć, że nie. Poza tym musimy zareagować. A jeśli jednak się mylę, to pamiętaj, że jesteśmy odpowiednio przygotowani.

Leroux przytakuje ledwie dostrzegalnym ruchem głowy. Wren siada prosto.

- Poza tym Will ze swoją młodzieżówką będzie nas wspierać - dodaje z uśmiechem unoszącym kącik jej ust.

Leroux prychnie śmiechem.

- Młodzieżówka - powtarza. - Weź przestań, są niedoświadczeni, ale trochę jednak pochodzili po tym świecie.

- Wiem. Przecież żartuję. Gdybym nie ufała ich umiejętnościom, nie powierzyłabym im mojego bezpieczeństwa.

Leroux poważnieje.

- Martwię się tylko, że ten typ będzie nas obserwować, jak się miotamy po cmentarzu, bawiąc się w te jego chore podchody.

Skreca w Basin Street. Na rogu ulicy kłębi się tłum turystów i miejscowych. Trzy kobiety wychodzą z wielkiego studia jogi i idą do kawiarni z ogródkiem. Ludzie jedzą obiad pod pogodnym luizjańskim niebem, skubią maślane croissants kilka metrów od miejsca, w którym ktoś może rozpaczliwie walczyć o życie. Leroux i Wren dojeżdżają do wejścia cmentarza, otoczonego wysokimi palmami, przy których otaczający go wysoki mur traci swój imponujący wygląd. Drzewa lekko kołyszą się na wietrze, a ich pierzaste liście zdają się zapraszać gości na ten dziwny teren, kompletnie nie zdradzając, jakie okropności mogą na nich czekać.

Wren kiwa głową.

- Wiem. Też o tym myślałam. Ale nie możemy postąpić inaczej. Modlę się, żeby dziś sanitariusze mieli więcej roboty ode mnie.



## ROZDZIAŁ 19

Emily pędzi przez nieznaną teren, niemal nie dotykając go stopami. Przed nią podskakuje promień latarki. Zrobiła dokładnie to, na co liczył Jeremy. Porzuciła Katie, posłuszna egoistycznemu instynktowi przetrwania.

Jeremy czuje jej nagłą, porażającą panikę. Emily pędzi ile sił, ale bagno chwytają ją za stopy przy każdym kroku, młascząc ohydnie i zmuszając ją do wysiłku wyczerpującego jej siły. Trzęsawisko współpracuje z Jeremym, pomaga mu w osiągnięciu ostatecznej wizji. Ten teren należy do niego. I, co ważniejsze, nie sprzyja Emily.

Dziewczyna przystaje, opierając się plecami o dziuplę w drzewie. Na ramiona sypią się jej drobinki ziemi i kaskady oszalałych owadów z potężnego pnia, oblepionego mchem i błotem. Ciekawe, czy wydaje się jej, że nie hałasuje. Jeremy słyszy jej oddech, płytki i pospieszny. Czuje w powietrzu smak strachu i nie potrafi już dłużej zapanować nad sobą.

- Emily! - jego głos rozbrzmiewa jak grzmot. - Tu Ca!

Emily wzdryga się i stara się powstrzymać histeryczny szloch. Wyrwa się jej tylko zduszony pisk.

- Czyli to ty jesteś moją finałową dziewczyną! - ryczy Jeremy ze śmiechem. - Znalazłaś już granicę mojej posiadłości?

Emily słyszy jego zbliżające się kroki. Jeremy umyślnie hałasuje, przedzierając się przez zarośla. To jego grande finale.

- W ogóle wiesz, w którą stronę uciekać? - pyta kpiąco. - Ale nie, nie pozwól się zniechęcić. Biegnij, króliczku!

Wyrzuca ramiona w górę w nieplanowanym teatralnym geście. Emily odruchowo rzuca się do ucieczki. Przebiega przez strumień, głośno chlapiąc i gubiąc buty w gęstym szlamie. Wpada w zarośla, których ciernie szarpiają jej nogi, ręce, twarz. Mimo to nie ustaje. Jeremy także biegnie, zbliża się do niej. Emily kluczy, by uniknąć losu Matta i Katie.

Nagle, jak oaza na pustyni, pojawia się płot. Metalowe ogrodzenie, które ciągnie się między drzewami i wyraźnie oddziela królestwo Jeremy'ego od wolności. Ma tylko dwa metry, wystarczy się rozpędzić, żeby je przeskoczyć. Emily przystaje na chwilę, a potem rusza z impetem, rzuca się na ogrodzenie, wbija palce w jego ogniwa.

Natychmiastowy ból. Impuls elektryczny przesywa wszystkie komórki jej ciała, usztywnia je i rzuca nim w konwulsjach. Emily znowu pada na piekielną ziemię, z której chciała uciec.

- Trochę mnie obrażasz, sądząc, że nie podłączyłbym ogrodzenia do prądu - mówi Jeremy z wyrzutem, stając nad nią.

Emily pluje krwią i zaciekle walczy o zachowanie przytomności. Przewraca się na bok, zaczyna się czołgać. Rozpaczliwie wbija palce w błoto i mech, usiłując sunąć naprzód. Nie ma żadnego planu. Jej jedynym celem jest jak najdalej uciec od potwora. Jeremy powoli idzie za nią, wyjmując myśliwski nóż i kłęk. Obejmuje ramieniem jej szyję i dźwiga ją na kolana.

Bez słowa rozchyła palcami jej prawe oko i wpuszcza do niego parę kropel tropikamidu. To samo robi z drugim, nadal trzymając ją w duszącym chwycie.

- Przestań! Co to? - krzyczy Emily, cofając głowę.

- Kropłe z tropikamidem - odpowiada oschle Jeremy, dodając po kropelce do każdego jej oka. - Badano ci kiedyś wzrok? Uprzedzono, że przez parę godzin będziesz gorzej widzieć i nie wolno ci prowadzić samochodu?

Uśmiecha się, wiedząc, że Emily nadal widzi jego twarz, choć już niezbyt wyraźnie. Dziewczyna mruga, żeby odzyskać ostrość widzenia, ale na próżno.

- Znasz tę rymowanekę? „Poniżej kręgu piątego, masz cień szansy, kolego”. - Jeremy zagląda w jej rozszerzone oczy.

- Wypuść mnie, proszę. Nikomu nie powiem, tylko daj mi odejść - błaga Emily.

Instykt przetrwania, dzięki któremu tu dotarła, każe jej pertraktować. Jeremy pochyła się ku niej, aż stykają się czołami.

- Nie przerywaj mi. - Mruga i cofa głowę. - Widzisz, jeśli przetniesz rdzeń kręgowy ponad piątym kręgiem, najprawdopodobniej zabijesz jego posiadacza. A dlaczego?

Odruchowo strzepuje robaka z ramienia Emily i czeka na odpowiedź.

- Przestań. Proszę!

Jeremy patrzy na nią z grymasem obrzydzenia.

- Nic? Studentka drugiego roku medycyny i nie umie odpowiedzieć na proste pytanie z anatomii?

Emily przymyka oczy.

- Proszę - szepcze.

- Pierwszy i czwarty kręgi otaczają nerwy odpowiedzialne za działanie przepony. - Wskazuje nożem miejsce, w którym znajduje się jej przepona. - Jeśli uszkodzisz tę konkretną część rdzenia kręgowego, udusisz się i umrzesz. „Czwarty kręgi rusz i nie oddychasz już”.

- Dlaczego mi to mówisz? - W jej oczach pojawia się panika.

- Nie zrobisz ci tego, Emily. Spokojnie. Za kogo ty mnie uważasz? Za jakiegoś potwora?

Znowu spogląda jej z bliska w twarz, a potem przenosi spojrzenie na nóż, który obraca w dłoni. Ona także na niego patrzy; odrobinka księżycowego światła, jaka tu dociera, odbija się od ostrza. I znowu trzęsawisko nagięło się do jego woli. Dało mu światło reflektora dla jego spektaklu. Nagle Emily czuje przeszywający, palący jak ogień ból w dole. Zbyt późno uświadamia sobie, że Jeremy zatopił myśliwski nóż w jej plecach.

- Jeśli przerwiesz rdzeń kręgowy poniżej piątego kręgu, prawdopodobnie przeżyjesz. Ale też z całą pewnością dotknie cię paraliż ciała poniżej tego kręgu - ciągnie Jeremy i klepie Emily po nodze. - Ja wybrałem okolicę łędzwiową.

Emily chwytą go za koszulę, mnie w pięści czarny materiał i rzuca dokoła dzikim wzrokiem.

- Popierdolona ta rymowanka, co? - Jeremy znowu się uśmiecha i robi szybki ruch nożem.



## ROZDZIAŁ 20

Po lewej widać Cmentarz St. Louis nr 1. Mroczne tajemnice przeszłości, zamknięte w jego białych murach, ożywają na nowo. Wren wyobraża sobie rzędy zmarłych obserwujących potwora przy pracy. Zrobił z nich mimowolnych świadków swoich zbrodni w tym świętym mieście.

Syrena zbliżającego się ambulansu przebija się przez gwar ulicy. Leroux parkuje za autem Willa. On i Wren wysiadają bez słowa w lepki upał. Policjanci obecni już na miejscu wyłaniają się zza rogu, poważni i lśniący od potu.

- Teren czysty. Bramy zabezpieczone. Landry i Knox są na cmentarzu i oczyszczają dojscie do kwatery 1503.

Will jest jeszcze bardziej poważny niż zwykle i Wren wie dlaczego.

- Nic nie słyszałeś? - pyta.

- Nic - odpowiada, kręcąc głową i mrużąc oczy w słońcu.

Ambulans hamuje i wyłącza syreny. Dwoje ratowników, mężczyzna i kobieta, wyskakuje i wyjmuje zestawy ratownicze z małego schowka z boku samochodu.

- Skieruj ich za nami, dobrze? - Leroux wskazuje ich Willowi, który kiwa głową i podchodzi do ratowników, żeby wprowadzić ich w sprawę.

Stary nowoorleański cmentarz ciągnie się przed nimi, wydawałoby się - w nieskończoność. Kręte ścieżki między grobami potrafią zamącić w głowie. Panuje tu upiorna cisza. To miejsce jest jak komora próżniowa. Choć za jego murami tętni życiem miasto, tu trudno usłyszeć jakikolwiek odgłos, jakikolwiek znak życia. Cisza dzwoni w uszach. Zmarli dobrze strzegą swoich tajemnic.

Skręcają w prawo i idą do sekcji z podziemnymi grobami. Wszystko zastygło w milczeniu. Nawet duża wrona, która wylądowała na nagrobku nieopodal, nie kracze. Spogląda na nich i kołysz się lekko na kruszącym się kamieniu. Wren zastanawia się, czy przyfrunęła tu specjalnie, by na nich popatrzeć.

Nagle ukazuje im się świeży grób - nietypowy widok w tej nieużywanej części cmentarza.

- Łopaty! Dajcie łopaty! - woła Wren.

Leroux bez zastanowienia rzuca się ku poruszonej ziemi. Dostrzegł coś jeszcze. Policjanci rozbiegają się, otaczając teren. Z wyciągniętą bronią wypatrują zastawionej pułapki. Wren nie zwraca uwagi na znalezisko Leroux. Biegnie do szopy z narzędziami znajdującej się nieopodal. Oczywiście jest zamknięta, ale łopata, jak na zamówienie, stoi oparta o jej ścianę. Wren chwyta ją i wraca do grobu. Leroux podsuwa jej coś pod nos. Coś głośno tykającego.

- Kuchenny minutnik - rzuca bez tchu, zarumieniony i spocony. - Zgryny z budzikiem ze smartwatcha. Mamy prawie dwadzieścia minut.

- Jeśli ktoś tam jest, to niedobrze. Nie ma szansy, żeby zachował przytomność - mamrocze Wren z troską, spoglądając na kopczyk poruszonej ziemi. - Musimy kopać. Natychmiast.

Leroux rzuca marynarkę i podwija rękawy.

- Ty bierz łopatę - poleca, klęka i zaczyna rękami odrzucać sypką ziemię.

Wren kopie we wściekłym tempie. Dołączają do nich inni policjanci. Pracują w milczeniu. Jedynym dźwiękiem jest szuranie łopaty o ziemię i ciężkie oddechy.



Wren już nie ma wielkiej nadziei, ale stara się tego nie zdradzać. Łudziła się, że znajdą kogoś leżącego na ziemi albo chociaż w kaplicy. Człowiek zakopany pod ziemią szybko umiera. Czterdzieści pięć minut to bardzo długo, nawet dla zdrowej osoby. Nie mają pojęcia, w czym pochowano ofiarę, jak głęboko i kiedy. Nie wiedzą nawet, czy w tym grobie ktoś jest. Mimo to Wren pracuje w obłądnym tempie. Może nie ma wielkiej nadziei, lecz zawsze tli się w niej jakaś iskierka.

Leroux przejmuje łopatę od Wren i odrzuca ziemię najszybciej jak umie. Minutnik tyka głośno, odliczając sekundy. Mina Wren świadczy o tym, że każda z nich jest na wagę złota. Mają wrażenie, że kopią tak od wielu dni. Już zesli w dół na ponad metr. Leroux przejeżdża ramieniem przez czoło, rozsmarowując po nim ziemię zmieszaną z potem.

- Chłopaki, a jak to jest trzy metry niżej? - pyta z wahaniem policjant.

Wren oddycha głęboko.

- To dokopujemy się na trzy metry.

Leroux pracuje jak maszyna. Nie odpowiada na zatroskane pytanie kolegów, ale też się martwi. Trzy metry to bardzo dużo, jeśli działa się bez planu, odpowiednich narzędzi czy przyzwoitego nawodnienia i odpoczynku. Do tej pory tego nie zauważył, ale ratownicy zdjęli kurtki i odrzucają ziemię razem z nimi. Podchwytuje spojrzenie ratowniczkę i kiwa głową z wdzięcznością. Kobieta odpowiada skinieniem głowy i dalej wygrzebuje ziemię z grobu.

Współdziałają jak dobrze naoliwiona maszyna. Ziemia fruwa we wszystkich kierunkach. Wszyscy są skupieni. Leroux zerka na minutnik i w tej samej chwili łopata uderza o coś twardego. Policjant dziabie jeszcze raz, dla pewności. Metal stuk w drewno. Minutnik wskazuje, że zostały cztery minuty.

- Coś mamy! - krzyczy Leroux, odsuwając się na bok, żeby zmieść ziemię z drewnianej trumny, powoli wyłaniającej się spod ziemi.

Wren zgarnia resztę ziemi łopatą. Policjanci zbierają się, by wspólnie odsłonić drugi koniec trumny. Grób został wykopany byle jak. Zabójca chciał, żeby został znaleziony, ale nie bez trudu. Napięcie gęstnieje, gdy ukazuje się uchwyt trumny.

- Pociągnijmy z jednej strony - proponuje Will, wskazując na niego. - Może zdołamy przechylić trumnę i zdjąć z niej wieko tak, żeby ziemia nie naleciała do środka.

Wren kiwa głową.

- Podnieście ją we trójkę, a my będziemy was stąd kierować. Jak powiem „stop”, zatrzymujecie się. Nie chcemy jej ustawić zbyt pionowo.

Policjanci potwierdzają ruchem głowy i łapią mocno za uchwyt. Drugą rękę kładą na boku trumny, żeby złapać równowagę. Ciągną mocno, a Wren i ratownicy pchają z drugiej strony. Z głośnym skrzypnięciem trumna wyswobadza się z ziemi.

- Stop! - krzyczy Wren i unosi rękę.

Policjanci nieruchomieją i ostrożnie puszczają trumnę, opartą o stertę odrzuconej ziemi. Wren podważa wieko. Leroux biegnie, żeby jej pomóc. Po chwili wieko odskakuje, a oni przekazują je innym.

Czas się zatrzymuje. Ciszę łączy tylko powolne tykanie minutnika.

- Boże - rzuca ratownik, zasłaniając usta.

Kobieta w trumnie wygląda na dwudziestoparolatkę. Jej kasztanowe, zlepione błotem włosy są rozrzucone wokół głowy. Oczy ma zamknięte, ubrudzona twarz jest spokojna. Na jej policzku i wyściółce trumny widać zaschnięte wymiociny, na bosych, poranionych stopach - zakrzepłą krew i ziemię. Jej biały podkoszulek nosi

wyraźne ślady znoszenia. Z boku ma ciemnoczerwoną plamę, sięgającą na plecy. Policjanci wiedzą, że to krew, Wren nie musi im tego mówić. Tej krwi jest bardzo dużo. Kobieta w trumnie leży nieruchoma i cicha.

Minutnik zaczyna dzwonić.



## ROZDZIAŁ 21

Jeremy otwiera oczy. Czuje się wypoczęty, choć spał tylko dwie godziny. Siada na łóżku i wygląda zza rolet, wpuszczając smużkę ciepłego światła. Przesuwa spojrzeniem po wielkiej połaci lasu i zieleni, rozciągającej się przed nim jak ocean. To jego wersja Aokigahary, tak zwanego Lasu Samobójców, gdzie zagubione dusze przychodzą, by umrzeć.

Zostawił Emily w tym lesie, sparaliżowaną od pasa w dół, niemającą dokąd uciec. Wzywała Cala, żeby wrócił. Błagała, by nie zostawiał jej samej. Jej łkanie ukołysało go do głębokiego, choć krótkiego snu.

Wkłada czystą koszulę, białą i wykrochmaloną. Myje zęby i starannie układa jasne włosy. Gdy wychodzi, słucha dźwięków, jakie wydają deski pod jego stopami. Jego ciężkie buciory łomoczą o nie. Zastanawia się, czy Emily go słyszy. Czy zdołała zasnąć mimo wyczerpania i przerażenia?

- Emily! - woła.

Czeka na jej głos. Nic, tylko cykady i ptaki.

- Chyba nie umarłaś, prawda? - ryczy znowu. To nie do końca żart.

Odpowiadają mu tylko odgłosy ukochanego trzęsawiska.

Jeremy przyspiesza. Wchodzi w gęsty zagajnik i idzie drewnianym chodnikiem ku ogrodzeniu, gdzie zostawił Emily. Jest niespokojny i podekscytowany.

- Emily, mam nadzieję, że mi wybaczysz - woła radośnie, tłumiąc chichot.

Wchodzi na otwartą przestrzeń przy ogrodzeniu. Jest! Leży, niemal całkiem płasko na ziemi, oparta barkami o płot. Druty uginają się pod nią, tworząc lukę, przez którą można by przejść. Emily się nie rusza. Przez chwilę Jeremy zastanawia się, czy umarła.

*Nie. Nie, to dla mnie za mało.*

Przyspiesza, idzie ku niej szybkim krokiem, wpatrzony w jej ciało. Nie może jeszcze umrzeć! Cały jego plan runęłoby w gruzy. Emily ma być jego wiadomością. Jego ostrzeżeniem.

Jeremy podchodzi do jej nieruchomego ciała i wyteża wzrok. Przykuca. To nie Emily. To Katie.

Serce mu przyspiesza, prawda powoli toruje sobie drogę do mózgu.

Nie trafił.

Chyba jakimś cudem ominął rdzeń. Najwyraźniej zachowała zdolność ruchu, gdy ją zostawił. Jego myśli galopują. Wkłada rękę w lukę w ogrodzeniu. Emily go przechytrzyła. Przyciągnęła tu Katie i posłużyła się jej ciałem, które wchłonęło impulsy elektryczne. Jeremy dotyka zakrwawionego drutu nad zwłokami. Emily wykorzystwała Katie jako izolację. Po niej wyczołgała się na drugą stronę. Przez zwłoki niemal nie czuła uderzeń prądu - o ile w ogóle.

Jeremy prostuje się, spoglądając na wysoką trawę i gąszcz drzew poza granicami jego placu zabaw. Emily uciekła. Jeremy zamyka oczy w promieniach porannego słońca i myśli z wdzięcznością, że przynajmniej idealnie się przygotował. Lepiej niż idealnie. Emily z takimi ranami nie dotrze daleko, a nawet jeśli, nadal niewiele widzi dzięki kropłom do oczu. Wkrótce ją dogoni. Ale ta myśl nie sprawia mu ulgi. Wszystko się zmieniło.



## ROZDZIAŁ 22

Wren daje sobie tylko chwilę. Potem wraca do pracy. Ręką w rękawiczce bada puls. Zamyka oczy i skupia się na znalezieniu tętnicy szyjnej kobiety. Lekko ją przyciska, usiłując odnaleźć jakieś oznaki życia. I nagle czuje, najbledszy cień tętna pod opuszkami palców.

Jej świat nabiera jaskrawych barw technikoloru. Wren podnosi głowę i patrzy dziko na ratowników.

- Chodźcie! Ma puls! - krzyczy.

Ratownicy rzucają się do działania. Przetaczają ofiarę na bok i odkrywają źródło ciemnej krwi, płamiącej jej koszulę za biodrem.

- Rana kręgosłupa szyjnego - raportuje mężczyzna, otrząsnąwszy się z początkowego szoku, już w pełni profesjonalny. - Choć wygląda na... hm... opatrzoną.

Wren pochyła się z niedowierzaniem.

- Co? - Spogląda na zakrwawione bandaże na karku kobiety. - Zabandażował jej rany? Nigdy tego nie robił. Właściwie to nie znam przypadku zabójcy, który by tak postępował - mówi, marszcząc brwi z bezbrzeżnym zaskoczeniem.

Leroux kręci głową, usiłując uciszyć minutnik, który nadal jazgocze. Jakiś policjant wyjmuje mu go z rąk bez słowa i go wyłącza. Inny policjant rzuca głośno rozkazy podwładnym, każąc im odizolować to miejsce i wezwać posiłki.

- Zabierzmy ją stąd. Przede wszystkim trzeba ją ustabilizować - oznajmia ratownik.

Z pomocą Wren wyjmują kobietę z trumny. Już zaczęli ją podłączać do aparatury podtrzymującej życie. Lata treningu sprawiają, że wszystko idzie jak z płatka. Wren wykorzystuje tę chwilę, żeby zajrzeć do trumny. Krew jej odpływa z twarzy na widok pełnego szkieletu, odsuniętego na bok i zgniecionego. Ofiara została pogrzebana z pierwotnym lokatorem grobu. Trudno stwierdzić, czy była przytomna, gdy znalazła się w trumnie. Wren nie daje sobie czasu na myśli o koszmarze pogrzebania żywcem. Leroux trąca ją w ramię, wrywając z zamyślenia.

- Spójrz na wieko - mówi dziwnym głosem, patrząc jej w oczy.

Najgorsze podejrzenia Wren znajdują potwierdzenie; na starym drewnie widać chaotycznie przecinające się bruzdy. Coś jak z *Milczenia owiec*. Złamany paznokieć w kamiennej ścianie studni, w której Buffalo Bill przetrzymywał swoje ofiary, jest już na zawsze wypalony w pamięci Wren, a teraz przyszło jej się skonfrontować z jej realnym odpowiednikiem. Niektóre bruzdy są zakrwawione; szybkie spojrzenie na ofiarę dowodzi, że kobieta drapała wieko trumny, aż jej palce zaczęły krwawić. A zatem przez jakiś czas była świadoma, gdzie się znalazła. Przez nie wiadomo jak długo usiłowała na próżno przebić się przez drewno, może nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że przygniata je metr ziemi.

- Przeżyła, John - odzywa się w końcu, choć nie potrafi odwrócić wzroku od rysu na wieku. - Ma puls i wie, kim jest ten gość. Tylko to się liczy.

Leroux rozluźnia krawat. Zaciska zęby, a rozpaczliwa nadzieja znika z jego oczu, zastąpiona przez świadomość przegranej.

- Widziałaś to, co ja, Muller? Ona właściwie nie żyje. Nie zdziwiłbym się, gdyby już dziś wylądowała w twojej kostnicy - stwierdza i odwraca się, zniechęcony, by rzucić pecynę gliny na ziemię. - On sobie z nami pogrywał, a myśmy się dali nabrać.

Wren nie uważa, żeby nie miał racji. Sama dotknęła pulsu kobiety i wie, że był bardzo słaby. Mała szansa, by ofiara zdołała sobie cokolwiek przypomnieć, o ile się ocknie. Ale tego nie mówi.

- Mylisz się. On z nami nie wygrał.

Leroux odwraca się do niej jak ukłuty.

- Jak możesz mi wmawiać takie rzeczy? Nie wygrał? Lataliśmy jak półgłówki, ścigając się z jakimś budzikiem. Dokładnie tak, jak zaplanował.

W jego głosie pobrzmiwa agresja, której Wren nigdy u niego nie słyszała. Nie boi się go, ale boi się o niego. Bierze powolny wdech i odpowiada:

- Nie, John. Chciał, żebyśmy znaleźli ją martwą. Zamierzał dać nam fałszywą nadzieję, żebyśmy ścigali się z czasem tylko po to, by znaleźć w trumnie zwłoki. Tak to sobie zaplanował. I tak się nie stało.

Leroux łagodnieje, a ona mówi dalej:

- Otworzyliśmy tę trumnę i znaleźliśmy żywego człowieka. Kogoś, kto go widział, słyszał i pewnie czuł jego zapach. I nawet jeśli ta dziewczyna nie zdoła nas naprowadzić na właściwy trop, to uratowaliśmy jej życie. Ludzkie życie. A on poniósł klęskę. Nie wiemy, co się jeszcze wydarzy, ale tutaj dał ciała.

Wren wygrzebuje się z dołu, w którym oboje stali, i pochyla się, żeby otrzepać spodnie z ziemi. Leroux odchyła głowę i jęczy, znowu podobny do siebie. Wstaje i idzie za Wren do bramy cmentarza. Maszerują równym krokiem, oboje zmęczeni i w nieładzie po niedawnej akcji. Koczek Wren prawie całkiem się rozsypał. Jej rozpaloną skórę pokrywa maź z potu i ziemi. Włosy Leroux są rozczochrane i wilgotne. Pot przemoczył mu

koszulę na wylot. Oboje czepiają się nadziei, że ich wysiłki były coś warte.

- To, że on to sobie inaczej wymyślił... że nie ma satysfakcji... to miłe - przyznaje Leroux. - Ale to jak nagroda pocieszenia. Mogę ją postawić na półce i przez chwilę cieszyć nią swoje ego, ale nie stoi za nią nic konkretnego. To nie jest prawdziwe zwycięstwo. Nie zbliżyliśmy się do niego. Jeśli to mi się nie uda, kolejna niewinna osoba straci życie.





## **CZĘŚĆ II**



## ROZDZIAŁ 23

Jeremy opiera się o pobliski nagrobek. Mimo wczesnej pory już jest parno; wyciera ramieniem kropelki potu z czoła i odchyła głowę, patrząc na bezchmurny przestwór nieba. Cmentarz tonie w ciszy, choć jest pełen turystów. Teraz, niemal dzień po tym, jak wykopali ofiarę i zrobili z niego pośmiewisko, czuje się tu jeszcze bardziej oddalony od świata żyjących.

Nowoorleańskie miejsca pochówku zawsze były otoczone tajemnicą. Niefortunne umiejscowienie miasta na obszarze o wysokim poziomie wód gruntowych oznacza, że to najgorszy z możliwych terenów na grzebanie zwłok. Trumny wypełniają się wodą, która w końcu przy najmniejszej powodzi wypycha je na powierzchnię. Dawni grabarze starali się temu przeciwdziałać, obciążając trumny, ale zawsze przegrywali ze zwiększającym się ciśnieniem wody. Kiedy w końcu trumny zaczęły płynąć ulicami Nowego Orleanu, stało się jasne, że trzeba znaleźć nowe rozwiązanie. Teraz ukochani zmarli są chowani ponad poziomem ziemi. Labirynty ścieżek między nagrobkami tworzą upiorną atmosferę, której cmentarz zawdzięcza swój przydomek: Miasto Umarłych. Sławna królowa wudu, Marie Laveau, słusznie spoczywa właśnie tutaj. Goście od lat rysowali trzy krzyżyki na otaczających ją kamieniach w nadziei, że Marie spełni ich najbardziej nieosiągalne marzenia.

Teraz na ten teren mogą wejść nieliczni. Nowoorleańska archidiecezja opracowała surowe reguły, gdy wandale zabrali się za te niszczące groby. Chylące się ku upadkowi nagrobki są na swój sposób piękne, ale ten, kto zaświeci latarką w ich szczeliny, zobaczy makabryczny peep-show z rozsypującymi się szkieletami, ledwie osłoniętymi resztkami materiałów z dawnych czasów. Miasto rzuciło się, by chronić święty spokój zmarłych.

A jednak Jeremy zdołał wtargnąć do tego zakazanego świata. Po prostu przeskoczył przez ogrodzenie.

Ostatnim razem był tu o tej samej godzinie i musiał zepsuć kamerę monitoringu, zanim przewlókł swą ofiarę przez bramę. Uwijał się ile sił, żeby ją pogrzebać. Dobrze się przygotował. Wiedział, że w tym miejscu znajdują się stare podziemne groby i że gdy znajdzie się w murach cmentarza, wykopanie płytkiej dziury w wilgotnej ziemi przyjdzie mu z łatwością. Pamiętał, jak podważał wieko rozpadającego się, gnijącego lokum i odsuwał rozsypujący się szkielet na bok, żeby umieścić wewnątrz nową lokatorkę. Ale głównie pamiętał to rozkoszne uczucie, gdy ostrożnie wyjął z kieszeni bransoletkę, cienką i kruchą, i wsunął ją na lewy nadgarstek kobiety, zanim zakopał ją w skradzionym grobie.

Pamięta też to oklepane stwierdzenie, że morderca wraca na miejsce zbrodni. Rozczarowanie ostatnich godzin nawet go trochę bawi. Woli być żywym stereotypem tutaj, w tym groteskowym i dostojnym pięknie cmentarza, niż wracać na festiwal jazzowy.

Przypomina sobie te tłumy, które hałaśliwie piły, jadły i śmiały się wokół niego. To ciężkie, gęste powietrze, poruszone lekkim wiatrem, który wywabił z klimatyzowanych pomieszczeń nawet osoby najgorzej znoszące upały. Czuł się pewny siebie i bezpieczny, otoczony mdłym smrodem gnijącego ciała, zmieszany

z woniami ulicznego jedzenia. Pamięta tę rozkosz, gdy na twarzach paru osób zauważył przeblęski świadomości, że wyziewy dwudniowego trupa mieszają się z przyjemnym aromatem kreolskich pączków i najlepszego gumbo na świecie. Wtedy jeszcze jej nie znaleźli, ale zapach zdradził, gdzie jej szukać. Wzywała ich pod scenę - wkurzająca nawet po tym, jak uciszył jej wrzaski. Dreszcz oczekiwania był upajający.

Jeremy zamyka oczy i znowu ją widzi. Widzi jej rozszerzone, przerażone oczy, ostatnią iskierkę nadziei, którą zgasił na tym ciemnym trzęsawisku. Teraz światło znikło z tych oczu, a ciężkie powieki przysłoniły je do połowy, nadając jej pozór drzemki. Cienkie wargi, które zaciskały się w prostą kreskę, teraz rozchyliły się, zwiotczały. Tak jakby bezskutecznie starała się coś powiedzieć. Głos zmarłych cichnie na zawsze. Ich ciała są workami martwej tkanki, która nie może przekazać, czego naprawdę doświadczyli, zanim skończyli na miejscu zbrodni albo w kostnicy. Nikt nie pozna bezbrzeżnej samotności, która poprzedzała ich śmierć. Pod względem fizjologicznym można z dużą dozą ścisłości wyjaśnić, co się dzieje, gdy serce przestanie bić, ale nie można przekazać rozzierającego bólu, który czuje człowiek, gdy zrozumie, że ktoś inny odbiera mu życie.

Jeremy spaceruje wśród pustych cementarnych alejek i trzyma się kurczowo tych wspomnień, żeby się uspokoić po tym wszystkim, co zostało z jego misternego planu. Przypomina sobie, że ma ważniejszą misję - tę, którą rozpoczął prawie siedem lat temu i o której nigdy nie zapomniał. Tu nie może popełnić błędu.



## ROZDZIAŁ 24

Zadzwonili do niej parę godzin po tym, jak opuściła szpital. U ofiary rozpoznano niewydolność oddechową, która doprowadziła do śmierci przez uduszenie. Lekarze i pielęgniarki dyżurne usiłowali ją ratować, ale jej ciało po prostu się poddało. Akt zgonu ujawnił, że kobieta została dźgnięta nożem, który przeciął rdzeń na wysokości szóstego kręgu. Była sparaliżowana od pasa w dół. Wren odruchowo potrząsnęła nogą, słysząc tę informację.

Lekarze oznajmili także, że zabójca opatrzył ranę, którą zadał – tak jak podejrzewała Wren. Z tego względu utrata krwi nie była aż tak wielka. Nie spowodowałaby śmierci ofiary. Wyniki badania krwi dostarczyły jeszcze jaśniejszego obrazu losu ofiary. W jej krwiobiegu krążyła umiarkowana dawka wyciągu ze szczwołu, pewnie podana dożylnie, zanim kobieta została złożona żywcem do grobu. Trucizna skończyła dzieło zaczęte przez mordercę. Czytając raport, Wren zatrzymała się na tej informacji. To substancja znana z literatury; ciekawe, co mówi o mordercy, który postanowił się nią posłużyć.

Ciało leży teraz zimne, bez życia na stole prosektoryjnym, a Wren nie może nie myśleć o twarzach rodziców ofiary. Łzy na ich policzkach i zmęczone oczy odcisnęły się jej w pamięci. Nie potrafi sobie nawet wyobrazić, co przeżyli, dowiedziawszy się, jakie tortury znosiła ich córka, co czuła, widziała i jak cierpiała. Zbrodnie tego mordercy są jak wirus przenoszący się w powietrzu – zarażają wszystkich w pobliżu. Dla niego to po prostu straty wliczone w cenę, ale dla ludzi, których to dotyka, to katastrofa niszcząca każdą komórkę ciała. Na chwilę odzyskali córkę, by znowu ją stracić. Choć czasem śmierć jest błogostwianstwem.

Wren wytrząsa z zielonego worka rzeczy ofiary, przywiezione tu ze szpitala, gdzie parę godzin wcześniej kobieta oddała ostatni wyczerpany oddech. Przedmioty rozsypują się po stalowym stole obok ciała. Nie ma ich wiele. Brudne, poplamione ubranie rozcięto podczas reanimacji. Plecy poszarpanego białego podkoszulka są brązowe od zaskorupiałej krwi. Na prawym rękawie zaschły wymiociny, prawdopodobnie już po tym, jak ofiara straciła przytomność. Dżinsy są oblepione błotem. Wren da z siebie wszystko, żeby dokładnie określić, co morderca zrobił tej kobiecie przed jej niewczesną śmiercią, ale jednocześnie boi się tej prawdy. Wie, że jej ostatnie przytomne godziny musiały być pełne rzeczy, których nie potrafią sobie wyobrazić nawet reżyserzy horrorów.

Odkłada ubrania na bok i rozczytuje się za pozostałymi przedmiotami. Został tylko jeden. Raport świadczy o tym, że ofiara została przywieziona z bransoletką na lewej ręce. Wren spogląda na ozdobę. Bransoletka jest delikatna i ma zawieszkę, serce przedstawione z anatomiczną wiernością, z małą literką E wygrawerowaną z boku. Wren potrząsa głową, jakby nie wierzyła własnym oczom. Wyciąga rękę w rękawicze, by się przekonać, że bransoletka tu naprawdę jest. Prawie spodziewa się, że jej palce przejdą przez ozdobę jak przez powietrze. Ale one dotykają chłodnego metalu, najpierw zawieszki, potem samej bransoletki. To nie złudzenie.

Myśli Wren wirują chaotycznie w jej głowie, układając się w nierozpoznawalne wzory. Jej mózg stał się porysowaną płytą CD, która nieustannie przeskakuje. Ona zna tę bransoletkę. Należała do niej w innym życiu. Teraz stoi w miejscu, w którym zwykle czuje się najbardziej kompetentna i silna, lata świetlne od tej wersji siebie, która niegdyś nosiła tę bransoletkę. I znowu trzyma ją w dłoniach.

To bransoletka Emily Maloney.

To bransoletka Wren Muller.





## ROZDZIAŁ 25

Jeremy nie może przestać rozmyślać o tym, jak jego wielki powrót zaczął się falstartem. Siedem lat. Siedem lat planowania i pracy doprowadziło do tego rozczarowania. Wczoraj obserwował tę katastrofę z miejsca, z którego miał doskonały widok na okolicę. Nie mógł opuścić swojej kryjówki; musiał bezsilnie patrzeć, jak jego plan się rozsypuje. Porażka nigdy nie jest łatwa do przełknięcia, ale on czuł się, jakby przeżył potłuczone szkło. Przez większą część życia nie znał smaku klęski - a teraz musi z nią żyć.

A przecież wszystko tak starannie zaplanował. Wybrał ofiary i metodę zabójstwa mogącą uruchomić szczególne wspomnienia u osób, które od początku pracowały nad jego sprawą. Zostawił ślady, często niezbyt subtelne. Strony *The Most Dangerous Game*, które wtłoczył do gardła jednej z ofiar, były podpowiedzią niemal komiczną w swej oczywistości. Być może popisywanie się siłą przed tymi rozgorączkowanymi małymi istotkami, próbującymi go złapać, było pychą, ale zależało mu na przemówieniu do Emily. Chciał jej przypomnieć o dawnym życiu, tym prawdziwym. Prawie czuł, jak wraca do tego stanu ducha, w którym była małym przerażonym króliczkiem, uciekającym przed nim po mrocznym bagnie.

Przez wszystkie te lata to właśnie jej ucieczka najboleśniej w nim tkwiła. Gdy tamtego dnia siedem lat temu wszedł na swój plac zabaw i przekonał się, że Emily uciekła, poczuł się okropnie - i wcale nie dlatego, że musiał się natychmiast pozbyć ciała Matta i Katie i zabrać się za usuwanie wszelkich śladów swojego eksperymentu. Żył z tą klęską przez lata, doskonaląc się i robiąc wszystko nie tylko po to, żeby już nigdy się tak nie poczuć, ale by mieć pewność, że to on odbierze ostatni oddech Emily. To on będzie sprawcą jej śmierci.

Teraz, zmuszony do patrzenia, jak kolejny starannie zaplanowany moment idzie na marne, nie posiada się z wściekłości. Za mocno pociągnął za sznurki tych marionetek. Zaraz się przerwą od nadmiernego napięcia i odsłonią człowieka za kurtyną. Ta scena była niemal idealna, niemal dokładnie taka, jak sobie wymarzył.

Ale nie wszystko stracone, nadal można coś zrobić. Na razie słyszy tylko niedawne wspomnienie rozkosznego zgrzytania ziemi pod łopatami i zdyszanych oddechów. Policjant i ratownicy byli upaprani cmentarną ziemią. Grzebali w niej rękami, zanim jakiś siedemdziesięciokilkuletni mężczyzna uprzejmie przyniósł im dwie łopaty. Jeremy nie pamiętał, żeby kiedykolwiek wcześniej lub później widział taki pokaz autentycznej serdeczności, lecz mimo tej nieprzewidzianej obywatelskiej pomocy był pewien, że za chwilę kopiących czeka gorzkie rozczarowanie.

Tak, ryzykował. Zamierzenie o tak wielkiej skali tego wymagało i on się na to zgodził. Słyszał syreny, które brzmiały w jego uszach euforycznie, podkreślały go jak nieprzyzwoity żart. Były chamskie i agresywne. Jeremy odwrócił się w stronę ulicy i oparł się o mur jak nasycony kochanek.

Ale oczywiście wszystko, co się wydarzyło potem, zaćmiło wszelką satysfakcję.

- Chodźcie! Ma puls!

Te słowa go teraz przesładują. Nawet dzień później słyszy jej głos, raz po raz powtarzający to władczym tonem. Wyjęła te słowa z kołczanu i wypuściła z łuku

z mocą doświadczonej łuczniczki. Teraz jest nimi przeszyty.

Początkowo spanikował na myśl, że ofiara, żyjąca wbrew jego oczekiwaniom, widziała jego twarz, zna jego imię i nawet fałszywą tożsamość, ale szybko pocieszył się świadomością, że nawet gdyby jakoś przeżyła pomimo paraliżu i poważnego niedotlenienia, powinna ponieść zbyt wielkie szkody psychiczne, by móc mu zaszkodzić. Skurcze mięśni i niemal nieustanne konwulsje, jakie miotają ją w ciasnej trumnie, z pewnością spowodowały trwałe uszkodzenia nerwów. Jej mózg był zniszczony.

Ponadto Jeremy od samego początku wiedział, że bardzo rzadko się zdarza, by plan przebiegł dokładnie zgodnie z początkowymi założeniami. Właśnie z tego powodu powstają plany awaryjne. Jeremy myślał z wdzięcznością o wyciągu ze szczwołu, który wstrzyknął w ciało śpiącej ofiary, zanim złożył ją w miejscu nie tak całkiem wiecznego spoczynku. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby znaleziono ją już martwą, ale lepiej mieć plan awaryjny niż po prostu dać ciała. Trucizna krążyła w jej żyłach, a niewydolność oddechowa załatwiła sprawę.

Tak samo było z Sokratesem.

Miał siedemdziesiąt lat, gdy oskarżono go o bezbożność i psucie młodzieży. Gdy sąd uznał go winnym zarzucanych czynów, powiedziano mu, że ma sam zadać sobie śmierć. Ach, te teatralne zapędy starożytnych Greków! Zaprowadzono go pospiesznie do celi i wręczono mu kubek śmiercionośnego wyciągu ze szczwołu. Kazano mu go wypić, a potem chodzić, aż nogi odmówią mu posłuszeństwa. Historycy wmawiali nam, że była to spokojna śmierć. Że Sokrates usłuchał i ze stoickim spokojem wyszedł na spotkanie śmierci. Ale Jeremy zna straszne działanie szczwołu - wymioty, drgawki, duszności - i cieszy się, że historia powtórzyła się w odniesieniu do jego ostatniej ofiary.

Jeremy wie, że niezdrowo jest roztrząsać minione porażki. Czuje, że wpada w obsesję, która może mu zaszkodzić, lecz nie potrafi się powstrzymać - jak samolot pikujący ku ziemi.



## ROZDZIAŁ 26

Strzyżyki<sup>[1]</sup> to naprawdę wspaniałe istoty. Symbolizują odrodzenie i ochronę, nieśmiertelność i siłę. Są małe, więc większe ptaki i drapieżniki nie doceniają ich niewiarygodnych możliwości i inteligencji. Ale choć tak kruchy, w chwili zagrożenia strzyżyk potrafi przechytrzyć nieprzygotowanego drapieżnika i go pokonać.

Właśnie dlatego wybrała dla siebie takie imię.

Siedem lat temu Wren Muller była Emily Maloney, powoli i uparcie realizującą marzenie o zostaniu lekarzem. Była ufna, naiwna i błogo nieświadoma koszmaru, który miała wkrótce przeżyć. Idealny cel. A potem sadystyczny zabójca, który wcielił się w rolę jej partnera z laboratorium i przyjaciela, uśpił ją, porwał, zaatakował i zostawił na pewną śmierć na pustym trzęsawisku - którego nadal nie mogła znaleźć na mapie.

Początkowo miała sobie za złe, że przeoczyła znaki ostrzegawcze. Raz po raz wszystko analizowała. Przypominała sobie to czekanie - godzinami, jak jej się zdawało - z piekącymi, niewidzącymi oczami. Ciągle czuła, jak ból pulsował jej w plecach i głowie. Jak nie ośmieliła się drgnąć z obawy, że morderca wróci. Pamięta, że strach wzbierał jej w gardle jak żółć, tak że bała się w nim utonąć. Ale w końcu odszedł. Rany, które zabójca zadał jej umysłowi i ciału, zagoiły się, a ona nauczyła się, jak z tym żyć.

A teraz krzywy uśmieszek Cala znowu ją prześladuje.

Wren wróciła w czasie na to przeklęte trzęsawisko i widzi samą siebie, zakrwawioną, posiniaczoną i dotykającą ostrożnie głębokiej rany na plecach. Morderca nie trafił. Ominął rdzeń. Zranił ją, ale nie sparaliżował. W końcu byli dopiero na drugim roku. Pamięta, jak ciągnęła zwłoki Katie przez namokłą ziemię. Tej nocy oczy ją piekły, jakby ktoś sypnął jej w nie piaskiem, lecz adrenalina wyniosła ją ponad rozdzierający ból i wyczerpanie. Wiedziała, że musi przekierować prąd z ogrodzenia, żeby nie zrobił jej krzywdy. Resztką sił rzuciła na nie bezwładne ciało Katie. Teraz już nie pamięta, jak to było przeczołgać się po trupie - i dziękuje swojemu mózgowi, że obronił ją przed tymi wspomnieniami. Ale pamięta, jak biegła. Całymi kilometrami. Powietrze stawiało jej opór, jakby przedzierała się przez wodę.

Uwalnia się z wiru wspomnień i z wysiłkiem przełyka ślinę. Teraz już wie, że Cal był Rzeźnikiem z Bagien. Zanim ją porwał, zabił kilka kobiet i mężczyzn, a teraz znowu to robi.

Wren zdiera rękawiczkę z prawej ręki i chwyta komórkę.

- John - rzuca z gardłem ściśniętym szlochem. - Jedziesz tu?

Słyszysz w tle warkot samochodów.

- Tak, powinienem być za jakieś pięć minut. Co się dzieje?

Wren wyczuwa troskę w jego głosie. Chce wykrzyknąć, że wie, kim jest Rzeźnik z Bagien, że ma dowód na jego powrót. Oddycha drżąco i zerka na bransoletkę.

- Wszystko dobrze. Ale jak tu dojedziesz, usłyszysz pewną informację. Dość ważną. Nie chcę cię nią ogłuszyć. - Mówi za szybko, lecz nie potrafi wyhamować. Nadal jest w szoku po zderzeniu z rzeczywistością.

- Nie ruszaj się. Już jadę - mówi mężczyzna serdecznie, ale z typową dla siebie powściągliwością.

Połączenie się urywa i Wren rzuca komórkę na stalowy stół. Przez chwilę słucha własnego oddechu w ciszy prosektorium. Potem bierze rączkę skalpela. Ostrożnie rozpakowuje nowe ostrze i wciska z kliknięciem na miejsce.

- Nie skończyłam oględzin zewnętrznych - mówi głośno, jakby zwracała się do ofiary.

Odkłada skalpel na prześcieradło okrywające pierś denatki, wkłada rękawiczki i plastikową przyłbicę. Odkrywa ciało i przygotowuje się do zrobienia nacięcia. Ale zatrzymuje się, zanim ostrze dotknie sianej skóry.

- Nie zawiódę cię, Emmo - szepcze do ofiary.

Nadal słyszy rozdzierające głosy rodziców Emmy, gdy w szpitalnej kostnicy trzymali dłonie córki, powtarzając jej imię.

- Zajmijcie się moją Emmą - poprosiła matka.

Wren zaciska powieki, jakby wciskała reset.

- Chcę cię wysłuchać.

Łzy stają jej w oczach, ale odpędza je zdecydowanym mrugnięciem. Oględziny zewnętrzne to coś, czego nie chce robić byle jak. To ważna część procesu. Po pierwszym cięciu wszystko się zmienia. Wren nie pozwala, by jej prywatny udział w tej sprawie wpłynął na czekające ją zadanie. Teraz musi wysłuchać Emmy, a nie przeżywać żałobę.

Zaczyna od głowy kobiety, ostrożnie odgarniając jej splątane włosy z czoła. Emma ma półprzymknięte powieki, wygląda, jakby miała zasnąć. Mimo że jej oczy są przysłonięte, jest jasne, że kiedyś były intensywnie niebieskie. Niezapomniane. Teraz zmętniały i przygasły. Zasnuła je mgła, nadając im upiorny wygląd. To niefortunny efekt uboczny śmierci - w przypadku takich oczu o wiele trudniejszy do zaakceptowania. Wren lekko unosi powiekę Emmy, by sprawdzić występowanie wybroczyn. Nie znajduje śladu małych naczynek krwionośnych, które pękają, gdy przyczyną śmierci jest uduszenie.

Na tę myśl serce bije jej mocniej, a ręce drżą. Daje sobie chwilę na rozprawienie się z gulą w gardle. Czasem wystarczy udawać płacz, żeby ciśnienie zelżało, ale ona tylko prostuje plecy. Otrząsa się i podejmuje przerwane oględziny.

Rurka intubacyjna nadal jest przyklejona do policzka Emmy. Wren przygląda się jej uważnie, po czym wyciąga ją z gardła denatki. Jednocześnie ostrożnie odkleja taśmę przytrzymującą rurkę. Uwięzione powietrze ucieka z ust Emmy z odgłosem podobnym do westchnienia - dla laika brzmiącego zwodniczo jak oznaka życia. Wren nieruchomieje na moment, przypomniawszy sobie scenę z *Milczenia owiec*, w której patolog usuwa z gardła ofiary Buffalo Billa kokon cmy trupiej główki. Gdy to robił i uwięzione powietrze się uwalniało, Wren zawsze drżała. Tej scenie przypisuje swoją fascynację ludzkim ciałem i tym, co się z nim dzieje po śmierci.

Na ramionach Emmy widnieją małe rozsiane siniaki, pewnie powstałe podczas próby ucieczki z podziemnego więzienia. To nie są ślady pobicia. Wren odnotowuje to na schemacie i zajmuje się dłońmi Emmy. Połamane paznokcie świadczą o tym, że kobieta ocknęła się w trumnie i rozpaczliwie usiłowała się uwolnić. Wren pobiera próbkę spod paznokci. Już wie, że morderca nigdy by nie pozwolił, aby jego ofiara trafiła do kostnicy z jego DNA pod paznokciami. Ale to konieczny etap sekcji zwłok. Sumiennosc przynosi owoce w najmniej spodziewanym momencie.

Teraz Wren skupia się na nogach Emmy, o których jej rodzice opowiadali z taką dumą każdemu lekarzowi czy pielęgniarce, jeśli tylko chcieli tego słuchać. Chwalili się, z jaką gracją biegała ich Emma, ojciec ze łzami w oczach mówił, że w dzieciństwie towarzyszyła mu w wieczornych treningach. Głos mu się załamał, gdy opisywał, jak się nawzajem dopingowali i motywowali. Było jasne, że to wspólne wieczorne bieganie zmieniło się w pasję córki. Kiedy Wren powiedziała, że Emma prawdopodobnie została sparaliżowana od pasa w dół, ta wiadomość ich zdruzgotała. Wren musiała nad sobą panować, żeby nie przeszkadzać im w opłakiwaniu utraty córki, ale tego wieczoru w końcu załamała się pod tym ciężarem i w ciemnościach salonu przestała powstrzymywać gorące łzy.

Choć nogi już nie poniosą Emmy, nadal są silne. Wren czuje pod palcami wyraźny mięsień czworogłowy biegaczki. Widzi długie, szczupłe mięśnie, wyrzeźbione latami treningów. Teraz jej skóra jest pocięta siatką ran, pewnie od biegu przez gęsty las. Jej stopy też są poranione, jakby Emma biegła boso po trudnym terenie. Takie same obrażenia Wren widziała u innych ofiar, włącznie z sobą samą. Potrząsa głową, żeby pozbyć się tego obrazu.

- Gdzie byłaś? - pyta, przesuwając kciukiem po głębokim zadrapaniu z boku lewej stopy Emmy. - Zabrał cię tam, gdzie mnie?

Słyszy zbliżające się kroki Leroux, jego głos odbijający się echem na korytarzu, gdy żartuje z pracownikami. Śmieje się zaraźliwie i od tego dźwięku mętlik w głowie Wren nagle się porządkuje. Leroux wciska guzik rozsuwanych drzwi prosektorium.

- Dobra, Muller, co tam? - pyta, wchodząc. Jego twarz wyraża autentyczną troskę, ale Wren musi jeszcze zdecydować, którą bombę zrzucić najpierw. Spogląda na niego, wciąż trzymając metalową teczkę z klipsem przytrzymującym notatki z oględzin zewnętrznych.

- John, czy macie jakieś poszlaki wskazujące, gdzie zabójca ścigał swoje ofiary? - odpowiada pytaniem na pytanie.

- Na pewno chcesz w to wchodzić?

Wren przytrzymuje się zimnego stalowego stołu, przełykając nerwowo ślinę.

- Nawet się nie spodziewasz, jak bardzo.

Leroux siada na stołku na kółkach.

- Kiedy u wszystkich naszych ostatnich ofiar znalazłaś taki sam rodzaj ran, które wskazują na bieg przez gęsto zalesiony teren, przyjęliśmy teorię, że ten najwyraźniej ma słabość do pościgu, a raczej polowania. - Oddycha głęboko i mówi dalej. - Ale nie potrafiliśmy zgadnąć, gdzie może sobie na to pozwalać.

- W kontrolowanym środowisku - dopowiada Wren.

- Dokładnie - zgadza się Leroux z uśmiechem. - Nie ma opcji, żeby ten typ kontrolował całego tego zająca. To musi być miejsce, gdzie może robić, co zechce i nikt go nie będzie podglądać przez płot.

- Ma dom - stwierdza Wren, patrząc na Leroux, który potakuje.

- Z pewnością. Musi mieć całkiem pokaźną niezabudowaną działkę, bo obrażenia, które znaleźliśmy na ciałach ofiar, nie zostały spowodowane biegiem przez wypiełgnowane podwórko.

Leroux wstaje i wbija ręce w kieszenie, jak to ma w zwyczaju, gdy coś rozważa. Zaczyna wędrować, przystając, by spojrzeć na anatomiczne modele. Wren znowu przełyka ślinę.

- Odziedziczył dom po rodzicach - odzywa się w końcu głosem brzmiącym prawie jak szept.

- Oho, ktoś sobie kupił szklaną kulę - śmieje się Leroux, choć przygląda się jej ze zmarszczonymi brwiami.

Wren zagryza wargę i przez chwilę dobiera słowa, by przekazać informację w zrozumiały sposób. Potem spogląda na Leroux.

- Nie wzięłam tego z kapelusza. Wiem, kto jest zabójcą.

Leroux uśmiecha się z niedowierzaniem.

- Co? To o tym mówiłaś przez telefon?

- Mniej więcej. Znam tego człowieka, jest zaradny, inteligentny i chyba działa na ziemi swoich zmarłych rodziców. - Zerka na Leroux, który patrzy na nią, jakby jej wyrosły skrzydła. - To Cal.

- Cal? Jaki Cal, do cholery? Powinienem znać to imię? Ma jakieś nazwisko?

- Pamiętasz tę dziewczynę, która siedem lat temu przeżyła spotkanie z Rzeźnikiem z Bagien?

- Tak, Emily coś tam. Pamiętam, że czytałem o niej w aktach ojca. Co ona ma z tym wspólnego?

Wren oddycha głęboko i patrzy mu w oczy.

- Maloney, tak miała na nazwisko. To ja. Ja jestem Emily Maloney.

Leroux błędnie, jakby zobaczył ducha. Milczy, szukając właściwych słów. Spuszcza wzrok, najwyraźniej usiłując połączyć to wszystko ze sobą. Znowu na nią

spogląda, starając się znaleźć w jej oczach potwierdzenie. Wren kiwa głową. Leroux milczy, czekając, aż powie coś jeszcze, gdy będzie gotowa.

- Muller to nazwisko mojego męża, jak wiesz, a imię Wren zawsze mi się podobało, bo podziwiam strzyżyki. Pomyślałam, że z takim imieniem i nazwiskiem dobrze się ukryję.

Leroux wypuszcza wstrzymywane powietrze i prawie uśmiecha się z niedowierzaniem.

- Pasuje do ciebie - stwierdza w końcu.

- Dzięki, John. - Wren łagodnieje i wydyma usta. Nagle czuje się bardzo lekka.

- Mój ojciec pracował nad tą sprawą - dodaje Leroux, usiłując odzyskać panowanie nad sobą.

- Tak. Dobrze go pamiętam. Tylko on mnie naprawdę słuchał i mi wierzył - mówi Wren, siada na stołku i zaciska mocno powieki. - Policjanci, którzy mnie przesłuchali, podejrzewali, że jestem naćpana albo że coś mi się pomieszało z powodu traumy. Nie mogłam im powiedzieć, gdzie to zrobił. Ocknęłam się tam prawie ślepa, a potem biegłam kilometrami, nie mając pojęcia, z którego kierunku przybywam. Nie wiedziałam nawet, czy to nadal to samo hrabstwo. Na nic się im nie przydałam i byli na mnie wściekli.

Leroux wygląda, jakby gorączkowo się zastanawiał. Otwiera usta, ale przerywa sam sobie.

- Powiedzieli, że inne ofiary twierdziły, iż Rzeźnik jest blondynem. Mój opis był inny.

- Przykro mi, Muller. Nie wiem, co powiedzieć.

- Kiedy mnie spotkał, musiał ufarbować włosy na brązowo. Mówiłam im to, a oni mnie zlekceważyli!

Z nagłym szlochem rzuca się Leroux w ramiona. On ją przytula i oboje razem osuwają się na podłogę.

- Przykro mi, Muller. Bardzo mi przykro - powtarza Leroux raz po raz, gdy kołyszą się na zimnej podłodze.

- Niepotrzebnie - odpowiada Wren, pocierając oczy, żeby się opanować - Żyj dalej. Nauczyłam się z tym żyć. Ale on wrócił. Wiem, że to on. To Rzeźnik z Bagien. Cal.

Spogląda mu w oczy z kamiennym spokojem, po czym wstaje i przechodzi przez prosekatorium. Po chwili wraca z bransoletką i upuszcza ją w jego dłoń. Leroux podnosi się i dwa razy obraca w palcach ozdobę.

- E - mówi, patrząc na zawieszkę.

- Jak Emily. To moja bransoletka. Zabrał mi ją tej nocy, gdy mnie porwał. Znalazłam ją z resztą rzeczy Emmy. Miałam ją znaleźć.

- Jasna cholera.

Leroux wygląda, jakby miał znowu osunąć się na podłogę, ale się trzyma. Ponownie obraca w dłoni bransoletkę i ściska nos u nasady.

- W każdym razie Cal miał starą matkę, o której czasem opowiadał, gdy spotykaliśmy się na zajęciach. Chorowała i prawie nie wstawała. Pamiętam, mieli stary dom i mnóstwo ziemi. Cal kochał to miejsce. Zakładałam się, że to tam je zabiera. Że tam zabrał mnie.

Leroux kiwa głową. Wodzi wzrokiem po ścianach, zastanawiając się nad tym wszystkim.

- Philip Trudeau! - rzuca gwałtownie Wren i odwraca się do Leroux, który otwiera szeroko oczy.

- Co?

- Philip Trudeau, nazwisko na karcie bibliotecznej - tłumaczy Wren. - Tej, którą znaleźliśmy w książce obok zwłok.

- Tak, wiem, gość z Massachusetts. Pamiętam.

- Mówiłam, że to nazwisko brzmi znajomo. Usiłowałam przetrząsnąć pamięć. To nazwisko ciągle do mnie wracało, ale nie mogłam go nijak umiejscowić.

- Wyduś to z siebie w końcu, Muller.

Wren gestem ręki lekceważy jego ponaglenia i ciągnie:

- Philip Trudeau to przyjaciel Cala z dzieciństwa. Przeprowadził się do Massachusetts, kiedy obaj byli mali. Cal opowiedział mi kiedyś tę historię po wykładzie. Pamiętam, bo zdziwiło mnie to, że Cal się tak na nim skupia. Porozmawiaj z tym Philipem Trudeau, a damę głowę, że to potwierdzi. Ta książka, ta bransoletka... to znaki. On od samego początku zwraca się do mnie.

- I nie zapominaj o twojej wizytówce na miejscu zdarzenia. Teraz to zaczyna mieć więcej sensu.

- Zadzwoń do Philipa Trudeau. Spytaj, czy zna Cala. Właściwie możesz spytać, czy zna Jeremy'ego. Tak nazywały go inne ofiary.

Leroux kiwa głową, zapamiętując tę ostatnią informację.

- Dobrze się czujesz? - pyta wprost. - Jeśli nie, możesz się przyznać.

Wren uśmiecha się, lecz ten uśmiech nie dociera do jej oczu.

- Nie czuję się dobrze. Ale się poczuję, kiedy to się wreszcie skończy.

Przez chwilę milczą. To wygodna, bezpieczna cisza.

- Hej, a dowiedzieliście się, o czym był rozdział z tej książki? Ten, który znaleźliście na Bagnie Siedmiu Sióstr? - pyta w końcu ona, nie odwracając spojrzenia od Emmy.

Leroux wydyma wargi. Teraz uświadamia sobie znaczenie tego pytania.

- Tak - mówi, gdy Wren na niego spogląda.

- I co to było?

- *The Most Dangerous Game* - odpowiada, nie odrywając od niej oczu.

Wren uśmiecha się i kręci głową.



- A to stereotypiarz.

Leroux mimo woli się śmieje. Potem odkasłuje.

- Naprawimy to, Wren - mówi łagodnie. Rzadko się zdarza, że zwraca się do niej po imieniu. - Pogadam z Trudeau i sprawdzę, czego się zdołam dowiedzieć o miejscu zamieszkania tego Cala czy Jeremy'ego.

Podchodzi do swojego płaszcza i bierze go z blatu.

- A tymczasem jeśli wolałabyś, żeby ktoś inny zajął się tą sprawą, to ją oddaj. Może się szybko zrobić zbyt osobista.

- Normalnie bym się kłóciła - odpowiada Wren z westchnieniem. Wyjmuje ostrze ze skalpela i rzuca je do pojemnika. - Ale chyba masz rację. Muszę zrobić to, co najlepsze dla Emmy, a ja jej w tej chwili nie pomogę.

Leroux podchodzi do niej i ściska jej ramię. Wren zdiera gwałtownie rękawiczkę z prawej ręki. Chwyta słuchawkę wiszącego na ścianie telefonu i wzywa swojego podwładnego, żeby dokończył sekcję zwłok.

[1] Strzyżyk - (ang.) *wren*.



## ROZDZIAŁ 27

Jeremy rzadko czuje, że nad czymś nie panuje. Potrafi być cierpliwy. I zdyscyplinowany. Umie trzymać się planu. Ale dziś to wszystko jest mu niedostępne. Dziś gotuje się z wściekłości. Siedzi w swoim samochodzie przed pubem O'Grady's i wpatruje się w jedyną drogę, która mu pozostała. Nie może zapomnieć o swojej ostatniej skandalicznej porażce. Wszystko w nim kipi jak w szybkowarze. Miało się udać. To miała być efektowna popisówka. Ale ta dziewczyna odebrała mu jego wielką chwilę i fakt, że jednak umarła, nic nie zmienia. Gdyby mógł, cofnąłby się w czasie i odrąbał jej głowę. To by rozładowało tę wściekłość. Ale to niemożliwe.

Dlatego wyruszył na polowanie.

Dochodzi wpół do drugiej nad ranem, zaraz zaczął zamykać. To idealny moment, żeby zaprosić kogoś do domu. Jest na tyle późno, że nawet najbardziej ostrożni rzucają obawy na wiatr, ale jeszcze dość wcześnie, by byli w miarę przytomni. Dziś nie szuka manekina do ćwiczeń. Szuka królika, który dobrze biega.

Szybko zerka na swoje odbicie w lusterku wstecznym. Oczy ma przekrwione, ale w ciemnym barze nie będą zdradzać jego stanu umysłu. Starannie układa pasmo włosów, które spadło mu na czoło, i wchodzi.

W pubie nadal pełno ludzi. Powietrze jest gęste od tanich perfum i jeszcze tańszej wody kolońskiej. Światło ma czerwony odcień, przez co lokal przypomina dolny krąg piekła. Klienci podzielili się na dwa obozy. Samotne wilki siedzą przy barze, zgarbione, jakby przyszły do tego zatłoczonego pomieszczenia, żeby być same. Jeremy nie przyszedł tu dla nich. Są też osoby, które jeszcze mają nadzieję - czasem desperacką - że ktoś je zauważy. Większość nie potrzebuje nawet komplementów ani udawanej przyzwoitości. Chcą tylko obietnicy rozkoszy, która zagłuszy nienawiść, jaką do siebie czują. Z czymś takim Jeremy może pracować.

Nie zwraca sobie głowy nikim stojącym z brzegu. Idzie prosto do baru. Siada i obrzuca salę szybkim spojrzeniem. Jego wzrok zatrzymuje się na kobiecie jakies trzy stołki na prawo od niego. Wygląda na dwudziestoparolatkę, ale jest jakaś sfatygowana, jakby za dużo już widziała podczas swojego krótkiego pobytu na tym świecie. Jeremy zauważył ją, kiedy beceremonialnie poprawiała niebieską sukienkę bez ramiączek. Wsadziła sobie w stanik całą rękę. Ta kobieta budzi w nim bezbrzeżne obrzydzenie. Desperacja bije od niej jak dym papierosowy i miesza się z pompacyjnymi iluzjami, które ta baba nosi na sobie jak te swoje bazarowe perfumy. A dziś dzięki niemu jej marzenia się spełnią.

Unosi palec, żeby wezwać barmankę. Zauważa go i powoli podchodzi.

- Czym mogę służyć? - pyta, wycierając dłonie o spodnie.

- Co pije tamta pani?

Barmanka spogląda w stronę, którą jej wskazuje, i wybuchła śmiechem.

- A, ta to wielbicielka Cosmopolitana, bez dwóch zdań. - Opiera się na łokciu i patrzy na niego z psotnym uśmiechem. - Podać jej to samo i sprawdzić, co się wydarzy?

Jego usta drgają w ledwie dostrzegalnym uśmiechu. Barmani zauważają fałszywki równie dobrze jak on i za to na ogół zjednują sobie jego szacunek.

- Daj jej drugiego i powiedz, że to ode mnie. - Przesuwa po kontuarze pieniądze, a barmanka przykrywa je dłonią.

- Załatwione.

Jeremy przygląda się jej, gdy robi różowy koktajl i wlewa do czystego kieliszka. Stawia go przed przyszłym królikiem, nie rozlawszy ani kropelki - Jeremy jest pod wrażeniem. Królik reaguje zdziwieniem, które szybko przeradza się w satysfakcję. Czuje się śmieiej, odgarnia włosy do tyłu z zadowolonym wyrazem tej swojej zapadniętej twarzyczki. Kiedy barmanka wskazuje w jego stronę, rzuca mu spojnienie spod rzęs. Macha do niego zalotnie i zaprasza go do siebie.

*Mam ją.*

- Liczę, że nie pozwoliłem sobie na zbyt wiele - zaczyna Jeremy, siadając obok niej. Posyła jej rozbrajający uśmiech.

Babsko mruży oczy.

- A ja liczyłam, że podejdziesz.

Pochyliła się do przodu. Wyraźnie widać, jak ściska ramionami piersi, żeby dekolt prezentował się lepiej. Jej bliskość go drażni - babsko śmierdzi tytoniem i kawą, ten odór bucha jej z ust falami - ale to nie czas na słabość. Jeremy brnie dalej, skupiając się na swoim celu.

- W takim razie szczęście ci dopisało. Jak masz na imię, piękna?

Tym ostatnim słowem prawie się udławił, ale udaje mu się to ukryć. Babsko zagryza wargę.

- Tara - szepcze uwodzicielsko.

Pociąga długi łyk, najwyraźniej starając się wyglądać kusząco. Jeremy tak intensywnie powstrzymuje się od skrzywienia ust, że pewnie naciągnął sobie jakiś mięsień. Tara uśmiecha się i - co było do przewidzenia - nie pyta go o imię.

- Cześć, Taro. Jestem Jeremy.

- Nie wyglądasz jak Jeremy - szczebiocze ona i opiera brodę na dłoni, gwałtownie trzepocząc rzęsami. Jeremy zmusza się do uśmiechu i pociąga łyk swojego drinka.

- I pewnie nie zachowuję się jak Jeremy - odpowiada, nie całkiem pewien, co by to miało oznaczać. W każdym razie babsko reaguje przeraźliwym chichotem.

*To aż zbyt proste.*

Dokładnie tego mu było dziś potrzeba. Żadnych komplikacji, żadnych nadmiernie zawiłych planów. Musi sobie po prostu ulżyć. Według niego to powrót do prostoty. Musi ją tylko skłonić, żeby wsiadła z nim do samochodu, i od tego momentu hulaj dusza. Przygląda się jej, sączącej tego swojego Cosmopolitana. Babsko odstawia kieliszek i szybko wyciera nos palcem. Tą samą ręką przeczesuje brązowe włosy, przerzucając je na jedną stronę i lekko przechylając głowę. Gdy to robi, Jeremy dostrzega grudkę zaschniętej krwi w jej nozdrzu.

*Bingo.*

- No więc, Taro, przyglądałem ci się. - Jeremy uśmiecha się, bo babsko aż podskoczyło z wrażenia. - No wiesz, sam twój widok mnie kręci.

Ona jest tym zachwycona i pochyla się, żeby mógł sobie zajrzeć w jej dekolt.

- Ale wiem także, że jesteś kobietą, która wie, czego chce. Nie wyglądasz na kogoś, kto się nabierze na ściemnianie.

Tara przesuwa wzrokiem w dół jego ciała, a gdy wraca do twarzy, zagryza wargę, po czym odpowiada:

- No kurwa, raczej.

Jeremy wzdryga się z obrzydzenia, ale po chwili zmusza się, żeby się do niej przysunąć. Tak jak podejrzewał, pod powierzchownością dorosłej kobiety kryje się napolony nastolatek.

- Mam u siebie trochę towaru - wyciąga swojego asa z rękawa. - Pojedziemy do mnie?

Tara łypie na niego z błyskiem w oku. Oblizuje wargi i pewnie myśli, że wygląda kusząco.

- Dobra. - Kiwa głową i prawie kładzie się na nim.

Jeremy rzuca napiwek dla barmanki i wstaje, wyciągając rękę, żeby pomóc Tarze przejść do wyjścia. W barze unosi się dym, rześkie powietrze nagle wdziera się w rozpalone wnętrze. Jeremy otwiera drzwi samochodu przed Tarą, która płynnie siada na fotelu. Idąc na swoje miejsce, przygotowuje się mentalnie i robi przegląd opcji. Powinien ją zawieźć do swojego domu, ale nie chce odwlekać tego rozładowania. Nim wskakuje za kierownicę, kiwa głową mężczyźnie palącemu papierosa przed pubem. Typ jest sfrustrowany, jakby się z kimś pokłócił, i rzuca Jeremy'emu zaskoczone spojrzenie. Potem pokazuje mu palec, zgniata papierosa obcasem i wraca do baru. Zabawne, że kiedy najbardziej tego potrzebuje, ludzie nieodmiennie mu udowadniają, że słusznie nimi pogardza.

Jadą przez chwilę w przyjaznej ciszy. Od czasu do czasu kobieta wcina mu się w jego medytacyjne milczenie swoimi bezmyślnymi uwagami. Sunąc ciemnymi drogami Parafii Orleańskiej w szpalerach drzew, Jeremy zastanawia się, dokąd zawiezie swoją zdobycz. Skręca na drogę gruntową i zagaduje Tarę, żeby odwrócić jej uwagę.

- Gdzie pracujesz? - pyta, zbierając siły, by okazać zainteresowanie tym banałem, który usłyszy.

- Jestem prawniczką - odpowiada ona, wpatrując się w okno po stronie pasażera.

To go rusza. Z trudem udaje mu się zdusić śmiech niedowierzania.

- Naprawdę? - pyta, starając się zachować spokój. - Pracujesz w sądzie?

Kobieta uśmiecha się krzywo i spogląda na niego szklistymi oczami.

- Chyba się zdziwiłeś.

- Nawet na pewno - potwierdza Jeremy.

Dziwne. Babsko nie wygląda na prawniczkę. No ale jak ma wyglądać prawniczka tuż przed zamknięciem baru? Przecież tylko na chwilę odrywa się od butelki, żeby wypalić sobie narkotykiem kolejną dziurę w mózgu.

Tara śmieje się i kręci głową.

- No, tytuł mam, ale właśnie wyleciałam z pierwszej pracy po studiach - przyznaje i spuszcza wzrok na swoje dłonie.

Jeremy widzi, że chciałaby o tym pogadać. Ma ochotę się komuś wyżalić, lecz to nie będzie on. Nie, nie znajdzie w nim współczucia ani mądrych rad. On wpadł do jej żałostnego światka dla sportu. Interesuje go tylko gra. Tara spogląda na niego, ale widząc jego brak zainteresowania, szybko ucieka wzrokiem w stronę okna.

- A tak właściwie to gdzie ty mieszkasz? - Porusza się nerwowo, uświadamiając sobie wagę swojej spontanicznej decyzji. - Powinnam się denerwować, że skręcaś do lasu?

Odkasłuje nerwowo, ale pokrywa to wymuszonym śmiechem. Jeremy uśmiecha się, nie odrywając wzroku od drogi.

- Nie ma się co denerwować, pani mecenas. Mieszkam trochę dalej od cywilizacji.

Tara uśmiecha się lekko, jednak nerwowa energia jej nie opuszcza.

- Mieszkasz tutaj?

- Nie przy tej konkretnej drodze, ale blisko.

Jeremy nadal wpatruje się w nawierzchnię - ciemną, nieoświetloną i wyboistą. Po lewej stronie pojawia się trzęsawisko, a po prawej - złowieszcze drzewa, splecione ze sobą jak zapora.

- To dlaczego tam jedziemy, skoro tu nie mieszkasz? - pyta kobieta, udając zadziorność. Ścisła swój pas, jakby to była broń.

Jeremy zatrzymuje samochód na piaszczystej ścieżce koło trzęsawisk i wyłącza silnik. W końcu uśmiecha się do niej.

- Powietrze jest takie przyjemne. Pomyślałem, że się przejdziemy - tłumaczy.

- Przecież jest ciemno - protestuje ona, ale nie ma wyjścia. Musi za nim iść jak jagnię na rzeź.

Jeremy uśmiecha się, podchodząc do niej. Widzi, że cała sztywnieje, gdy się do niej zbliża. Pochyla się nad nią, a ona gwałtownie wciąga powietrze. Jeremy sięga do samochodu po latarkę i pokazuje ją Tarze. Włącza ją; ten nieorganiczny odgłos niesie się wyraźnie w nocnym powietrzu.

- Już nie - mówi Jeremy i puszcza do niej oko. Bierze ją za rękę.

Gdzieś tam w głębi serca Tara wie, że jest w niebezpieczeństwie. Jej ciało tężeje, żrenice się rozszerzają. Idą razem w głęboki mrok, który się przed nimi rozciąga. Jedynym źródłem światła oprócz latarki jest księżyc bliski pełni. Promienieje jasnym, białym światłem, w którym wszystko lśni. Tara ścisła dłoń Jeremy'ego jak dziecko. Jeremy odpowiada lekkim uściskiem, udawaną pociechą. Przez parę chwil idą w milczeniu, patrząc pod nogi, choć z kompletnie różnych powodów.

- Całkiem tu ładnie. Nadal strasznie, ale ładnie.

Tara podskakuje, słysząc w oddali trzask gałązki. Odruchowo przytula się do niego ze strachu. Jeremy mimo woli się uśmiecha, dostrzegając tę ironię losu. To on jest dla niej największym zagrożeniem na tym trzęsawisku.

- Tak, ale wszystkie rzeczy warte uwagi są amalgamatem przerażenia i piękna. Co za nuda ograniczać się do jednej kategorii.

- Pewnie zakładasz, że nie wiem, co znaczy „amalgamat”, no nie? - Tara staje i patrzy na niego z ironicznym uśmieszkiem, który nadaje jej o wiele bardziej atrakcyjny wygląd.

Jeremy uśmiecha się, czekając, aż znowu ruszy. Tara kręci głową, kiedy podchodzą do drewnianej ławeczki nad wodą, zbitej byle jak, ale jakoś zachęcającej. Dzięki niej ohydne bagno tchnie spokojem. Siadają obok siebie i spoglądają na księżyc odbijający się w mętnej wodzie.

- Zdałam egzamin adwokacki. Możesz nie wierzyć, ale dekollet nie ma nic wspólnego z inteligencją.

Uśmiecha się bez złośliwości. Jeremy nie odpowiada od razu. Udaje, że drapie się w nogę, żeby dotknąć noża przypasanego mocno nad kostką.

- Moja wina. - Prostuje się i spogląda na nią. - Jesteś podręcznikowym przykładem na to, że nie warto oceniać po pozorach.

Tara śmieje się cicho i żartobliwie trąca go pięścią w ramię.

- Dziwny komplement, ale go przyjmuję.

- To bardzo ładnie z twojej strony.

- Jak mogłabym się złościć na takiego przystojniaka? - Tara kładzie dłoń na jego lewym policzku, delikatnie odwracając ku sobie jego twarz. Zamyka oczy

i pochyla się, by go pocałować. Jeremy waha się tylko przez chwilę i zbliża się do niej, niemal dotykając jej warg. Gdy czuje jej oddech, odzywa się cicho:

- Lepiej uciekaj.

Oddech Tary utyka jej w gardle. Kobieta uśmiecha się nerwowo, nadal blisko niego, choć lekko się cofa, by spojrzeć mu w oczy.

- Co?

- Słyszałaś.

Jej uśmiech szybko znika. Tara cofa się i patrzy na niego z niedowierzaniem.

- To nie jest śmieszne.

- Nie miało być.

Jeremy niemal czuje, jak jego oczy ciemnieją, gdy pochyla się po nóż przypasany do kostki. Unosi go, przyglądając się światłu księżycy odbitemu na jego ostrzu. Tara siedzi jak sparaliżowana, popatrując to na niego, to na broń. Przez jej twarz przemyka skurcz żalu.

- Uciekaj! - ryczy Jeremy, nie patrząc na nią.

Kątem oka widzi, jak kobieta znika w ciemnościach. Słyszy jej stłumiony szloch. On także wstaje, dając jej chwilę przewagi. I tak nie ma dokąd uciec. Przywiózł ją w miejsce otoczone trzęsawiskami i opasane ogrodzeniem z drutu kolczastego, mającym powstrzymać aligatory przed ucieczką z bagien. Przez ten środek zapobiegawczy Tara jest uwięziona z prawdziwym drapieżnikiem. Ma do wyboru stawiać mu czoła albo popłynąć.

Jeremy dobrze zna to miejsce. Ojciec go tu zabierał na dziki. Podczas tych wspólnych wieczorów nauczył się cierpliwości, czekając w tej samotni na zwierzęta. Jakoś udało im się kontynuować te nielegalne wypadki bez żadnych kłopotów ze strony miejscowego wymiaru sprawiedliwości. Jeremy miło wspomina to czatowanie na bagnach po zapadnięciu zmroku.

Nocne polowanie to lekcja na temat strachu. Człowiek uczy się panować nad instynktami i akceptować nieznajome dźwięki, które rozbrzmiewają po zachodzie słońca. Nocne marki wiedzą, że nie ma czegoś takiego jak cisza nocna. W nocy zawsze jest najgłośniejszy. Jeremy umie rozróżnić setki różnych odgłosów, które tworzą ten gwar. Prawdziwy myśliwy potrafi wyciszyć wszystkie oprócz głosu swojej ofiary. Teraz jego czuły słuch podpowiada mu, że jest na właściwej drodze. Oczywiście nie ma zamiaru polować na dziki. Dziś wszystkie te niezliczone umiejętności, które doskonalili tu z ojcem, przydadzą mu się w inny sposób. Znalazł sobie o wiele bardziej ekscytującą zwierzyinę.

Przez kakofonię głosów dobiega do niego trzaśnięcie gałązki po prawej. Wie, że Tara przestała uciekać. Powinien słyszeć jej kroki. Idzie cicho, by ziemia wchłonęła odgłos każdego stąpanięcia, zanim postawi drugą stopę. Uśmiecha się do siebie.

- Uspokój się, Taro! Wiedziałaś, że mięso ma gorszy smak, jeśli zwierzę boi się w rzeźni? To coś związanego z kwasem mlekowym.

Dobiega go jej stłumiony szloch. Tara oddycha tak głośno, że przebija się przez głosy innych nocnych stworzeń.

- Oj, no weź. Przecież cię nie zjem! - Jeremy śmieje się, przechodząc nad złamaną gałęzią. - Ale to interesująca myśl, prawda? Myślisz, że znamy prawdziwy smak mięsa? Przecież żadne zwierzę nie jest zupełnie spokojne przed śmiercią. Lubisz takie ciekawostki, no nie, Taro? - krzyczy w mrok.

Ona znowu zrywa się do biegu. Jeremy słyszy jej przedzieranie się przez krzaki, jej potykające się kroki i urywany oddech. Jej panika jest wyczuwalna nawet w tych nieprzeniknionych ciemnościach, które ich otaczają. Jeremy także rusza

sprintem. Gałęzie smagają go po twarzy, a on pędzi przez znajomy teren i napawa się nieokiełznaną rozkoszą staroświeckiego pościgu.

Tara zachowuje się, jakby była ślepa. Kilka razy staje i znowu rusza, usiłując odnaleźć się w ciemnościach. Niekończące się drobne hałasy zdradzają jej lokalizację. Potem, nagle, ustają. Jeremy też się zatrzymuje. Stoi wśród drzew i nasłuchuje. Zakłada, że Tara się schowała. Jeszcze nie wie, że on dobrze zna te lasy. Podobnie jak wszystkie kryjówki, w których mogłaby się schować mała, wystraszona świnka. Jeremy wciąga w płuca świeże nocne powietrze i odchyła głowę, by spojrzeć w niebo. Jest ogromne i czyste, obramowane gałęziami drzew, które wyciągają się ku niemu, jakby chciały je ukołysać.

Później wyjmuje z kieszeni noktowizor i czeka, aż wzrok mu się do niego przyzwyczai. Ojciec nauczył go, żeby podczas polowania na drapieźniki, które także doskonale czują się w ciemnościach, używać sprzętu termowizyjnego. Jego świat jest teraz zielony i wyrazisty. Przed nim rozciąga się ściana drzew, usiana małymi trzęsawiskami i naturalnymi skalnymi formacjami.

- Tara! - krzyczy, mącąc ciszę. - Ja wszystko widzę! Jeśli znowu będziesz uciekać, zastrzelę cię.

Kłamie. Nie wziął broni palnej. Powiedział to, żeby jeszcze bardziej spanikowała. Nakręca jej strach, poszturchuje jej ciało migdałowate, by uwierzyło w bliskość zagrożenia. Musi zaczekać tylko parę sekund, zanim jej podwzgórze zmusi układ współczulny do zdradzenia kryjówki. Jej serce już teraz bije szybciej, płuca się rozszerzają, by zassać jak najwięcej tlenu, co skutkuje spotęgowaną czujnością, ale też wywołuje dużo hałasu. Jeremy skupia się na jej oddechu. Rusza w jego stronę. Wyobraża ją sobie skuloną w tym bagnistym lesie, zaciskającą zęby, gdy na jej gołe nogi wpełzają różne nieproszone stworzenia. Dla takiej dziewczyny to musi być tortura. Została wyrwana ze swojego środowiska i rzucona w jego świat.

Jeremy rozgląda się po okolicy. Noktowizor zabarwia wszystko mdlącozielonym odcieniem, ale dla Tary jest ciemno jak w lochu. Jej oddech staje się zduszony i gorączkowy. Tara słyszy jego zbliżające się kroki, lecz go nie widzi, choć stara się wyteżać wzrok. Strach przenika jej ciało, jakby płynął w jej żyłach zamiast krwi.

Jeremy słyszy jej niezdarne kroki w zaroślach i przystaje na chwilę, nastawiając ucha. Bagno zrobi wszystko, żeby mu pomóc, ale zrobi jeszcze więcej, żeby ją uwięzić. Tara biegnie, rozchlapując wodę, ku piaszczystej ścieżce, którą przyszli, i nie ma bladego pojęcia, że sama wpędza się do jego klatki.

Jeremy biegnie za nią, wyskakuje zza zasłony drzew na otwarty teren. Tara go słyszy i odwraca się w jego stronę. Światło księżycza pada na jej przerażoną twarz. Jeremy uśmiecha się szeroko i rusza na nią z dobytym nożem. A Tara, bezbronna i odsłonięta, wrzeszczy przeraźliwie i rzuca się do niezdarnej ucieczki. Wygląda jakby brnęła w piasku. Jeremy wykorzystuje tę okazję i podnosi z ziemi dwa kamienie wielkości piłki tenisowej.

- Uwaga! - krzyczy, zaskakując ją do tego stopnia, że Tara zatrzymuje się i odruchowo osłania głowę.

Jeremy rzuca kamień z maksymalną siłą. Trafia ją w tył nogi, sprawiając, że dziewczyna pada na kolana w nienaturalnej pozie. Tara wyje z bólu i szoku, nie rozumiejąc, co ją uderzyło. On rzuca drugi pocisk. Kamień odbija się od jej czaszki z mdlącym trzaskiem. Tara pada na ziemię, ściskając się za głowę.

- Przestań! Proszę! - zawodzi.



Ale on nie zamierza przestać. Powoli idzie ku jej skręconemu ciału na środku ścieżki. Gdy przykuca obok niej, Tara bezsilnie macha rękami, usiłując go uderzyć. Chwyta ją za nadgarstek i podnosi jej dłoń do noża, który trzyma. Czuje pod palcami jej galopujący puls i powoli przesuwając ostrzem po wnętrzu jej dłoni. Tara krzyczy, próbuje wyrwać rękę, choć zostało jej niewiele sił. Kiedy jej krzyk zmienia się w łkanie, Jeremy się uśmiecha. Znowu panuje nad sytuacją.

- Kto tu jest? - odzywa się męski głos, wrywając Jeremy'ego z transu. W głębi ścieżki błyskają światła latarek.

- Coś się stało? - woła drugi głos.

Jeremy widzi już sylwetki dwóch mężczyzn. Zasłania usta Tary ręką, żeby nie wzywała pomocy, ale panika zaczyna się wsączać i w jego żyły. Słyszeli Tarę. Nie sprawdził wcześniej tego terenu. Zadziałał impulsywnie i nie wziął pod uwagę, że myśliwi mogą zajmować te same pozycje co kiedyś on z ojcem.

- Nie chcemy cię skrzywdzić. Pomożemy ci - mówi pierwszy mężczyzna łagodnie, przesuwając promień latarki w stronę Jeremy'ego i Tary.

Kobieta ma szeroko otwarte oczy, bezgłośnie krzyczy, ale ci mężczyźni jej nie widzą. Na razie.

Jeremy rozważa opcje, rozdrażniony i sfrustrowany. No cóż, istnieje tylko jedna możliwość.

Jedną ręką nadal zasłania usta Tary. Podnosi jej głowę, każąc na siebie spojrzeć. Jeszcze przez sekundę rozkoszuje się chwilą, gdy ich oczy się spotykają, lecz słyszy, że nieproszeni ratownicy zbliżają się pospiesznie. Szybko przesuwając nożem po jej szyi, podryzując jej gardło od ucha do ucha. Gdy tylko ostrze wysuwa się z ciała, rzuca ją na ziemię i ucieka. Tara krztusi się i charczy; mężczyźni biegną ku niej, kierując się dźwiękiem. Kiedy jej dopadają, powietrze uchodzi z jej tchawicy ze świstem. Rana ciągnie się przez całe gardło i jest głęboka. Mężczyźni szybko uzgadniają role, jeden dzwoni po karetkę, drugi gorączkowo stara się zatamować krwotok. Nie na wiele się to zda. Jeremy jest pewien, że przeciął jej tętnicę szyjną. Jej własne ciało z potężną mocą wypompowuje życiodajną krew z żył w piasek. Za parę minut będzie z nią koniec.

Jeremy biegnie, nie zatrzymując się, z każdym skokiem oddala się coraz bardziej od chaosu, który się rozpętał za jego plecami. Daje nura do samochodu i wyłącza reflektory, po czym rusza, bryzgając spod kół fontannami żwiru i ziemi. Wraca na główną szosę, nadal korzystając z noktowizora. Nie ściga go żaden pojazd. Obaj mężczyźni są zbyt zajęci ratowaniem kobiety.

Jeremy jedzie przed siebie. Oddaliwszy się na bezpieczną odległość, znowu włącza reflektory i zdejmuje noktowizor. Otwiera schowek na rękawiczki, gdzie trzyma telefon, i wybiera pierwszą lepszą playlistę. Z głośników bucha *Pretty When You Cry* VAST, a on oddycha głęboko, żeby się uspokoić. To był zły dzień. Powinien był po prostu zostać w domu. Powinien był się pogodzić z konsekwencjami swojej ostatniej pomyłki, zamiast ściągać sobie na głowę kolejny kłopot.

Jest pewien, że Tara umrze. Ale nie daje mu spokoju to, że odwalił taką fuszerkę. Zanurkował w wodę, nie sprawdzając dna. Zachował się głupio i porywczo. Poddał się zwierzęcym impulsom i zignorował podpowiedzi swojego wybitnego umysłu. Bez zastanowienia skręca na pobocze ciemnej drogi i staje na jałowym biegu. Drobinki pyłu wirują w świetle jego reflektorów. Jeremy bije pięścią w kierownicę, jakby ktoś w niej ukrył skarb. Gdy pięści zaczynają go boleć, a oddech mu przyspiesza, prostuje się i wyje. Cały jego stres, frustracja, niezadowolenie i głód wybuchają w tym pierwotnym odgłosie na poboczu ciemnej,

piaszczystej drogi głęboko w Luizjańskich trzęsawiskach. Łzy toczą się mu po twarzy, a on pozwala, by chłodziły jego rozpalone, ubrudzone ziemią policzki.

Gwałtownie dysząc, wrzuca bieg i daje gaz do dechy. Podkręca muzykę w nadziei, że zagłuszy nią myśli. Ten dźwiękowy atak tylko napędza jego gniew, którego nie może dłużej kontrolować. Jadąc pełnym gazem do domu, wie już, że jego dni w tym miejscu są policzone.



## ROZDZIAŁ 28

Telefon dzwoni w kieszeni płaszcza; Leroux odbiera go po chwili.

- Słucham – mówi i przełącza na głośnik.

- Tu Will. Słyszysz mnie?

- Tak, czego potrzebujesz?

- Mamy kolejną ofiarę.

Will rzuca to zdanie jak kamień. Leroux krzywi się, Wren czuje ucisk w sercu. Przejeżdża dłońmi po twarzy.

- Boże – szepcze.

- Gdzie?

- Znaleziono ją na terenach łowieckich przy Bayou Tortue Road. Ale słuchaj, ona żyje i jest przytomna.

W oku Leroux pojawia się błysk.

- Może mówić? – pyta z niedowierzaniem.

- Nie całkiem. Jest żywa, ale mówić nie da rady.

- Co to ma znaczyć, do kurwy nędzy?

- Spotkajmy się w University Medical Center. Na miejscu wszystko ci opowiem.

Połączenie się urywa.

- Ja też jadę – oznajmia Wren. Odwraca się i myje ręce nad zlewem.

Leroux otwiera usta, lecz zaraz zamyka je bez słowa.

- Nie potrzebuję twojej troski. Doceniam, ale sama muszę usłyszeć, co ta kobieta ma do powiedzenia. To mnie dotyczy osobiście.

Wren wyciera ręce i spogląda mu w oczy. Leroux milczy jeszcze przez chwilę, po czym wskazuje głową imponujące metalowe drzwi.

- No to jazda.

Zastają Willa przed University Medical Center, rozmawiającego z doktorem. Leroux podchodzi do nich i pyta, nie przedstawiając się i przerywając im w pół słowa:

- No to o co chodzi?

- To jest John Leroux z wydziału śledczego i doktor Wren Muller.

Doktor Gibbons najpierw wyciąga rękę do Wren, która ścisną ją i uśmiecha się najsympatyczniej jak potrafi.

- Już się znamy. Miło pana znowu widzieć, doktorze.

- To dla mnie przyjemność. Miło pana poznać – zwraca się doktor do Leroux.

- Aha, mnie też. To co jest grane? – wali Leroux bez skrupołów, nadal ściskając rękę lekarza.

Ten kiwa głową, kładzie mu delikatnie drugą dłoń na ramieniu i zaczyna:

- Skoro są już wszyscy, możemy o tym porozmawiać... w środku.

Wskazuje budynek za swoimi plecami. Cała czwórka wchodzi do niego. Lekarz prowadzi ich do małego pomieszczenia, w którym stoją krzesła i duży stół. Ma to być zaciszne miejsce, w którym rodziny mają czekać na wiadomości z dala od

głównej poczekalni. Will i Wren siadają naprzeciwko doktora Gibbonsa, ale Leroux stoi, zacierając dłonie.

- Gadaj - rzuca, gdy drzwi się zamykają.

Will otwiera leżący przed nim notes, odchyła się i czyta, jakby chodziło o listę zakupów.

- Tara Kelley. Biała kobieta, dwadzieścia dziewięć lat. Znalazło ją dwóch myśliwych w Elmwood Park przy Bayou Tortue Road. Podobno usłyszeli krzyki i szelesty. Gdy do niej dobiegli, trzymała się za gardło, głęboko podcięte zaledwie parę chwil wcześniej.

Leroux pochyla się nad stołem.

- To był on? - rzuca gniewnie.

- Możliwe. Choć to dziwne, że stał się tak niechlujny. To nie pasuje do jego sposobu działania. Ale pewnie tak bywa z tymi gnojami, jeśli działają dłużej.

Doktor Gibbons słucha w milczeniu tej wymiany zdań. Zaciska usta i czeka na swoją kolej, by przemówić.

Leroux kręci głową i uderza dłonią w stół.

- Cholera! Ale ofiara dojdzie do siebie, tak? - pyta, przenosząc wzrok z Willa na doktora.

Wren już wie, jak brzmi odpowiedź, lecz milczy, starając się nie angażować emocjonalnie i zachować profesjonalizm.

Doktor Gibbons odkaśtuje.

- Krótka odpowiedź brzmi: tak, jest stabilna. Rana była poważna, sięgała od ucha do ucha. Napastnik zamierzał przeciąć tętnicę szyjną, ale tylko ją drasnął, być może w pośpiechu. Pacjentka mimo to straciła bardzo dużo krwi, choć mężczyźni, którzy ją znaleźli, zdołali zatamować krwotok do tego stopnia, że mogliśmy coś z tym zrobić. Operacja skończyła się godzinę temu.

Doktor ma oczy zmęczone tak samo jak Leroux.

- Kiedy mogę z nią porozmawiać? - pyta ten ostatni.

- Na razie nie jest w stanie wydobyć z siebie głosu. Napastnik zdołał przeciąć jeden z nerwów kraniowych i uszkodzić jej struny głosowe. Nie będzie mogła mówić przez całą rekonwalescencję. - Doktor Gibbons milknie na chwilę, by wyjąć jakiś papier z leżącej przed nim teczki. Przesuwa go po blacie stołu do Willa i Leroux. - Według ratowników, którzy ją przywieźli, rozpaczliwie starała się im coś przekazać, więc dali jej tę kartkę i długopis.

Wydarta z notesu kartka jest zachlapaną ciemną krwią. Widnieje na niej jedno ledwie czytelne, nagryzmołone niebieskim tuszem słowo: „Jeremy”.

Oddech Wren przyspiesza. Wstrząs rozchodzi się w niej falami jak impuls elektryczny. Wiedziała, do czego to zmierza, ale nadal nie mogła w pełni przyswoić, że ten człowiek przez cały czas grasował w Luizjanie. Nie mogła do chwili, gdy zobaczyła to słowo, napisane przez krwawiącą kobietę.

- Czy powinienem znać tego Jeremy'ego? - pyta Will, widząc, że został w tyle.

Doktor Gibbons znowu odkaśtuje.

- Policjanci, którzy przybyli na miejsce zdarzenia, znaleźli parę przedmiotów na terenie wokół ciała, w tym rachunek z pubu, w którym ofiara była tego wieczora. Zaraz przysłę wam je przez kogoś. Powodzenia, panowie. Pani doktor... - Gibbons kiwa głową i wychodzi.

- Dziękuję, doktorze! - niemal wrzeszczy za nim Leroux.

- Leroux, co to za Jeremy? Co tu się dzieje? - nie daje za wygraną Will.

- Powiem ci później - odpowiada Leroux cicho, zerkając na Wren.

Will chce zaprotestować, ale ktoś delikatnie puka do drzwi. Leroux podchodzi, otwiera je i widzi młodego salowego ze szpitalną torbą.

- Detektyw Leroux? - pyta.

Leroux pokazuje mu swój identyfikator i odznakę, po czym przejmuje torbę z jego rąk. Natychmiast zaczyna szukać w niej rachunku i znajduje go w mniejszej torebce. Wystawiono go w pubie O'Grady's o 1:22 w nocy. Zapłacono kartą kredytową podpiętą do konta Tary Kelley; rachunek zdradza, że wypłała co najmniej dwa Cosmopolitany i zjadła frytki. Leroux spogląda na zegarek.

Will wyciąga rękę po rachunek; Leroux podaje mu go, dzwoniąc do baru. Słyszy automatyczną sekretarkę, która mówi, że nikogo nie będzie aż do południa.

- Tu detektyw John Leroux z Wydziału Policji Nowego Orleanu. Proszę oddzwonić po odsłuchaniu tej wiadomości. Dziękuję.

- Nikogo nie ma? - pyta Will.

- Czekam, aż Cormier przyśle mi namiary na właściciela. Pójdziemy z nim porozmawiać. Chcę się dowiedzieć, czy ktoś widział Tarę z tym typem.

Will oddycha głęboko.

- Muller, idziesz z nami?

Wren spogląda pytająco na Leroux.

- Jeśli masz ochotę - ustępuje Leroux. Jego komórka dzwoni, a on spogląda na esemesa z nazwiskiem i numerem.

- Złożmy wizytę Rayowi Singerowi.

Razem wychodzą tą samą drogą, którą przyszli. Słońce świeci jasno, a parę wozów telewizyjnych stoi już na parkingu. Nowa ofiara to sensacyjna wiadomość i najwyraźniej wieść o niej szybko się rozniosła. Wren rzuca okiem na tę scenę, po czym wsiada do samochodu Leroux. Jeremy nadal jest tuż obok, robi to samo, co zrobił jej przed laty. Ale tym razem ona go powstrzyma na dobre.



## ROZDZIAŁ 29

Jeremy budzi się z twardego snu. Jest niedziela, dzień, który zwykle rezerwuje na wypoczynek, ale ten nie nadchodzi. Jeremy jeszcze nie otrząsnął się z wrażeń poprzedniego wieczora. Dręczy go niepewność. Od dawna nie musiał się mierzyć z tym uczuciem, a ostatnio nie odstępuje go na krok. Włącza telewizję, sądząc, że we wszystkich wiadomościach zobaczy Tarę. Powinien triumfować, lecz ta jego niechlujność odbiera mu satysfakcję.

Gdy zaczyna się dziennik, serce mu zamiera.

- Ofiara, dwudziestodwuletnia Tara Kelley, została przewieziona do University Medical Center, gdzie pozostaje w stanie krytycznym - czyta obojętnie prowadzący, jakby nie był to najbardziej miażdżący cios zadany Jeremy'emu. - Czyżbyśmy mieli potencjalnego seryjnego zabójcę? - pyta retorycznie, niemal śliniąc się na myśl o tym, że będą kolejne ofiary.

To naprawdę obrzydliwe, jak się podniecają morderstwem. Oczywiście w ludzkiej naturze leży ciekawość, chęć poznawania, analizowania najciemniejszych

zakamarków naszej psyche. Doprawdy, nie jemu oceniać. Ale coś go drażni w tych raportach, czytanych z wymuszonymi uśmiechami. Reporterka na ekranie mówi, że ofiara zdołała przekazać policjantom ważne informacje. Jeremy kamienieje i czeka na coś więcej, lecz ona dodaje tylko, że będzie informować o rozwoju wypadków.

Jeremy przełyka z trudem ślinę. Kolejna wtopa.

Emma umarła. Szczwół zadbał o to, by jego tajemnice pozostały za murem nie do przejścia. Ale z Tarą jest inaczej. Wybrał ją pod wpływem impulsu, a to było nieprzemyślane działanie. Tak mu się spieszyło, by cokolwiek poczuć, że nie przywiózł jej do swojego domu, gdzie byłby bezpieczny, ani nawet nie sprawdził uprzednio terenu. Po prostu założył, że Elmwood Park jest pusty, bo tak było, gdy polował w nim z ojcem w dzieciństwie.

- Jak przeżyła? - pyta głośno.

Wie, że przeciągnął ostrzem po właściwym miejscu. Czegoś takiego by nigdy nie spała. Czuje, że pewnie znowu nie trafił w najważniejsze miejsce. Ominięcie dużej tętnicy przypomina mu o wielkim błędzie, przez który Emily uciekła mu tak wiele lat temu. Obie powinny leżeć i gnąć w upale, znalezione dopiero, gdy będzie już za późno.

- Kurwa! - krzyczy i rzuca łyżkę do zlewu.

Opiera się o blat i rozgląda po domu. Nie widzi drogi wyjścia z tego wszystkiego, a to uczucie, do którego nie przywykł. Mógłby uciec. Mógłby przeprowadzić się w inne miejsce, gdzie jego ruchy nie zwracałyby na siebie takiej uwagi. Właściwie to jedyna jego opcja, ale najpierw chce rzucić Luizjanę na kolana.

Idzie rozchwianymi schodami, ciągnąc palcami po odsłoniętych kamieniach na ścianach. Stara piwnica została podczas remontu wyposażona w nową cementową podłogę dla wygody, lecz reszta jej konstrukcji pozostała nietknięta. Ojciec nigdy jej nie wykorzystywał. Coś tu przechowywał, ale pracował na zewnątrz. Po śmierci



matki Jeremy urządził tu swój warsztat. To spora przestrzeń, która zbyt długo była zaniedbywana.

Może po raz ostatni dotyka tych ścian, po raz ostatni słucha, jak schody skrzypią i jęczą pod jego stopami. Nie spieszy się. Każde spojrzenie jest jak pamiątkowa fotografia. Nigdy nie wymienił tej jednej żarówki w kącie. Migocze od miesięcy. Początkowo po prostu o niej zapominał, rozproszony rozkoszami czekającymi na niego na dole. Po jakimś czasie zaczął do niego przemawiać upiorny urok zdychającej żarówki. Dzięki niej piwnica wyglądała straszniej, jak laboratorium szalonego naukowca albo warsztat Leatherface'a. Ale nie będzie już potrzebować tej ponurej atmosfery. Docierając na dół, bierze nową żarówkę z pudełka z półki po prawej. Bez trudu dosięga tej mrugającej w kącie i wymienia ją na nową.

### *Załatwione.*

Nieruchome światło wszystko zmienia. Bez tego migotania piwnica łagodnieje. Jeremy omiata ją wzrokiem jeszcze raz, żalując, że nie ma więcej czasu.

Wkrótce przybędą, żeby przetrząsnąć jego mieszkanie. Wkrótce wszystko zredukuje się do worków na dowody i taśmy policyjnej. Jego obecną sytuację jakoś pogarsza wiedza, że ten domek z kart zburzyła krnąbrna kobieta.

Jeśli tak ma się potoczyć ta historia, Jeremy zapanuje nad wszystkim, nad czym może zapanować. Otwiera nieskazitelnie czystą, głęboką zamrażarkę schłodnie stojącą pod ścianą i wprowadza numery w zamku szyfrowym. Ten otwiera się z głośnym kliknięciem, przebijającym się przez cichy szum klimatyzacji. Jeremy przesuwa dłonią po wieku. Jest chłodne i gładkie. Rozszczelnione próżniowe zamknięcie wydaje westchnienie. Kojarzy mu się z płucami zbyt długo pozbawionymi tlenu. Gdy się pochyła, by na nią spojrzeć, uderza go w twarz podmuch zimnego powietrza. Jest skostniała. Skórę ma jak lód, gładką i zimną. Na policzku nadal widać jej zaschniętą krew. Po wielu tygodniach w zamrażarce ta krew wyschła i teraz tylko barwi jej skórę. Wygląda pięknie w dziwny sposób, jak makabryczny róż.

Gdyby ją odwrócił, mógłby dotknąć schłodnie zabandażowanej rany na plecach. Tu zrobił wszystko jak należy. Podczas tego eksperymentu udało mu się przeciąć rdzeń kręgowy na wysokości szóstego kręgu. Jego ofiara natychmiast straciła władzę w nogach, korpucie i ramionach. Tak właśnie miało to wyglądać siedem lat temu. Od czasu tamtej nieudanej próby wiele się nauczył i wiele udoskonalił.

Z obozwardnioną ofiarą łatwiej pracować, choć to mniejsze wyzwanie. Nadaje się idealnie do testowania naukowej biegłości, a nie sportowej wytrzymałości. Zawsze, od tamtych dawnych czasów w bibliotece, chciał spróbować lobotomii. Ta tutaj krwawiła bardziej, niż się spodziewał, gdy wbił szpikulec do lodu w jej oczodoł. Pierwsza próba lobotomii przedczołowej nie poszła zgodnie z planem, ale przecież ojciec tej techniki też miewał potknięcia. Oczywiście Jeremy nie przewidział, jak trudno będzie ustawić szpikulec we właściwej pozycji. I choć już wiedział, że się pomylił, przeszedł do drugiego etapu, czyli przekręcenia szpikulca - i to właśnie był jej koniec. Zadrzała w konwulsjach, oczy wyszły jej z orbit i stężała tak, że spodziewał się trzasku kości. Ból wyraźnie malował się na jej twarzy. Jeremy nadal pamięta, jak zacisnęły się jej mięśnie szyi i szczęki. Połamałaby zęby, gdyby jej nie zakneblował. Krew popłynęła jej z nosa i zebrała się na ustach.

### *Teraz wygląda jak szminka.*

Jeremy dotyka wysuszonej skóry i ten dotyk sprawia mu rozkosz. Wtedy intensywnie czerwona krew połyskiwała na jej wargach i zębach, lśniąca

i kusząca. Teraz wygląda jak spękana powierzchnia najbardziej suchej z pustyń. Knebel nadal tkwi w jej zębach, stwardniały z zimna. Wtedy uważał, że to tylko ćwiczenie, teraz jej cierpienie posłuży wyższemu celowi.

Odłącza zamrażarkę od prądu i opiera wieko o ścianę. Gdy przyjdą, najpierw poczują jej zapach. Otwiera szafę, by zaprezentować swoje narzędzia i broń najcięższego kalibru. Zawsze wolał polować z bliska. Nawet w dzieciństwie wolał kłuć świnie ostrym nożem, a nie strzelać do niej z daleka. Ale czasem sytuacja wymaga zachowania dystansu. Jeśli ma zapolować na grubego zwierza, musi przygotować sprzęt z prawdziwego zdarzenia.

Bierze kuszę TenPoint i kołczan pełen tytanowych strzał o szerokim grocie. Gdy się je wystrzeli, z boków każdego promienia wyłaniają się dwa ostrza, dzięki którym strzała robi czterocentymetrową ranę. Maksymalne szkody bez nadmiernej masy. Będzie mógł się poruszać łatwo i szybko, co ma zasadnicze znaczenie dla jego planów. To pierwszy raz, gdy jego ofiara będzie mogła do niego strzelić.



## ROZDZIAŁ 30

Leroux podjeżdża pod dom Raya Singera, gdzie czeka już oparty o samochód Will. Parkuje za nim, przed drzwiami domu, i wysiada.

- Zostanę trochę sama - mówi Wren przez otwarte okno. - Potrzebuję chwili, żeby to przyswoić.

Leroux kiwa głową.

- Dobrze, nie zabawimy długo. Nie dotykaj mojego radia.

Rzuca jej kluczyki, włączając silnik, a ona jemu błady uśmiech.

- Dlaczego ja zawsze muszę na ciebie czekać? - pyta Will dramatycznie. Leroux przewraca oczami.

- Weź się opanuj, Broussard.

Wkłada koszulę w spodnie i rusza do drzwi. Wchodzą po schodkach i dzwonią. Otwiera im zaniebany mężczyzna w średnim wieku. Nawet siedząca w bezpiecznej odległości Wren słyszy ich rozmowę głośno i wyraźnie.

- W czym mogę pomóc? - pyta mężczyzna, wychylając się z otwartych drzwi.

Will odzywa się pierwszy. Pokazuje swój identyfikator.

- Detektyw Broussard z Wydziału Policji Nowego Orleanu, a to detektyw Leroux. Pan Ray Singer?

Ray wyraźnie się denerwuje.

- Tak. O co chodzi?

- Badamy okoliczności wypadku, który miał miejsce w pobliżu wczoraj w nocy. Ofiara była widziana po raz ostatni w pańskim barze.

- Jezu. To ta kobieta z wiadomości?

Leroux kiwa głową.

- Musimy porozmawiać z barmanami i resztą pracowników obecnych zeszłego wieczora. Może nam pan podać ich nazwiska i kontakty?

Ray opiera się o framugę drzwi i przejeżdża palcami przez zmierzwiłone brązowe włosy.

- Zaraz, Rzeźnik był w moim barze? To mi chcecie powiedzieć? Jasna cholera.

Leroux unosi dłoń.

- Musimy spytać pracowników, czy widzieli wczoraj coś dziwnego.

- Oczywiście, jasne. Zaraz otwieram bar, będą tam też niektórzy pracownicy z wczoraj. Możecie ze mną pojechać.

- Świetnie, tak zróbmy.

Will kiwa głową i idą razem do swoich pojazdów.

Leroux przystaje przy drzwiach samochodu, słysząc dzwonek swojej komórki.

- Leroux - rzuca i siada za kierownicą.

- Cześć. Mamy tu kogoś, kto twierdzi, że posiada informacje o ofercie z Elmwood Park. Był wczoraj w barze.

- Już jadę. - Leroux rozłącza się i spogląda na Willa. - Na posterunku mają prawdopodobnego świadka. Muszę tam wrócić. Zajmiesz się tym?

- Bez odbioru - odpowiada żartobliwie Will.

- Zadzwonił na posterunek. Podadzą ci resztę szczegółów.

- Dobra, jedź! I daj znać, co z tego wynikło.

Leroux spogląda na Wren. Ma łagodną minę, jakby była zrobiona z kruchego szkła.

- Zabierz mnie do domu - mówi cicho Wren i wygląda przez okno, nagle czując przygniatający ją ciężar tego dnia.

- Oczywiście. - Leroux kiwa głową i rusza.

Atmosfera w samochodzie jest ciężka. Żadne z nich nie chce wspominać o tym, czego się dzisiaj dowiedzieli. Wren wystawia rękę przez okno, na kołyszące nią fale ciepłego powietrza.



## ROZDZIAŁ 31

Jeremy patrzy na nią.

Stoi w morzu głębokiej czerni, która zalewa las na skraju jej posiadłości, i obserwuje ją przez okna. Zna ją na tyle dobrze, że wie, iż włączy wszystkie światła w pokoju mimo tej późnej godziny. Emily nie była strachliwa, ale zawsze bała się ciemności. Pograżony w głębokim mroku Jeremy jest tego świadomy; zwraca uwagę na to, czy zasłaniają go gałęzie i pień masywnego drzewa, za którym się ukrywa. Zna już jej nawyki. Wie, gdzie siada, żeby odetchnąć po męczącym dniu. Obserwuje ją od dawna.

Czeka.

Stoi w zupełnym bezruchu i nasłuchuje chóru niewidzialnych nocnych owadów, które brzęczą wokół niego.

Zastanawia się, jakie to interesujące, że w środku nocy ludzie są jakby biologicznie zaprogramowani, by wychwytywać każdy nietypowy odgłos, nawet w hałasie. Gdyby tylko odkaslnęła, ona by to usłyszała. A jednak las krzyczy przez całą noc i to jej nie niepokoi.

Teraz dwa razy sprawdza, czy zamknęła wszystkie okna i drzwi. Nigdy nie idzie spać, nie upewniwszy się, że jest bezpieczna.

Jest dokładna i inteligentna, ale gdy obejrzał jej dom, znalazł sposób, by wtargnąć do tej fortecy. W jej piwnicy nadal trwa remont i dlatego pozostaje całkowicie zaniedbana. Emily i jej mąż zamontowali imponujący zamek w położonych na zapleczu drzwiach do piwnicy, ale zapomnieli o tych, które prowadzą z piwnicy do domu. W końcu skoro nikt nie może wejść do piwnicy, to nie ma się co martwić, czy ktoś nie dostanie się z niej do domu.

Jeremy zauważył tylko trzy okienka piwniczne. Dwa są tak małe, że przecisnąłby się przez nie najwyżej raczkujący berbec. Trzecie jest najbardziej interesujące i to przez nie Jeremy włamie się dziś wieczorem. Jest większe i wygodnie się otwiera. Ma zamek, ale najwyraźniej zepsuty. Gdy po raz pierwszy natrafił na nie podczas jednej z tych cichych nocnych wizyt, natychmiast obudziły się w nim podejrzania. Zaniedbanie takiego okna nie leży w naturze Emily. Zostawienie zepsutego zamka to szokująca nieodpowiedzialność. Dziwne, że nikt się tu dotąd nie wślizgnął.

Spróbował je otworzyć i okazało się, że jest tylko zaklejone farbą. Ten drobny szczegół doprowadził go do przypuszczenia, że remont piwnicy to sprawa męża, a Emily po prostu zaufała, że zadbał o wszystkie środki ostrożności. A on jak idiota uznał, że nie warto wymieniać zamka, skoro okno jest zamalowane.

Emily wygląda przez kuchenne okno. Jest wyraźnie stropiona i głęboko zamyślona. Zanim zniknie z jego pola widzenia, wydaje mu się niemal, że go zobaczyła. Czuje, że ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy. Oczywiście ona go nie widzi, to niemożliwe, światło za jej plecami odbija się w szybie.

Emily wyłącza lampy, ale on się nie rusza. Postoi w ciemnościach jeszcze trochę dłużej, by się upewnić, że Emily i jej mąż zasnęli już głęboko. Czekanie mu nie przeszkadza. Jedną z najlepiej służących mu cech jest cierpliwość – ostatnio rzadko z niej korzystał i tylko sobie zaszкодził. Dziś nie popełni tego błędu. Będzie

nad sobą panował, a czas zadba o jego bezpieczeństwo. Dwie i pół godziny to mgnienie. Jeden oddech. Chwila, jeśli on tak chce.

Jeremy idzie w gęstym mroku do niezabezpieczonego piwnicznego okna. Tylko warstwa stareńkiej farby dzieli go od wejścia na teren Emily. Można ją przeciąć wyłącznie nożem. Jeremy jest przygotowany. Wyjmuje nóż zza cholewki i lekko przesuwa nim wzdłuż parapetu. Pożółkła, łuszcząca się warstwa pęka jak skorupka jajka pod naciskiem niedawno naostrzonej głowni. Licząca dekady trująca ołowiowa farba osypuje się na trawę u jego stóp. Jeremy zastanawia się, kiedy ostatnio otwierano to okno i kto w ogóle je zamalował. Taka osoba na pewno wybierała drogę na skróty. Dlaczego ludzie idą na łatwiznę? Społeczeństwo nieustannie wydaje takie miernoty.

Jeremy z przyjemnością obnaża udawaną niezłomność okna. Zaniedbania zawsze prowadzą do słabości, a nikt nie jest słabszy od człowieka śpiącego we własnym łóżku. Przeciąwszy pieczęć farby, Jeremy wyjmuje z kieszeni śrubokręt i wbija go między framugę okna a parapet. Uderza w niego trzonkiem noża, aż okno nieco się uniesie z trzaskiem. Kurz i drobinki farby wirują w ciemnościach, gdy piwnica wciąga pierwszy łyk luizjańskiego powietrza. Jeremy wślizguje się przez okno na zakurzony stół roboczy, na którym spoczywa dmuchawa do liści i szeroki wybór najróżniejszych narzędzi ogrodniczych. Jeremy łapie równowagę, zsuwa się na podłogę i czeka, aż wzrok przywyknie mu do ciemności, która sięga ku niemu z każdego kąta.

Schody są stare i skrzypią mu cicho pod stopami, gdy wchodzi po nich na parter. Otwiera drzwi, za którymi znajduje się kuchnia, i zauważa jedno pozostawione światło. W jego blasku widać kąt z koszem na śmieci. Ciekawe, myśli Jeremy, czy bywa tak, że ktoś rozpaczliwie potrzebuje znaleźć kosz w ciemnościach.

Idzie powoli ze względu na trzeszczące podłogi, nieodłączną część starych domów. Wychodzi z kuchni do pokoju, gdzie – jak widział – Emily spędzała większość wieczorów, przesuwa palcami w rękawiczce po zabytkowej komodzie, stojącej pod ścianą na prawo. Jest stara i wygląda, jakby była w tym domu na swoim miejscu. Na jej blacie leży mnóstwo drobiazgów, wyeksponowanych jak trofea. Jeremy otwiera szufladę i dostrzega w niej zbieraninę miętówek. Zaskakująca zawartość prowokuje go do niespodziewanego chichotu; kręci głową i zamyka szufladę.

Wszędzie jak okiem sięgnąć zostawiła jakiś przedmiot, który do niej należy. Każdy gość od razu widzi, że Emily rozrzuca swoje rzeczy, chodząc po domu – pierścionek na stoliku, bransoletka na blacie... Jakby znaczyła swoją drogę okruszkami. Żadna z tych błyskotek nie jest wyjątkowa. To nie to, czego mu potrzeba. Jeremy idzie dalej, wiedząc, że to, czego szuka, samo do niego zawoła, gdy tylko znajdzie się w zasięgu jego wzroku.

Teraz stoi u podnóża schodów i spogląda w górę, w ciemność, znowu przyzwyczajając wzrok do czerni sączącej się z korytarza na piętrze. Stawia stopę na pierwszym stopniu, wspierając się ramieniem o ścianę. Nie ma opcji, żeby takie schody nie trzeszczały. Stąpa po nich ostrożnie, jakby wykonywał skomplikowaną choreografię. Drewno ma zwyczaj puchnąć i kurczyć się w reakcji na zmiany atmosfery. Pamiętając o tym, wie, że postawienie stopy na środku stopnia niemal z całą pewnością wywoła jakiś odgłos. Porusza się jak kot, trzymając się jak najbliżej ściany. Po drodze mija zdjęcia w niepasujących do siebie ramkach i uważa, żeby żadnego nie potrącić. Na ostatnim stopniu zastyga w bezruchu. Drzwi po lewej są zamknięte, a zza nich dobiega cichy szum



wentylatora. Tam śpi Emily. Zdobyć tej drobnej informacji zajęło mu parę nocy, ale jego poświęcenie się opłaciło, gdy pewnego razu zapomniała opuścić roletę. Zobaczył, jak obudziła się koło trzeciej w nocy i poszła do łazienki na prawo od schodów. Gdy wróciła do sypialni, wyjrzała szybko przez okno i opuściła roletę.

Jeremy wstrzymuje oddech i powoli zakrada się do drzwi. Przyciska dłońe do drewnianej framugi. Nasłuchuje cichego, rytmicznego oddechu, ledwie słyszalnego przez szum wentylatora, a potem odwraca się i siada na podłodze pod drzwiami. Opiera się o nie plecami i przechyla głowę, przykładając do nich ucho. Trwa w bezruchu. Słucha.

Mija kolejna godzina, a on nadal siedzi pod ich sypialnią. Czuje się panem ich życia. Wyobraża sobie, że Emily i jej mąż budzą się na chwilę, by przewrócić się na drugi bok albo spojrzeć na zegarek, nieświadomi faktu, że obcy znajduje się tuż za drzwiami ich sypialni. Lubi tę świadomość, że naruszył ich przestrzeń. Lubi wiedzieć, że choć tak bezbronni, pławią się w fałszywym poczuciu bezpieczeństwa. Że mogłyby ich oboje zabić jednym pociągnięciem noża. Oczywiście nie zamierza tego zrobić tej nocy, choć ma na to ochotę. Nie tak postąpi tym razem. Koniec z nieplanowanymi rozkoszami.

Dziś jest tu z innego powodu. Powoli wstaje i nieruchomieje, żeby uspokoić oddech. Nie denerwuje się. To autentyczne podniecenie przyspieszyło mu tętno. Kładzie dłoń na klamce i powoli ją naciska. Drzwi otwierają się bezgłośnie. Emily i jej mąż leżą w łóżku naprzeciwko i nawet nie drgną. Jeremy cicho wchodzi do pokoju, przyzwyczajając wzrok do odmiennych odcieni ciemności. Podchodzi do łóżka od lewej strony, przykuca koło Emily i przygląda się przedmiotom na jej szafce nocnej.

Obok książki z pozaginanymi rogami leży pierścionek. Jest duży, wysadzany brylantami i wygląda kosztownie. Emily nigdy go nie nosi publicznie. Nigdy nie widział czegoś tak ostentacyjnego na jej delikatnych palcach. Każdy by się połapał, że ten przedmiot ma dla niej wyjątkowe znaczenie. Jeremy jest pewien, że to o nim wspomniała mu podczas jednej z przelotnych rozmów między wykładami. Należał do jej babci. Podnosi pierścionek i widzi cienką warstewkę kurzu otaczającą czyste kółko w miejscu, w którym leżał. To jego stałe miejsce na tej szafce. Emily czerpie siłę z jego widoku. Dokładnie o coś takiego mu chodziło. Wkłada go na mały palec. Ale zanim się wyprostuje, rzuca ostatnie spojrzenie na Emily. Jest odwrócona do niego plecami, z jedną ręką na kocu. Kasztanowe włosy rozsypują się po poduszce, wymknąwszy się z luźnego koczka na czubku głowy. W prawej dłoni ścisła koc. Jeremy czuje zapach jej ciała. Czysty zapach. Nie kwiatowy, nie charakterystyczny, po prostu czysty.

Mógłoby to teraz skończyć. Mógłoby wyciągnąć rękę i złamać jej kark, zanim zorientowałaby się, że ktoś obcy jest w pokoju. Mógłoby wbić jej śrubokręt w skroń albo poderznąć gardło nożem. Mógłoby w ułamku sekundy wydusić z niej życie. To uczucie przez chwilę go obezwładnia i niemal krzyżuje mu plany.

Ale to uczucie przemija równie szybko, jak się pojawiło. Jeremy wie, że nie tak się skończy ta historia. Emily nie wyda ostatniego tchnienia, nie wiedząc, kto jej odbiera życie. Prostuje się i lekkim krokiem przekracza próg pokoju. Odwraca się twarzą do sypialni, naciska klamkę i nie wypuszczając jej, powoli zamyka drzwi. W końcu delikatnie puszcza klamkę i wolno schodzi po schodach.

Opuszcza dom tą samą drogą, którą wszedł. Gdy domyka piwniczne okno, gwałtownie wciąga w płuca nocne powietrze. Kciukiem dotyka pierścionka na małym palcu. Wraca pomiędzy drzewa i wtapia się w mrok.



## ROZDZIAŁ 32

Wren spogląda na telefon. Na ekranie tłoczą się powiadomienia o esemesach i wiadomościach. Jest też nieodebrane połączenie od Leroux i esemes, w którym wzywa ją do oddzwonienia. Richard ściska jej ramię pocieszająco. Siada naprzeciwko niej przy stole w kuchni. Patrzy na nią życzliwie. Wren myśli ze współczuciem o jego uczuciach. To niemożliwa sytuacja, a on jakoś zachowuje się w niej idealnie.

- Nie musisz w tym brać udziału - mówi po paru chwilach wspólnego milczenia.

Wren podnosi głowę. Ma zmęczone oczy i ospały umysł. Przez ostatnie tygodnie nie mogła zaznać spokoju. Gdy Leroux odwiedził ją do domu, rozpaczliwie starała się przestać myśleć o sprawie, ale ciągle pojawiały się nowe szczegóły. Nie mogła pozbyć się z głowy widoku innych ofiar, zwłaszcza biednej Emmy na zimnym sterylnym stole. A potem ją olśniło. Szczwół. Dziwny, nietypowy sposób zadawania śmierci. Tak rzadki, że przez całą swoją praktykę widziała go tylko raz.

- Wiem. I dziękuję, że to mówisz, ale muszę powiedzieć innym, co wiem - odpowiada, wkładając pierścionki. - Pracowałam tygodniami nad tą sprawą. I od lat żyję w cieniu Rzeźnika. Bez względu na wszystko muszę pomóc.

Richard kiwa głową, opierając łokcie na stole.

- Ufam ci. Rób wszystko we własnym tempie, dobrze? Oddzwon do Johna, kiedy będziesz gotowa.

- Chyba nie ma lepszego momentu - rzuca Wren i wstaje. Zaczyna krążyć po pokoju, czekając na połączenie.

- Muller, cześć. - Leroux odbiera po dwóch sygnałach.

- Cześć. Zanim zaczniesz, chcę ci powiedzieć coś jeszcze. Pamiętasz tę sprawę, którą miałam parę lat temu? Starsza kobieta, przywieziona na pogotowie przez dorosłego syna. Miała depresję, kilka razy próbowała popełnić samobójstwo. Syn powiedział, że prawdopodobnie po raz kolejny targnęła się na swoje życie, połykając jakąś substancję. Podobno miała silne konwulsje i kłopoty z oddychaniem. - Wren robi pauzę, czekając, aż Leroux powie, że przypomina sobie te szczegóły lub sprawę. - Wkrótce po przyjęciu do szpitala wylądowała u mnie, ponieważ tą substancją okazał się szczwół plamisty, dodany do cowieczornej lampki wina.

- Szczwół? Ludzie naprawdę tego używają? - pyta Leroux. Wren prawie widzi, jak kręci głową, usiłując zrozumieć, jak to się łączy ze sprawą.

- Konwulsje niemal pogruchoły kości tej biedaczki. Na pogotowiu wytrzymała dziesięć minut, zanim ją do mnie odesłano. To straszna śmierć i dlatego nie jest to ulubiona metoda samobójców. Ale nie było żadnych śladów działalności kogoś innego.

- Pamiętam to. Kurczę. Kiedy to było? Dwa, trzy lata temu? Wszyscy mieliśmy wątpliwości, ale jak powiedziałaś, brakowało konkretów.

- Przez wszystkie lata mojej pracy jeszcze tylko raz natknęłam się na śmierć z powodu zatrucia szczwołem - tej kobiety, którą znaleźliśmy na cmentarzu.

- Myślisz, że coś je łączy.

- On je łączy, John. Ja to wiem.

- Jak się nazywała kobieta z pierwszego przypadku ze szczwołem?

- Mona. Pamiętam, że to imię do niej pasowało. Już sprawdziłam w systemie. Nazywała się Mona Louise Rose. Jej najbliższym krewnym jest Jeremy Calvin Rose.

Leroux wzdycha. Wren nabiera głęboki wdech i zaciska powieki, nie przestając krążyć po pokoju.

- No, to nie jest nowe nazwisko. Rozmawialiśmy z Philipem Trudeau. Miałaś rację, to ten człowiek, o którym myślałaś. Podał nam nazwisko Jeremy'ego Rose'a.

Wren nagle czuje zawroty głowy. Niewątpliwie spowodował je napływ nowych informacji do jej i tak przeciążonego mózgu, od paru dni pozbawionego snu i karmionego wyłącznie pożywieniem z automatu.

Leroux przebija się przez ciszę.

- Znalazłem kogoś, kto był wczoraj w barze. Widział, jak jakiś facet wychodzi z ofiarą. Niewiele nam pomógł. Wspomnił tylko, że podejrzany uśmiechnął się do niego i był to uśmiech zapadający w pamięć.

Wren wcale się nie dziwi, że świadek zapamiętał uśmiech Cala. To naprawdę był uśmiech zapadający w pamięć, głównie przez lekką asymetrię. Było w nim coś uroczego i sugerującego dziwną nonszalancję.

- Tak, potrafię sobie wyobrazić, że ktoś to zapamiętał - mówi cicho, spoglądając na Richarda, który siedzi przy stole i przysłuchuje się z troską.

- Docisnę go i zobaczymy, czy uda mi się potwierdzić, że to Jeremy Rose - ciągnie Leroux zachrypniętym głosem. Odkasłuje. - Zdobędę jego pisemne oświadczenie pod przysięgą dla sędziego, gdy określimy adres posiadłości Rose'a. Musimy go jak najszybciej dopaść, bo prawdopodobnie będzie chciał uciec. W wiadomościach gadają o wszystkim jak leci, więc pewnie już wie, że spartolił.

- Jadę tam. Chcę być z wami, kiedy dostaniecie nakaz rewizji.

- Wren, nie. To za dużo. Już dość zrobiłaś. Bez ciebie nie miałbym tyle na tego zboka. To ty to wszystko uruchomiłaś. Teraz sobie odpocznij.

- Doceniam, że tak mówisz, serio. Ale jadę. Skąd pewność, że na terenie jego posiadłości nie znajdziecie więcej ciał? Nadal mamy parę niezakończonych spraw zaginięć i nie byłabym zdziwiona, gdybyśmy znaleźli zwłoki rozkładające się w bagnie. Patolog sądowy powinien być na miejscu.

- Wren...

- Poza tym - przerywa mu w pół słowa - jeśli będzie chciał uciec albo się schować, mój widok go wywabi. Przecież zadał sobie taki wysiłek, żeby zwrócić moją uwagę. Dlaczego miałyby się teraz przede mną chować?

Leroux wzdycha.

- Nie użyję cię jako przynęty.

- Wiem. Ale muszę tam być. Pozwól mi.

Po drugiej stronie zapada ciężkie milczenie. W końcu Leroux mamrocze pod nosem coś brzydkiego i kapituluje.

- Jesteś dużą dziewczynką, nie będę ci zabraniać, skoro masz ważny powód. Spotkajmy się na stacji. Broussard właśnie przyjechał, więc idę po nakazy.

- Dobrze, do zobaczenia.

Wren odkłada słuchawkę i spogląda na Richarda, który siedzi z grymasem troski na łagodnej twarzy.

- Nie chcę, żebyś jechała - mówi z mocą.

Wren rozumie jego obawy. Gdyby to ona była na jego miejscu, też by nie chciała siebie wypuścić z domu.

- Wiem, że to niepokojące - zaczyna, podchodząc do niego i siadając na krześle obok.

- Nie, to nie jest niepokojące. To jest zgroza. I niebezpieczeństwo! Ten gość chciał cię zabić. Chciał ci odebrać życie i czekał latami, żeby wyjść z ukrycia i zwabić cię do siebie - rzuca bez tchu. - A teraz wchodzisz prosto do jego domu? To obłąd. Obłąd! I nie pozwolę ci na to! - Głos mu się załamuje. Richard zasłania usta i kręci głową. - Przykro mi, nie pozwolę.

- Wiem. Wiem. Ale będę wśród policjantów. John, Will i inni uzbrojeni funkcjonariusze będą przy mnie. Możesz im zaufać, że mnie obronią. A ja nie zrobię nic niebezpiecznego.

- Chyba „bardziej niebezpiecznego”.

- Wrócę do ciebie. Obiecuję. Tylko... muszę to zamknąć. Muszę zobaczyć, jak go odwożą w kajdankach, bo już nigdy nie zmrużę oka. Proszę, zrozum.

W oczach ma łzy; fizyczne wyczerpanie i emocjonalne napięcie nadwątlily grube mury, które z takim trudem wzniosła wokół siebie. Richard spuszcza wzrok, walczy ze sobą, po czym znowu podnosi głowę. Mruga gwałtownie, walcząc ze łzami. Oczy ma zaczerwienione i przerażone. Chwyta ją za rękę.

- Wróć do mnie - mówi błagalnie.

Wren także ściska jego dłonie i opiera się czołem o jego czoło.

- Przysięgam.



## ROZDZIAŁ 33

Jeremy obraca w palcach stary pierścionek.

Chodzi po domu, powoli oddychając, żeby się uspokoić. Ta piękna, zapuszczona farma przez całe jego życie była mu bliska jak część własnego ciała. Tu dorastał, tu się uczył, a teraz tu poluje.

Jeremy śmieje się cicho, wrzuca pierścionek do kieszeni i przesuwając dłoń po misternie rzeźbionej framudze drzwi. Przez moment nie wierzy, że wszystko wkrótce się skończy, że starannie skonstruowana budowla, w której żyje, będzie musiała się zmienić. Czuje, że coś się w nim zapala. Jak pod wpływem uderzenia prądu, niespodziewanie uderza pięścią w tę samą drewnianą framugę, którą przed chwilą pieścił. W oczach robi mu się czerwono, najpierw od bólu rozbitych, krwawiących kostek. Pulsują, gdy poraniona skóra rozchyła się przy każdym zgięciu palców. Jeremy leniwie rozsmazuje krew na białej framudze, przeciąga przez nią opuszkami. Kropelki krwi spadają na podłogę. Jeremy mruga kilkakrotnie, ale czerwień pozostaje. Jest wszędzie. Przez ten błąd będzie musiał opuścić swoją kryjówkę. Jeszcze nigdy nie czuł takiego gniewu.

*Złapaci mi za to.*

Idzie cicho do salonu, dosłownie trzęsąc się z gniewu. Bierze stary kryształowy flakon, obraca go w dłoni i czuje, że gdyby zacisnął palce, zmiażdżyłby go na pył. Krew z rozbitych kostek sączy się na zielonkawę szklę; nim flakon wyśliznie mu się z ręki, rzuca nim o ścianę. Z gardła wyrывa mu się warkot z głębi trzewi. Kryształ rozpryskuje się jak piękny, niebezpieczny deszcz. Mozaika okruszków zaściela podłogę u jego stóp.

Jeremy przez jakiś czas stoi, wpatrzony w tęcowe rozbłyski światła w szklanych okruskach, odzwierciedlające chaos, który w nim szaleje. Dyszy. Rzadko ogarnia go taka zwierzęca wściekłość. Bierze długi wdech, zdrową ręką starannie odgarnia pasmo jasnych włosów z czoła i układa je we właściwym miejscu. Idzie do kuchni i ostrożnie obraca dłoń, by obejrzeć zmiażdżone kostki. Odkręca piszczący kran i zmywa dowody swojego niespodziewanego wybuchu. Krew zmienia kolor z czerwonego na różowy, miesza się z wodą wirującą w odpływie stalowego zlewu, a on wygląda przez okno na rozległe trzęsawisko, które zdaje się ciągnąć aż po horyzont. Po minucie – a może godzinie – wyciera ręce, zakleja poranioną skórę plastrami i zaciska palce, by ukoić ból.

Znowu zaczyna krążyć po pokojach tego domu, zapamiętując je, jakby robił zdjęcia. Te wspomnienia pomogą mu pamiętać, kim jest. Nie zamierza dziś umrzeć. Wraca do salonu, gdzie nadal leżą dowody jego gniewu. Nie sprząta ich. Woli je zostawić jako wiadomość i groźbę zarazem. Ma nadzieję, że policjanci będą się zastanawiać, czy to nie krew ofiary, choćby przez chwilę. I że to chrząszczące pod stopami szkło przeszkodzi im w precyzyjnie zaplanowanym ataku.

Sięga do kieszeni i znowu dotyka pierścionka. Spogląda na stolik kawowy na środku pokoju. Jest wyeksponowany, przyciąga spojrzenia. Jeremy kładzie na nim pierścionek w miejscu, którego nie sposób nie zauważyć. Złoty krążek wygląda na tym pustym blacie jak zagubiona na morzu łódeczka. Jeremy uśmiecha się i cofa

o krok, by sprawdzić, jakie wrażenie zrobi ten widok na kimś stojącym w drzwiach.

*Witaj ponownie, Emily.*





## ROZDZIAŁ 34

Wren siedzi pod ścianą. Na posterunku panuje chaos, policjanci biegają we wszystkich kierunkach. Leroux i Will weszli tu pół godziny temu z nakazem rewizji i aresztowania w dłoni. Mają zeznania poprzednich ofiar i barmanki, która podała Tarze drinki.

- Czy wszyscy wiedzą, co mają robić i gdzie się znaleźć? - ryczy porucznik, przekrzykując otaczający ich cyrk.

Leroux siedzi obok Wren, pochylony, oparty łokciami na udach.

- Masz narzędzia? - pyta niespodziewanie.

Wren wzdryga się, jakby obudził ją z głębokiego snu.

- Tak. Tak, w samochodzie. Bo co?

- Bo jedziesz ze mną. Jeśli znajdziemy tam zwłoki, możemy wezwać twoich ludzi z furgonetkami, ale ty będziesz ze mną w samochodzie. - Wren chce zaprotestować, ale on kręci głową. - Dałem słowo Richardowi, że się nie wywiniesz. To nie podlega dyskusji.

- Poddaję się - rzuca ona, unosząc ręce w geście kapitulacji.

Leroux wstaje i wyciąga do niej dłoń.

- Takiego nastawienia oczekuję po tobie, nawet jak to wszystko się skończy.

Wren popycha go ze wszystkich sił, jakie jej pozostały, a on udaje, że traci równowagę.

- Na to nie licz.

Tyłne siedzenie samochodu nie jest jej ulubionym miejscem. W dzieciństwie zawsze ogarniała ją tam mdłości. Dziś jest tak samo.

- Zaraz rzygnę, tylko nie wiem, czy przez to, że tak fatalnie prowadzisz, czy dlatego, że mamy zaskoczyć typa, który polował na mnie na swoim podwórku - mówi, otwierając okno. Przymyka oczy i wystawia twarz na wiatr, który trochę łagodzi jej wzburzony żołądek. - Możecie się śmiać. Proszę, śmieście się.

Leroux i Will parszczą cichym śmiechem.

- Nie miałem pojęcia, że tak będzie wyglądać moja praca. - Will wyciera łzę z oka.

- Nie? - dziwi się Leroux. - Nigdy nie sądziłeś, że będziesz ścigać bardzo aktywnego seryjnego zabójcę? To chciałeś powiedzieć?

- No tak, oczywiście. Ale nigdy nie było tak dramatycznie, no nie?

- No, chyba tak. Jakym grał w *Detektywie*.

Teraz i Wren chichocze.

- Myślicie, że trafiłam do pracy ze zmarłymi z powodu takich filmów? No owszem, dość stereotypowo spędzam życie, rozmawiając z ofiarami morderców po tym, jak sama prawie się nią stałam, ale wybrałam kostnicę nie bez powodu. Jest cicha i panuję w niej nad wszystkim.

Siedzą razem w przyjaznym milczeniu, a za oknami przemykają puste boczne dróżki Parafii Jefferson. Zmierzają w stronę Montz. Leroux bez większego trudu znalazł adres posiadłości Rose'a i teraz tam jada. Dom stoi na rozległej pości ziemi, z dala od tras uczęszczanych przez cały rok przez miłośników pieszych wędrówek. Gdy las staje się gęstszy, a drogi bardziej wyboiste, wiedzą już, że

dojeżdżają. Wren znowu czuje narastające mdłości. Ścisną lekarską torbę i obraca kciukiem pierścionki na palcach.

Skrecają w długą, krętą aleję, prowadzącą do domu przy Evangeline Road 35. Powietrze staje się jakby gęstsze. Cała trójka w milczeniu przygląda się dzikiej okolicy, w którą zagłębiają się w ślad za dwoma innymi policyjnymi samochodami. Niespodziewanie widzą dom. Ten widok jest jak zastrzyk adrenaliny. Serce Wren bije szybko i gwałtownie. Jest bliska ataku paniki, ale udaje jej się zastosować techniki oddechowe, których dawno temu nauczyła się na terapii, i poczucie zagrożenia stopniowo się oddala. Wren wciąga powietrze przez nos i powoli wydycha je ustami.

Dom jest zadbane - na ile to możliwe na środku trzęsawisk. Jest stary, lecz podwórko ma rozluźnione i czyste, a na podjeździe stoi nowy nissan altima. Na tyłach domu rozciąga się trzęsawisko i cypryśniki, sięgające aż po horyzont. Gdzieś widać rozsiane pomosty i kładki, ale większość ziem jest nietknięta ludzką ręką. To jednocześnie piękne i przerażające - idealne tereny łowieckie potwora.

Leroux odwraca się do niej z zatroskaną miną.

- Będziemy dużo chodzić. Nadal się trzymasz, Muller?

Wren kiwa głową, wiedząc, że nie wygląda, jakby się trzymała.

- Wszystko dobrze - potwierdza.

Leroux czeka, wypatrując w jej oczach wahania.

- No dobrze, więc pierwsza grupa wejdzie do domu i go zabezpieczy. Jeśli Rose tam jest, zatrzymają go. Dopilnują, żebyśmy nie wpadli w zasadzkę, zwłaszcza z tobą. - Leroux robi krótką pauzę. - Nie spuścimy cię z oczu.

- Rozumiem. Ufam wam - mówi Wren z wdzięcznością.

Leroux kiwa głową i odwraca się do Willa, który obserwuje pierwszą grupę policjantów otaczającą dom. Pukają do drzwi i czekają. Wren z trudem oddycha z emocji. Nic się nie dzieje. Po paru próbach wybijają okno. Grupa wdziera się do domu ze wszystkich stron w gorączkowym tempie.

Wren mocno zaciska powieki. Nagle dźwięki zaczynają do niej dochodzić stłumione i zniekształcone, jakby ktoś włożył jej na głowę wygłuszające słuchawki. Czeka na strzały i wybuchy. Czeka, kiedy wydarzy się coś strasznego, ale tak się nie dzieje. Słyszy tylko ciche kroki i podniesione, opanowane głosy, potwierdzające, że dom jest pusty.

Młody policjant w kamizelce kuloodpornej wychodzi na ganek. Macha ręką do Leroux i Willa.

- Nie ma go! - krzyczy. - Czysto!

Obaj kiwają głowami i wysiadają z samochodu. Leroux otwiera drzwi Wren, która wysiada na dokuczliwy upał.

- Czuć śmiercią - stwierdza, gdy tylko czuje powiew powietrza.

Leroux odruchowo marszczy nos.

- Fakt. Paskudny smród.

Wren kręci głową.

- Nie, naprawdę czuć zapach śmierci - koryguje. - Tak, jakby gdzieś tu leżały zwłoki.

Rozgląda się uważnie. Idą we trójkę na ganek z łuszczącą się farbą, którą dziesiątki lat niemiłosiernego luizjańskiego klimatu niemal unicestwiły. Wchodzą do domu; tu odór jest silniejszy. Wren myśli, że Jeremy już go nie czuje, żyjąc w nim od tak dawna. Wchodzi do salonu z Willem i Leroux po swoich obu stronach. Stare meble wyglądają, jakby pamiętały lata czterdzieste. Przed

pięknymi oknami stoi szeszlong obity zielonym aksamitem. Misternie zdobione lampy rzucają kojące światło. Na ścianach wiszą obrazy z różnych czasów i w różnych stylach. To pół muzeum, pół burdel. Gdyby Wren się tak nie bała, to wewnątrz by ją niemal urzekło.

Potem go zauważa.

Na środku stolika kawowego, na lśniącym półmisku, leży pierścionek jej babki. Wren podchodzi, kuca, by przyjrzeć się mu z bliska. Nie nosi go, bo jest dla niej za mały, ale zawsze trzyma go na nocnej szafce. Jego widok pozwala jej spokojnie zasnąć. Ale ponieważ od wielu dni prawie nie sypiała we własnym łóżku i była zbyt pochłonięta pracą, nie dostrzegła jego braku.

- John... - Głos się jej załamuje. Musi się przytrzymać blatu stolika. Leroux podbiega do niej, kładzie jej dłoń na plecach.

- Co jest, Muller? Musisz wyjść? - Zagląda jej z niepokojem w twarz, a później przenosi wzrok na pierścionek. - Co się dzieje?

Wren nagle czuje się zagrożona. Rozgląda się, jakby Jeremy miał się na nią rzucić. Ale nie, przecież nic się nie dzieje.

- Ten pierścionek... leżał na mojej szafce nocnej - mówi martwym głosem, nie odrywając od niego oczu.

Leroux otwiera usta i macha na fotografa.

- Chcesz powiedzieć, że to było na twojej szafce, kiedy ostatnio miałaś z nim do czynienia?

Wren powoli kręci głową, w końcu spoglądając mu w oczy.

- Nie. Z mojej obecnej szafki. Z mojego obecnego domu. Ten pierścionek został zabrany z mojego pokoju w zeszłym tygodniu. - Wstaje szybko i przez chwilę odzyskuje równowagę. Leroux prostuje się razem z nią. - On wszedł do mojego domu.

Wren tłumii łkanie; całe jej ciało wzdryga się na tę myśl. Za moment straci panowanie nad sobą.

- Wren... Nie wiem, co powiedzieć. Naprawdę nie wiem...

- Spokojnie - mówi ona, starając się otrząsnąć. - Zajmiemy się tym później. Ja się tym zajmę. Działajmy dalej.

- Tu jest krew. - Leroux wskazuje framugę ze smugami świeżej krwi. Czerwone kropelki spadły na podłogę w pobliżu. Wren przesuwając wzrok do okruchów zielonego szkła po lewej i zauważa, że niektóre także są zbroczone świeżą posoką.

- Może ktoś zranił się tym szkłem - stwierdza oschle.

- Pobierz próbki - poleca Leroux kolejnemu policjantowi i wzywa Wren gestem do sąsiedniego pokoju.

Docierają do kuchni. Jest nieskazitelnie czysta i jasna. Na blacie stoi kubek z niedopitą kawą. Po plecach Wren przebiega dreszcz. Gdy przechodzą do jadalni, znowu w stylu dawnego burdelu, policjant krzyczy do nich z piętra, że znalazł pudełko z ubraniami należącymi prawdopodobnie do ofiary.

- Leć tam, dobra? - Leroux daje znak fotografowi, który biegnie po skrzypiących schodach na górę.

- Na zewnątrz zdecydowanie czuć trupem, ale sądząc po tym odorze, w domu najwyraźniej też są jakieś zwłoki.

- Podobno coś jest w piwnicy. - Will obraca się na pięcie. - Myśleli, że ten smród wkłada się do domu z zewnątrz, ale potem zauważyli otwartą zamrażarkę.

- Zamrażarkę? - Leroux podnosi brwi.

- Idziemy? - Will odsuwa się na bok, puszczając ich przodem.

Wren kiwa głową i schodzi za Leroux po schodach do piwnicy. Odór dławi ich w gardłach. To zupełnie inna intensywność niż na parterze czy na dworze. Te miazmaty są gęste jak kisiel.

Na dole skrecają. Od tego wnętrza bije chłód. Wren nigdy tu nie była, ale dokładnie tak je sobie wyobrażała. Jest czyste, sterylne i zorganizowane.

Pod ścianą stoi rząd krzesel. Są mocne, mają grube podłokietniki. Przypominają meble z sali sądowej. Gdy Wren się do nich zbliża, widzi, że zostały przykręcone do podłogi i zacementowane. Na podłokietnikach widnieją skórzane pęta i mocne łańcuchy, zardzewiałe i pokryte zaskorupiałą, czerwono-brązową krwią. Siedzenia także są unurzane we krwi, która spłynęła po ich nogach na jasnoszary cement.

- Zgaduję, że nie czytali tu Biblii - rzuca cierpko Leroux i kuca obok Wren. Jedną ręką stara się poruszyć nogę krzesła, która nawet nie drgnie. - Niech ktoś pobierze próbki.

Powietrze jest tu gęste; Leroux zasłania nos rękawem koszuli, broniąc się przed jadowitymi wyziewami rozkładającego się ciała. Wren stoi już przy białej zamrażarce w kącie. Jej wieko jest otwarte, wtyczka leży na podłodze. Odór staje się jeszcze bardziej namacalny. Warstwy smrodu wybuchają jak granaty przy każdym kolejnym kroku. Wren zatrzymuje się przed zamrażarką, walcząc ze sobą. Nie boi się zmarłych. Boi się tego, co mają do powiedzenia.

- Muller, co tam jest? - pyta Leroux, nadal stojący przy krzesłach.

Wren już ją widzi. Jest młoda, jej jasne włosy pociemniały od krwi i innych płynów ustrojowych, które z niej wypłynęły w tej parodii trumny. Jej czerwone, martwe oczy, teraz zasnutę mgłą, kiedyś mogły mieć zielone lub niebieskie tęczówki. Jej policzki są nabrzmiałe. Wren widzi, że z oczu, nosa i ust zmarłej wypłynęła krew w wyniku jakiegoś poważnego obrażenia.

- Co on ci zrobił? - pyta głośno. Wyciąga dłoń w rękawicze, chcąc dotknąć dziewczynę, ale się powstrzymuje.

- No, to przynajmniej wiemy, skąd ten smród. - Leroux staje obok niej i przywołuje kolejnego policjanta. - Wracamy na górę. Pooddychajmy przez chwilę czystszy powietrzem.

Wren odwraca się do niego gwałtownie, wyrwana z transu.

- Co? Nie. Dokładnie po to tu przyjechałam. Jestem patologiem sądowym, a tu są zwłoki, które trzeba zbadać.

- No tak, ale to trochę za dużo. Nie ma nic złego w tym, że złapiesz odrobinę świeżego powietrza. Nikt nie będzie ci miał tego za złe - mówi Leroux, lekko trącając ją ramieniem.

- Nic mi nie jest. To moja praca. Muszę tylko iść po narzędzia. Zostawiłam je na górze - odpowiada Wren surowo i idzie w stronę schodów, jeszcze raz zerkając na krzesła.

Serce łomocze jej w piersi, a odór rozkładu i woń męskiej wody kolońskiej mieszają się w mdlący koktajl. Ma zawroty głowy, ale się otrząsa. Słyszy za sobą kroki Leroux i Willa, którzy rozmawiają ze sobą sciszonymi głosami.

- Nie odstępuj jej ani na krok - mówi Leroux do Willa niemal niedosłyszalnym szeptem.

- Jasne - odpowiada Will opryskliwie.

Wren zabiera torbę ze stołu w kuchni na parterze i przez moment skupia się na odzyskaniu równowagi. Gdy się odwraca, by znowu zejść do piwnicy, z korytarza wyłania się starszy policjant.

- Słyszycie tę muzykę? - pyta.

Wren wyteża słuch, usiłując przebić się przez hałas panujący w domu. Will i Leroux także nastawiają uszu. Rzeczywiście, w oddali rozbrzmiewają jakieś ledwie słyszalne dźwięki, jakby dochodziły z zewnątrz.

- Chodźcie - rzuca Leroux, machając na nich ręką. - To coś na dworze. Mamy tu ludzi, zajmą się domem.

Cała trójka wychodzi na zewnątrz; muzyka staje się wyraźniejsza. Morze drzew przed nimi trwa w bezruchu, lecz nie w ciszy. Muzyka jest nadal trochę stłumiona, ale przez naturalną orkiestrę trzęsawisk przebija się bez wątpienia *Black Magic* Badwoods. Jest obrzydliwie optymistyczna i ten rozdźwięk robi upiorne wrażenie. Wren oddycha drżąc, usiłując opanować przerażenie, które chce nią zawiądnąć.

- Z daleka słychać, że to robota Cala - mówi, przypominając sobie te straszne chwile w życiu Emily, gdy muzyka osaczała ją ze wszystkich stron.

- Chodził na kółko teatralne? - Leroux rzuca jej ironiczny uśmiech przez ramię.

- Nie - odpowiada Wren z wdzięcznością za to rozładowanie napięcia. - I pewnie teraz to sobie rekompensuje.

Schodzą po rozchwianych tylnych schodkach na chodnik z drewnianych desek prowadzący do gęstego lasu. Cyprysniki splatają się ze sobą tak, że słońce nie może się przez nie przebić pod żadnym kątem. To tutaj Cal zabierał ofiary. Tu uciekały przed nim, raniąc sobie nogi i stopy. Atmosfera tego miejsca jest mroczna i złowroga, przesycona złem, które tak długo tu panowało.

Razem wkraczają na ten teren - z jednym policjantem za nimi i jednym przed nimi. Leroux i Will idą z wyciągniętą bronią. Muzyka staje się coraz głośniejsza, już prawie zagłusza cykady, które donośnie śpiewają w drzewach. Z każdym kolejnym krokiem w głąb tych terenów łowieckich smród rozkładu staje się mocniejszy, niemal nie do zniesienia.

Docierają do jego źródła, gdy ich oczom ukazuje się bagno.

- Jest - rzuca szeptem Wren, wskazując ciemne, bezwładne ciało na brzegu mętnej wody.

Ruszają we trójkę jak oddział. Odór powala. Zwłoki są w stanie daleko posuniętego rozkładu - dzięki pogodzie i owadom - ale Wren rozpoznaje płęć jako męską. Na skroni widać ranę postrzałową. Wren robi szybkie zdjęcie komórką, a potem wyjmuje z torby pęsetę. Wydłubuje pocisk z rany i podnosi do oczu.

- Dobrze, że tu jesteś, Muller. Miałaś rację. - Leroux kręci głową, zasłaniając usta i nos ręką w rękawicze.

Wren uśmiecha się krzywo, wrzuca pocisk do foliowej torebki i odkłada ją do torby. Gdy ją zamyka, Leroux odchyła się do tyłu i wydaje ryk jak zranione zwierzę. Zgina się wpool, później pada na bok. Kurczowo ściska lewą nogę. Wren widzi strzałę, metalową i długą, wystającą z jego łydki. Rana jest większa, niż można by się spodziewać. Wren pochyla się, żeby się nim zająć.

- Ranny policjant! - ryczy Will.

W tej samej chwili w ich stronę śmiga kolejna strzała. Wbija się w plecy policjanta z ich obstawy. Ten pada na twarz; z gardła Wren wyrывa się mimowolny krzyk. Leroux jęczy z bólu, trzymając się za nogę i gorączkowo rozglądając się dokoła. Will stoi nad nim i Wren. Nikt nie wie, skąd padły strzały. Wszyscy czują się odsonięci, bezbronni.

Trzaska pękająca gałązka.

- Emily.

Głos jest spokojny i znajomy. Wren podnosi głowę i widzi go, wyłaniającego się zza starego drzewa z kuszą w dłoniach. Jego wzrok przeszywa ją na wylot. Długie włosy opadają mu na czoło tak samo jak wtedy. Jest ubrany w czarny podkoszulek,

ciemne dzinsy i wojskowe buty. Wydaje się spokojny i zadowolony. Przez moment przygląda się jej. Jego spojrzenie natychmiast przenosi ją w tamtą noc przed siedmiu laty. Powraca do niej ta sama panika i wściekłość. A on ma takie same martwe spojrzenie; nie, przez te lata stało się nawet mroczniejsze.

Przez sekundę Wren patrzy w milczeniu na Cala, Jeremy'ego, czy jak tam się teraz nazywa. Wie, do czego jest zdolny. Wyjmuje z dłoni Leroux broń i wymierza ją w Cala. On też mierzy w nią z kuszy. Uśmiecha się krzywo, z każdą chwilą szerzej. Potem opuszcza kuszę.

- Zastrzel go! - wrzeszczy Leroux.

Wren waha się, skamieniała, nie mogąc się zmusić do naciśnięcia spustu. I nagle słyszy huk. Cal zatacza się do tyłu, puszcza kuszę i chwyta się za pierś. Pada na kolana, a następnie przetacza się w krzaki, natychmiast w nich znikając. Słońce nie przedziera się przez tę zbitą płataninę drzew. Ciemność panuje tu nawet za dnia. Wren, nadal sparaliżowana strachem, ciągle celuje w pustą przestrzeń, którą przed chwilą zajmował Cal. Spogląda w prawo, na Willa, opuszczającego broń, z której właśnie strzelił. Z płuc uchodzi jej wstrzymywane powietrze.

Policjanci rzucają się w pogoń za Cal'em; Will biegnie za nimi.

- Muller, zostań z Leroux! - krzyczy przez ramię.

Wren może tylko skinąć głową, nadal wpatrzona w miejsce, w którym stał krzywo uśmiechnięty Cal. Łamane gałązki trzeszczą, policjanci pokrzykują, ale ona słyszy to wszystko, jakby była zanurzona pod wodą. Zmusza się do zachowania czujności. Nagle dociera do niej dźwięk, od którego jej serce przyspiesza, a na czoło występuje zimny pot. Dwa strzały, rozdzielone dziesięciosekundową pauzą. Ptaki zrywają się do lotu i skrzeczą. Wren zamiera z szeroko otwartymi oczami. Każda cykada, ptak, żaba i liść współpracują ze sobą, by przywrócić ją do rzeczywistości. A ona stoi, zmieniona w słuch.

- Doktor Muller...

Spomiędzy drzew wyłania się młody policjant. Wren podskakuje i ściska mocniej broń. Chłopak widzi jej strach i podnosi obie ręce.

- Przepraszam, że panią przestraszyłem - mówi cicho. - Broussard jest z podejrzanym. Musimy tylko potwierdzić jego zgon.

Wren opuszcza broń, oddycha głęboko i kiwa głową. Spogląda na Leroux.

- Trzymasz się?

- A mam wybór? - odpowiada żartobliwie i krzywi się, ściskając nogę. - Uważaj na siebie, Muller.

- Nic mi nie będzie. Trzeba wezwać pogotowie - zwraca się do młodego policjanta.

Ten podchodzi bliżej, po drodze dotykając krótkofalówki na ramieniu i wzywając ratowników. Wren wzdycha, wyciera spocone czoło i idzie w gąszcz. Wymijając slalomem grube korzenie starych cypryśników, słyszy głosy policjantów. Opląta łaskoczce ją w twarz. Na ziemi widzi połamane gałęzie i głębokie ślady stóp. Wszystko tu się porusza i oddycha. Cała okolica żyje.

- Muller - odzywa się niespodziewanie Will, płosząc ją. - Strzelił sobie w usta.

Wren przełyka ślinę, starając się przyjąć tę brutalnie konkretną informację.

- Potwierdzę to - mówi. - I dziękuję.

Will mija ją, ściskając przelotnie jej dłoń.

- Nie ma za co.

Wren puszcza jego rękę i idzie do ciała Cala, leżącego na plecach, z twarzą i pierśią obryzganą krwią. Ma otwarte oczy. Wpatruje się w nią z podmokłej ziemi.

Zawsze taki schludny i pozbierany, w końcu wygląda na potwora, którym był.

Wren wkłada rękawiczkę i pochyla się, by sprawdzić jego puls. Nie wyczuwa go.

- Zgon - stwierdza zimno.

Wyciąga telefon i dzwoni do swojego biura. Wzywa zastępców i techników. Gdy odwraca się do policjantów, coś przykuwa jej uwagę. Coś w tej ślepo wpatrzonej w nią twarzy się nie zgadza. Ręką w rękawiczkę ściera z niej krew i odwraca ją ku sobie. Spogląda w zielone oczy mężczyzny i serce jej zamiera. Rozdygotanymi rękami podnosi mu czarny podkoszulek, odsłania jego brzuch, szukając rany po strzale Willa, i widzi tylko gładkie, nieskazitelne ciało.

- To nie on - mówi niedowierzająco. Osuwa się na ziemię i cofa się jak najdalej od tego obcego człowieka. Po raz pierwszy zmarły obudził w niej strach.

- Jak nie on? - Will podbiega do niej i chwytą ją za ramiona. - Muller, co ty gadasz?

Wren kręci głową. Znowu ogarnia ją panika.

- Nie! To nie on! To nie on, Will!

- Rozpoznałaś go. Widziałem. Oboje się rozpoznaliście.

- Tak. To prawda. Tam to był on. Ale nie tu, nie teraz - wyjaśnia, nabierając tchu. - Nie ma rany po twoim postrzale.

Will porusza ustami, lecz nie wydobywa się z nich żaden głos. Spogląda na zwłoki i widać, że stara się zrozumieć, co się tu dzieje.

- To niemożliwe. Trafiłem go w pierś.

- Jeśli sam do siebie strzelił, to gdzie jest broń? On się nie zabił. Zabił go człowiek, który go tu zostawił, żeby nas zmylić.

Will popatruje to na nią, to na zwłoki. W końcu wskazuje policjanta stojącego po prawej.

- Przeszukać to miejsce. Znaleźć go. Już!

Policjanci rozbiegają się we wszystkich kierunkach.

Will znowu spogląda na Wren i wzywa policjanta, który przybiega do nich.

- Odprowadź doktor Muller do Leroux i dopilnuj, żeby bezpiecznie odjechali z ratownikami.

Wren otwiera usta, by zaprotestować, ale Will jej przerywa.

- Zrobiłaś swoje. Jedź z Leroux do szpitala.

Wren wstaje i ściska jego ramię. Potem wraca przez zieloną gęstwinę z ochraniającym ją policjantem. Gdy wychodzi na ścieżkę prowadzącą do ambulansu stojącego na trawniku, macha ręką do ratownika.

- Jadę z wami! - woła.

Ten kiwa głową i otwiera drzwi, za którymi widać Leroux na noszach.

- Już po wszystkim? - pyta Leroux z ulgą.

Wren kręci głową i siada obok niego na małej ławeczce. Drzwi zamykają się z hukiem i silnik ożywa.

- Nie - mówi Wren cicho.

Leroux usiłuje zajrzeć jej w oczy. Wren walczy ze łzami i podnosi głowę.

- Uciekł nam, John.





## ROZDZIAŁ 35

Jeremy wyłania się z trzęsawiska za swoją posiadłością i robi krótki postój na odzyskanie oddechu. Kamizelka kuloodporna pod podkoszulkiem ociera mu spoconą skórę. Nigdy więcej jej nie włoży. Jest ciasna, nie można w niej normalnie oddychać, ale na szczęście spełniła swoją rolę. Jeremy wstrzymuje oddech i ostrożnie dotyka pręgi na piersi, która zaczyna puchnąć i nabierać czerwonego koloru.

*Lepsze to niż rana postrzałowa.*

Rusza w lepkiem upale przez rozciągające się przed nim bagna. Ciepła woda przemacza mu nogawki, brudzi je szlamem. Błoto zasysa jego buty, jakby chciało mu je zerwać ze stóp. Jeremy opędza się przed chmarami komarów, które na chwilę się rozpraszają, by z tym większym zapałem zaatakować go znowu i w rewanżu za tę bezczelność zostawić na nim milion śwędzących ukąszeń.

Wren wkrótce odkryje, że to nie jego zwłoki. A wtedy szybko doda dwa do dwóch. Jest dokładnie tak mądra, jak zapamiętał, a teraz w dodatku do działania popycha ją zaciekły gniew. Zobaczył go w jej oczach, gdy ich spojrzenia się spotkały. Jak komary, które tak bezlitośnie się nad nim pastwią, Wren była głodna jego krwi, a teraz stanie się nienasycona. Ale wygrał tę bitwę, a wkrótce wygra całą wojnę.

Nie potrafiła do niego strzelić. Widział, że trzyma palec na spuście, lecz go nie naciska. Ciekawe, czy teraz to się zmieni. Ciekawe, czy gdyby los znowu dał jej szansę, zawahałaby się. Na nieszczęście dla niej taka sytuacja się nie powtórzy. Jeremy wkrótce znajdzie się o setki kilometrów stąd. Poprawia plecak i toruje sobie drogę wśród drzew, które chwytają go i drapią. Tu nie ma ścieżki, ale on dobrze zna drogę. Ojciec przyprowadził go tutaj kiedyś, żeby spróbować sił w polowaniu na aligatory. Oczywiście nic z tego nie wyszło.

Jeremy doskonale sobie zdaje sprawę z obecności potworów, które dzielą z nim to miejsce. W mroku ich oczy lśnią jak w koszmarze. Poruszają się zwinnie w błocie, a ich ogony potrafią powalić człowieka skuteczniej niż jakakolwiek broń. To prawdziwi rzeźnicy z bagien, bezwzględni i spragnieni krwi.

A dziś on stanie się jednym z nich.

Słońce chyli się ku horyzontowi, nocne stworzenia odzywają się jednocześnie, jak na dany znak, a Jeremy idzie ku rozciągającej się przed nim drodze.



## PODZIĘKOWANIA

Dziękuję mojemu Johnowi za to, że zawsze mnie wspierał i zachęcał, nawet gdy byłam już pewna, że nic mi nie wyjdzie z tego całego pisania. Dziękuję, że pilnowałeś dzieci, kiedy ja siedziałam na zewnątrz i waliłam w klawiaturę, pochłaniając hektolitry kawy, gdy natchodziło mnie natchnienie. Dziękuję, że dałeś mi pewność siebie, by zacząć tę książkę. Kocham cię i bezgranicznie cię doceniam. Jesteś darem losu. Obiecuję, że nigdy nie będę na ciebie polować na trzęsawiskach Luizjany.

Dziękuję Karen za bycie niewiarygodnie dobrą teściową. Jesteś altruistką, zawsze gotową oddelegować mnie do pisania, kiedy sama fajnie spędzasz czas z dziećmi. Doceniam to bardziej, niż sądzisz, i nie mogłabym tego bez ciebie dokonać.

Mamo i tato - wiem, że już zadedykowałam wam tę książkę, ale skoro daliście mi życie, mogę o was wspomnieć i tutaj. Dziękuję za podarowanie mi narzędzi, pewności siebie i miłości, dzięki którym napisałam ten koszmar. Gdy w dzieciństwie przyśnił mi się zły sen, trzymaliście mnie za rękę, a teraz ja oddaję wam jeden z nich. Daję słowo, że to komplement i dowód miłości. Możecie mi zaufać. Uwielbiam was oboje.

Ash. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, siostrą, siostrzenicą i moją partnerką w interesach. Wyglądasz świetnie w każdej czapce, którą każę ci nosić, i zasadniczo się mi przysłużyłaś podczas kończenia tej książki. Dziękuję, że zawsze mi ją głośno czytałaś, żebym mogła ją usłyszeć na nowo, i dziękuję, że pozwałałaś mi się codziennie przerażać.

Do mojego rodzeństwa - Amy, jesteś moją starszą siostrą i jedną z moich najlepszych przyjaciółek. W dzieciństwie tylko ty mogłaś mi myć włosy i choć nie mogę powiedzieć, że tak jest nadal (teraz sama sobie myję włosy), po dziś dzień lubię obserwować ptaki właśnie ze względu na ciebie. Dzięki za dowody miłości w postaci uśmiechniętych buziek z frytek i keczupu.

Jp, mój starszy bracie i bliźniaku z innego wymiaru. Wyglądamy podobnie, myślimy podobnie i pewnie oboje dobralibyśmy się do Konfiguracji Lamentu, sprowadzając na ten świat hordy Cenobitów, po czym i tak przybiliśmy sobie piątkę. Dzięki, że dodawałaś mi odwagi i tworzyłaś razem ze mną.

Dziękuję, doktorze Stone. Dał mi pan szansę na wejście w świat, w którym zawsze chciałam się znaleźć, i będę dożgonnie wdzięczna za to, czego mnie pan nauczył. Ta książka urodziła się w prosektorium i to dzięki panu mogłam tego doświadczyć.

Do mojej ekipy: Setha, Andy'ego, Marissy - jesteście niesamowici w sposób, którego nie umiem opisać. A to wiele znaczy, bo zgodnie z nieśmiertelnym powiedzeniem Josie „Grossy” Geller, „Słowa to moje życie!”. Dziękuję, że mogę na was liczyć i że daliście mi pewność, iż to wszystko jest możliwe.

Do mojej agentki, Sabriny. Sabrino, jesteście teraz jednością. Nie pozbedziesz się mnie do końca życia. Dziękuję, że potrafiłaś opanować moje szaleństwo, nerwicę i nieustanną potrzebę kontrolowania wszystkiego i bycia na bieżąco ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami, które pojawiły się podczas tworzenia

tej historii. Dzięki tobie stałam się lepszą pisarką i cieszę się, że przy okazji zyskałam w tobie przyjaciółkę.

Do mojej fantastycznej redaktorki, Sareeny. Mam wrażenie, że to wszechświat nas ze sobą połączył. W chwili, w której cię poznałam, zrozumiałaś mnie i moją opowieść i pomogłaś mi przekształcić ją w coś, o czym zawsze marzyłam. To dzięki tobie ta książka zaistniała i to ty nadałaś jej najlepszą możliwą postać. Zaimponowałabyś nawet Jeremy'emu, co jest jednocześnie fantastyczne i przerażające. Bardzo się cieszę, że dałaś szansę temu dziwnemu światkowi, który stworzyłam.

Do Zando - dziękuję za spojrzenie na tę książkę tak, jak ja. Dziękuję za spełnienie mojego marzenia o pisaniu.

Dziękuję Stephenowi Kingowi, Patricii Cornwell, R.L. Stine'owi, Christopherowi Pike'owi, Edwardowi Goreyowi, Alwinowi Schwartzowi i Stephenowi Gammellowi. Pomogliście mi zaakceptować mroczne, straszne i dziwne aspekty mnie samej, z którymi tak długo walczyłam. Dziękuję, że inspirujecie dziwadła całego świata do wyrażania swojej inności poprzez twórczość.

Do Nowego Orleanu - mam nadzieję, że w tej książce czuje się twojego ducha. Dziękuję, że dałaś mi tak inspirujące miejsce, które mogłam zasiedlić w wyobraźni.



## O AUTORCE

ALAINA URQUHART współprowadzi popularny program *Morbid: A True Crime Podcast*. Pracuje w prosektorium, więc ma wyjątkowe spojrzenie na sekcje zwłok. Alaina pochodzi z Bostonu, gdzie mieszka ze swoim cudownym mężem Johnem, trójką fantastycznych córek i Bailey, mopso-beagielką. W 75 procentach składa się z kawy i szczerze wierzy, że mogłaby się przyjaźnić z agentką Clarice Starling.

Zanim napisała swoją pierwszą książkę, zrobiła dyplom z kryminologii, psychologii i biologii. W chwilach wolnych od podcastu *Morbid* prowadzi program Parcast *Crime Countdown* i podcast o horrorach *Scream!* Jak mówi, gdy odkłada mikrofon, oddaje głos zmarłym.





# MAM KRYMINALNY CHARAKTER

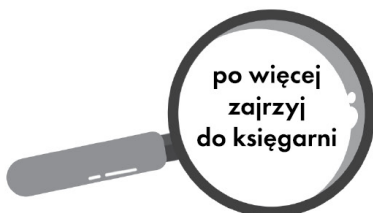
Jeśli masz go i ty, koniecznie sięgnij po nasze kryminały i thrillery.

FREIDA McFADDEN **ZAMKNIĘTE DRZWI** 

**APARTAMENT** IZABELA JANISZEWSKA 

BARTOSZ SZCZYGIELSKI **DZIEŃ GNIEWU** 

**SUNDIAL** CATRIONA WARD 



[www.wydajenamsie.pl](http://www.wydajenamsie.pl)



# SPIS TREŚCI

## CZEŚĆ I

ROZDZIAŁ 1  
ROZDZIAŁ 2  
ROZDZIAŁ 3  
ROZDZIAŁ 4  
ROZDZIAŁ 5  
ROZDZIAŁ 6  
ROZDZIAŁ 7  
ROZDZIAŁ 8  
ROZDZIAŁ 9  
ROZDZIAŁ 10  
ROZDZIAŁ 11  
ROZDZIAŁ 12  
ROZDZIAŁ 13  
ROZDZIAŁ 14  
ROZDZIAŁ 15  
ROZDZIAŁ 16  
ROZDZIAŁ 17  
ROZDZIAŁ 18  
ROZDZIAŁ 19  
ROZDZIAŁ 20  
ROZDZIAŁ 21  
ROZDZIAŁ 22

## CZEŚĆ II

ROZDZIAŁ 23  
ROZDZIAŁ 24  
ROZDZIAŁ 25  
ROZDZIAŁ 26  
ROZDZIAŁ 27  
ROZDZIAŁ 28  
ROZDZIAŁ 29  
ROZDZIAŁ 30  
ROZDZIAŁ 31  
ROZDZIAŁ 32  
ROZDZIAŁ 33  
ROZDZIAŁ 34  
ROZDZIAŁ 35

PODZIĘKOWANIA

O AUTORCE